

Wawrzyniec Podrzucki

# OPOWIADANIA

# Spis treści

Netherlanden.....	3
Byłem robotem Jej Królewskiej Mości.....	28
Zawód: Prometeusz .....	61
Nafciarze .....	98
Szkice z gwiazdami w tle .....	119

# Netherlanden

*Opowiadanie ukazało się na portalu POLTERGEIST w 2010 r.*

Przebudzenie było nagłe i przerażające, gdyż wychynał na jawę z najprawdziwszego sennego koszmaru, a nie z nicości pozbawionej obrazów i dźwięków, jak dotąd bywało. Czarne od sady twarze, armia błyszczących potem torsów, oczy martwe niczym żużel, który przesypują gołymi dłońmi do powygniatanych wagoników, choć jeszcze się dymi. Wszystko podmałowane krwistą łuną z ogromnego pieca i zanurzone w łoskocie parowej kuźni. Rytmicznym jak tykanie zegara, tyle że zwielokrotnionym ponad wytrzymałość jakiegokolwiek ucha.

Zerwał się zapomniawszy, że tuż nad wezłowiec biegnie wręg. Uderzył w niego boleśnie i potracił blaszany kubek, który bluznął na podłogę resztkami kawy. Nawet tego nie zauważył, zapatrzony w cyferblat nad stolikiem i w czarne wskazówki, które oznajmiały mu rzecz zgoła niewiarygodną: było dwadzieścia po jedenastej! A przecież zawsze wstawał o drugiej, z dokładnością co do minuty. Zawsze!

Nie, nieprawda, nie zawsze. Kiedyś było inaczej i on sam był inny – bardziej żarliwy i pełen wiary, że odnajdzie to, za czym prawie pół wieku temu wyruszył na pokładzie parowca "Netherlanden". Miał określony cel. Ale kilkadziesiąt lat czołgania się

przez bezmiar molekularnego obłoku, samotność oraz monotonia sztucznych pokładowych dni zmieniły go w człowieka otępiatego i niemal doszczętnie odartego z nadziei.

Teraz jego świat opierał się na sztywnym przestrzeganiu harmonogramu, który sobie narzucił, żeby zupełnie nie zwariować. Doba po dobie powtarzał ten sam niezmienny rytuał: przekładnia foldera do końca, kurek zastawki "A" trzydzieści pięć i zastawki "B" czterdzieści cztery stopnie w lewo, dźwignia taśmociągu w dół, odebrać dzienny urobek z czerpaka, posortować, spuścić mieszanekę do konwerterów na rufie, sprawdzić ciśnienie i temperaturę pary w każdym z ośmiu kotłów, sprawdzić szczelność przyłączy wielodziału, sprawdzić, sprawdzić, sprawdzić...

W głębi duszy był świadom, że to wszystko tylko pusta rutyna, namiastka, szara wata, którą zapelnia czas w oczekiwaniu na coś o wiele ważniejszego. Ale z upływem lat przyzwyczajenie stało się jego pierwszą naturą i nie potrafił już wyrwać się spod jego władzy. Dlatego z takim niedowierzaniem wpatrywał się w tarczę zegara, nie pojmując jak to możliwe, by jego uporządkowany świat poślizgnął się nagle o całe dwie godziny i czterdzieści minut. A do tego jeszcze ten sen, który chyba się jeszcze nie skończył, albowiem wciąż słyszał regularne dudnienie.

Przez chwilę siedział bez ruchu, a potem ostrożnie wyciągnął rękę i przytknął dłoń do chropowatej ściany. Zimny metal drżał pod palcami powolnym bom-bom-bom, jakby jakaś tytaniczna punca uderzała raz po raz w stalową więźbę statku. Myśl, że w końcu wydarzyło się niewyobrażalne, że po latach nienagannego funkcjonowania coś się w okręcie zepsuło, była trudna do przyjęcia, wręcz upokarzająca. Przecież dbał o "Netherlanden" dzień w dzień bez ustanku i z całym poświęceniem pilnował, by każdy z elementów statku działał bez zakłóceń. Jeśli w pracę leciwych mechanizmów wdarł się nieoczekiwany zgrzyt, jeśli gdzieś obluzował się choćby jeden z tysięcy sworzni albo, pokonana zmęczeniem materiału, zerwała się bodaj jedna mutra, to tylko z tej

przyczyny, że on czegoś nie dopatrył, o czymś zapomniał, lub coś pominął.

Niepomny dojmującego bólu w skroni wyskoczył z łóżka. Podłoga dygotała pod jego stopami, cała struktura parowca rezonowała jak ogromny dzwon i rdza osypywała się drobnitkiem proszkiem w rytm głuchych uderzeń. Zupełnie, jakby ktoś dobijał się z zewnątrz przy pomocy ćwierćtonowego młota, przemknęło mu przez głowę. Natychmiast jednak przyszła trzeźwiejsza refleksja. Nikt nie mógł taranować kadłuba okrętu, to oczywiste. Statek obracał się wokół własnej osi. Parowe silniki nadawały mu pewne przyspieszenie, zbyt słabe jednak, by zapewnić komfortową grawitację podczas dłuższych lotów. Dlatego też "Netherlanden" kręcił się jak wałek gigantycznego fonografu, w tempie jednego pełnego cyklu na każde piętnaście sekund. Skoro zaś tajemnicze uderzenia wstrząsały statkiem z taką samą częstotliwością, to wniosek nasuwał się prosty. Jakiś element konstrukcji – może płat poszycia albo szprycha czerpaka – zmienił nagle swe położenie, zaburząc nieskazitelną geometrię parowca, i teraz jeden wielki kawał metalu tłukł się o drugi. A jeśli uszkodzi coś jeszcze albo odezwie się całkowicie?

Wybiegł na korytarz, wąski i ciemny jak kopalniane wyrobisko. Zakratowane lampy w pozycji na "noc" ledwie mżyły, ale on znał tu na pamięć każdy centymetr i mógł przemierzać wszystkie zakamarki statku z zamkniętymi oczami. Co jednak jeszcze kilka godzin temu było tak znajome i przyjazne, teraz zdawało się wrogie i oskarżające. Dopuściłeś do awarii, dudnił okręt, zawiodłeś mnie! Nieprawda, to nie moja wina! – chciał odkrzyknąć na całe gardło. Zrobiłem wszystko, jak należy, jak każdego dnia. Ja wszystko zaraz sprawdzę i naprawię, usunę wszelkie, nawet najdrobniejsze usterki, przyrzekam!

Przeskakując po dwa szczeble naraz, zsunął się na dno jednej z obwodowych sztolni i wąską inspekcyjną kładką dotarł do śluzy. Skafander, choć nieużywany od tyłu lat, był w nienagannym stanie, bo i o niego dbał wedle określonych reguł. Kilka obrotów

korbą i pobłyskujący mosiężnymi okuciami ciężki strój wyjechał ze schowka, wlokąc za sobą powietrzne węże. Wyglądały na w pełni sprawne, tak samo jak pozostałe elementy instalacji do próżniowych eskapad. Jakżeby inaczej, skoro konserwował je nie dalej niż tydzień temu? Teraz jednak nawet najbardziej nieprawdopodobne wydawało się możliwe, toteż pomimo zdenerwowania nie pozwolił sobie na zbagatelizowanie procedur. Krok po kroku sprawdził obydwie wahadłowe sprężarki, szczelność przewodów i spojeń skafandra oraz wskazania manometrów w każdej z roboczych pozycji. W porządku, w porządku i tu też w porządku...

Z niejakim mozołem — kiedyż to przywdziewał ten przerobiony akwalung po raz ostatni? — wtoczył ciało do wnętrza skafandra, omal przy tym nie wybijając sobie oczu odstającymi reduktorami hełmu. Roztrzęsionymi palcami dokręcił go do kryzy i włączył kompresor. Powietrze z cichym sykiem nadęło gumowaną podszewkę, ciśnienie w komorze śluzy spadło do zera, zębate koła przekładni gładko uwolniły zewnętrzny rygiel. Masywny blok żelaza odsunął się z drogi i ostatecznie czerń kosmosu rozwarła się przed nim.

Nieudolnie, gdyż lata bez ćwiczeń pozbawiły go wprawy w obcowaniu z nieważkością, zrobił zwrot przez plecy. Nogami zaplątał się w asekuracyjnej linie i grzmotnął stalowym czerepem skafandra o odstające pokrętko wjazdu, aż zadzwoniło mu w uszach. W końcu jednak zapanował nad swymi nieskoordynowanymi rękami, włączył indukcyjny reflektor... i o mało co nie wypuścił go z ręki.

Wielki arkusz pancernej blachy odspoił się niepojętym zrządzeniem losu i machał ku niemu leniwie niby skrzydło jakiegoś anioła ciemności. Przy każdej rewolucji statku odrywał się coraz bardziej i w ostrym świetle reflektora widać było, jak krótkimi seriami odpryskują kolejne z przytrzymujących go nitów. Odpryskują i lecą w dal, lecz przez chwilę zaledwie, bo coś je natychmiast sieka, mieli i w końcu rozprasza w szybko niknący obłoczek pyłu.

Chwycił się zimnych klamer i najszybciej jak potrafił zaczął przesuwać się ku wyrwie w kadłubie. Czy jednak był w tym sens? Bo cóż robi, kiedy już tam dotrze, nieporadny i powolny w swej zbroi? Przydusi blachę obcasem? Do załatania takiego ubytku potrzebna była nitownica, urządzenie skomplikowane i wielce niewygodne, którego i tak nie miał przy sobie. Musiałby zawrócić do środka, uruchomić ją i naturalnie sprawdzić, czy machina nadal działa w zgodzie ze wszystkimi specyfikacjami, taki przeklęty mus. Widział już jednak jasno, że nie zdąży, że obluzowany fragment poszycia odpadnie lada moment i puści się w orbitalny płas wokół "Netherlanden".

A może gdyby tak legł tam całym swoim obecnym ciężarem blisko trzystu kilogramów? Pomysł, który z miejsca przegonił precz jako całkowicie idiotyczny – wszak nie ważył tu nic, a nawet "mniej niż nic" z racji siły odśrodkowej. Wszystko, co teraz mógł, to patrzeć bezsilnie na prujący się coraz bardziej metalowy szew. W końcu strzeliły ostatnie nity i poczerniały żelazny splechec zawisł swobodnie w przestrzeni. Niedługo jednak trwał w tej pozycji, gdyż nagle coś odciągnęło go od statku. Trzynaście jardów kwadratowych solidnej, walcowanej blachy zakreśliło się niczym piórko na wietrze i jawnie drwiąc z praw mechaniki niebieskiej przepadło w ciemnościach kosmosu.

Ogłupiały, wycofał się do wnętrza okrętu. Jak mogło do tego dojść, gdzie popełnił błąd? Które z wymaganych okresowo prac konserwacyjnych zaniedbał? Żadnych, tego był pewien ponad wszelką wątpliwość! Fakt pozostawał jednak faktem – "Netherlanden" doznał brutalnego okaleczenia i co gorsza, popadł w leką, acz na dłuższą metę niebezpieczną precesję. Niezdecydowany, postąpił krok w kierunku wewnętrznych wrót śluzy i zatrzymał się, dysząc niespokojnie. Nie, tak tego zostawić nie może, kim by się okazał? Musi tam wyjść raz jeszcze, zbadać dokładnie cały pancerz w okolicy uszkodzenia, wykryć defekt i przywrócić rzeczy do ich poprzedniego stanu. W warsztacie muszą być przecież jakieś zapasowe arkusze blachy, tak samo zresztą jak i nity w od-

powiednim asortymencie. To się naprawi, to się wszystko naprawi, tylko w pierw trzeba ustalić przyczynę, żeby podobna historia więcej się nie powtórzyła. Zaburzenie w ruchu obrotowym okrętu też się w ten czy inny sposób skoryguje, o ile arytmometr nadal jest sprawny. Bez niego nie obliczy niezbędnych parametrów, głowa już dawno nie ta...

Klamra za klamrą przesunął się od wjazdu do miejsca uszkodzenia, co kilka metrów zatrzymując się dla złapania tchu. Ale choć tańczył wokół dziury niczym emerytowany cyrkowiec, choć zaglądał do niej ze wszystkich stron i cał po calu obmacywał brzegi, żadnej nieprawidłowości nie znalazł. Pancerna płyta nie miała prawa utracić kontaktu z resztą kadłuba, a jednak tak się stało z przyczyn zupełnie nieodgadnionych, a przez to napawających go autentycznym strachem. Drząc na całym ciele – z zimna, a może z lęku – zmusił się jeszcze do zliczenia otworków po nitach i zaryglowawszy wjazd, pośpieszył do warsztatu.

\* \* \*

Nie mylił się, kilka okazałych czworoboków półtoracalowej stali wisiało w kleszczach suwnic. Na pierwszy rzut oka zadanie zdawało się niewykonalne. Jak, po pierwsze, wydobędzie taki blok żelastwa na zewnątrz? Przecież nie wytaszczy go stąd w jednym kawałku, nie ma nawet którędy. Zaś krojenie na mniejsze wstęgi zabierze mu całą wieczność zważywszy na sprzęt, jakim dysponował. Ale czy miał jakąś alternatywę? Nie miał. Choćby nawet pilnikiem, to poszatkuje to draństwo, cóż począć. A potem nawierci dziury, osiemset sześćdziesiąt sześć plus te, które wypadną na krawędziach zakładek. Benedyktyńska praca, niemniej czasu na jej wykonanie miał przecież aż nadto.

Zaskrzypiały łańcuchy wyciągarki i pierwsza z brzegu płyta wyjechała na środek pracowni. Mocno co prawda nadgryziona korozją, ale pod chropowatymi liszczami tlenu stal wciąż była zdrowa. Zdjął szlifierkę z narzędziowego stojaka, przejechał

opuszkiem palca po kamieniu — przez lata będzie tym ciał, nie ma dwóch zdań — i zrezygnowany wrócił do dyndającego leniwie żelaza.

Odkąd zerwany segment rozpląnął się w próżni i przestał grzmocić o kadłub, znów zapanowała cisza, błoga i naturalna. Tylko od czasu do czasu podkreślał ją krótki syk pary z wentyli bezpieczeństwa, dobroduszne bulgotanie chłodziwa w węzownikach i słabe poskrzypywania dochodzące co raz to z innej strony — efekt nieznacznych różnic termicznych między poszczególnymi sekcjami okrętu. Aż żal było zakłócać ten świątynny spokój grubiańskim wizgiem karborundu, ale nie było innej rady.

Z pomocą przebijaka oraz kawałka szyny w roli przymiaru wyłożył pionową linię cięcia, gumową rurkę zakończoną pedałem podłączył do zaworu szlifierki i w końcu zabrał się do roboty. Kamień zazgrzytał o żelazo, poleciały iskry, buchnął tuman rdzawego kurzu. Niesporo mu szło; kilkunastofuntowa maszyna bez przerwy uskakiwała na boki i ręce mdlały od zmagania z jej złośliwą niesubordynacją, a efekty wciąż były znikome. Co chwila odchodził i przyglądał się swemu dziełu krytycznie, z wolna dochodząc do wniosku, że chyba jednak porwał się na pracę ponad siły. No nic, pociągnie jeszcze ze dwa, trzy razy i zrobi sobie dłuższą przerwę, bo mięśnie zaczynały odmawiać posłuszeństwa, a w uszach jazgotało mu nawet wtedy, gdy kamień przestawał się obracać. A może to po prostu echo?

Owszem, to było echo, ale z pewnością nie jego szlifierki. Płaczliwy dźwięk dochodził gdzieś z głębi parowca, wibrował w zawieszonym powietrzu i przez kilka sekund wypełniał swoim ostrym akordem cały przestwór "Netherlanden". Po czym urwał się gwałtownie, by w chwilę później powrócić, tym razem okraszony dodatkowo chaotyczną serią postukiwań i przeciągłym zgrzytem, jakby ktoś mocował się z zapiekłą śrubą. Ktoś się mocował? Jaki ktoś, u licha, przecież poza nim nikogo tutaj nie było!

Nikogo nie ma i być nie może, wymamrotał, ale te słowa wcale nie przyniosły mu spokoju, zaś oczy rozbiegły się po warsztacie

w poszukiwaniu jakiegoś godziwego oręża. Nie znalazłszy niczego lepszego prócz paru łokci żelaznej rury, złapał ją jak maczugę i ruszył w stronę źródła dźwięków, co dwa kroki przystając i nadstawiając ucha.

Tajemnicze, a zarazem ewidentnie znajome odgłosy — pisk ostrza wgryzającego się w stal, chrobot wiertła, jęk rozpruwanej bezceremonialnie blachy - wydawały się dobiegać od strony służby numer jeden, tej samej, przez którą godzinę temu wychodził w przestrzeń. Lęk pomieszał się w nim z gniewem tak raptownym i silnym, że nie zostawiał już miejsca na jakiegokolwiek logiczne dociekania. Zaciskając pięści pognał w kierunku bluźnierczych hałasów, omal nie gubiąc nóg na progach awaryjnych grodzi. Cały harmider ucichł jednak nim przebył połowę drogi. Z rozpędu wpadł na odrzwia, zatoczył się i upuścił swój mizerny oręż. Rura zadzwoniła o podstopnik, odbiła się od niego i w aureoli błękitnych iskier wylądowała na podłodze.

Nie wierzył własnym oczom. Z kabli doprowadzających elektryczność do lamp i pozostałych urządzeń w służbie pozostały jedynie żalosne wiechcie drutów i woskowanego papieru do izolacji. Rozpaczliwie rzucił się na wajchę i pociągnął ją w dół, ale za pancerną szybą wjazdu nie zapaliło się żadne światło, zaś drewniana rękojeść została mu w dłoni. A kiedy spróbował uwolnić rygle i wejść do środka, alarm zawył rozdzierająco. Po drugiej stronie dubeltowych drzwi służby była próżnia!

To się nie dzieje naprawdę, jęknął w duchu, odrzucając z wściekłością ułamaną dźwignię wyłącznika. Przecież jestem w głębokiej, międzygwiazdnej pustce i nikt mi nie może cał po cał rozbierać okrętu, do diabła, bo tu nikogo nie ma, nikogo oprócz mnie! Koszmar senny, wciąż się z niego nie przebudziłem, oto jedyna prawidłowa odpowiedź!

A jeśli mimo wszystko istnieje inna? Owszem, nad niezliczonymi mechanizmami "Netherlanden", nad tym, by statek działał jak należy i posuwał się nieprzerwanie do przodu, czuwał z maniakalną, wręcz nabożną pieczołowitością. Ale już dokąd ów stary

parowiec żegluje, a wraz z nim również i on sam, stało się w ciągu tych wszystkich minionych lat sprawą drugorzędną, błahostką niegodną uwagi i zbyt dużym marnotrawieniem czasu, który i tak pochłaniały mu bez reszty wieczne przeglądy i korygowanie pomniejszych usterek. Nawigację zaniedbał, a właściwie w ogóle przestała go obchodzić. Czas odliczał już nie liczbą przebytych milionów mil, lecz wachtami i sekwencją prac, zapisanych w grafiku. Na mostek nie zachodził od... od... Pamięć zawiodła go po raz kolejny. W każdym razie od bardzo dawna. Być może był to z jego strony błąd i równie prawdopodobne, że na jego naprawienie jest za późno, tym niemniej próbę naprawy podjąć musi, i to natychmiast. A zatem do sterówki!

Jednak widok poszarpanych kabli sprawił, że w sekundzie zmienił zdanie. O nie, złapie wandalę i przepędzi na cztery strony Universum, choćby to był sam diabeł wcielony! Nie dbając, czy w jego zapiekłej determinacji jest choćby krzta rozsądku, podjął upuszczony drąg i ruszył biegiem wzdłuż inspekcyjnej obwodnicy do następnej ze śluz. Okręt miał ich w sumie osiem, z czego cztery rozmieszczone symetrycznie wokół centralnego torusa. Niemożliwe, by zdążyli już zniszczyć wszystkie, nie mieli po prostu kiedy!

I tak też, ku jego niewymownej uldze, było w istocie. Śluza numer dwa nie przywitała go żadnymi śladami dewastacji. Przekładnie zazębiły się gładko, rygle odskoczyły posłusznie, masywne wierzeje ustąpiły z satysfakcjonującą lekkością dobrze naoliwionych trzpieni. Prąd elektryczny również dopływał z głównej maszynowni i w ogóle wszystko w przedsiionku śluzy było w swoim zwykłym, nieskazitelnym ładzie.

Nie jest źle, pomyślał, z miejsca podniesiony na duchu, wcale nie jest tak źle. Ale czasochłonnymi procedurami kontrolnymi nie zaprzętał już sobie głowy. Sprawdził jedynie poziom mieszanki oddechowej w przenośnym cylindrze (osiemdziesiąt dwa procent nominalnej pojemności, wystarczy aż nadto), po czym w wielkim pośpiechu przyoblekł ponownie niewygodny próżniowy strój.

Czekając na wyrównanie się ciśnień śledził leniwy ruch strzałki manometru i jednocześnie dumiał nerwowo co też uczyni, stanąwszy z tajemniczymi intruzami twarzą w twarz. Być może ktoś wziął jego okręt za porzucony, bezludny wrak i wszystko skończy się na przeprosinach, gdy ów ktoś dostrzeże ewidentną pomyłkę? Albo też będzie zmuszony z nimi walczyć. Tylko jak? Spierze im tyłki półcalówką? A dysponował czymś oprócz tego? Owszem, rakiетnicą. Oręż niemal równie zabawny, ale i tak lepszy niż żelazna pałka.

Wyjął sygnalizacyjny pistolet ze schowka nad kompresorem i zważył go w ręce. Pękata lufa i nieproporcjonalnie duża rękojeść z pewnością nie wzbudzały jakiegos szczególnego respektu. Tym niemniej jednak celny, bądź nieostrożny strzał mógł spowodować groźne skutki. Długopalne flary miały tendencję klejenia się do przedmiotów i wypalania w nich kłopotliwych otworów, o ile nie zostały dostatecznie szybko zgaszone. A choćby tylko strzelił na postrach lub oślepił przeciwnika, to też coś. Złorzeczając grubym rękawicom załadował nieporadnie komplet naboі do bębna, przytroczył pistolet do jednej ze sprzączek kombinezonu i raz jeszcze wyszedł na zewnątrz "Netherlanden".

W pierwszej chwili nie bardzo wiedział, na co patrzy. Poczul się momentalnie zdezorientowany i dziwnie nie na miejscu, jak ktoś, kto pomylił drzwi i wszedł nie tam, gdzie powinien. W którąkolwiek stronę nie skierował światła — na dziób, ku rufie czy po obwodzie — wszędzie napotykał czarne jak smoła krechy szpecące kadłub. To nie jest mój okręt, pomyślał z irracjonalnym oburzeniem, on nigdy nie był taki brudny! Dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, że spogląda na rzecz z niewłaściwej perspektywy. Zaczepiony jedną ręką o cembrowinę śluzy, z obłym sklepieniem "Netherlanden" tuż nad głową, widział wszystko zbyt płasko. Musi się oddalić.

Fiknąwszy niezgrabnego kozła, złapał się masztu wyciągarki i podpiął karabińczyk do kabłąka przesuwownicy. Odbicie, jazda

przez trzydzieści jardów z okładem, jeszcze jedna mała elegancka przewrotka u samego szczytu i...

— Och, nie!

Widziane z mniej ostrego kąta czarne kreski objawiły swą prawdziwą naturę — wyrw ziejących w zewnętrznym pancerzu, podobnych do tej pierwszej. Tyle, że teraz kadłub był nimi podziurawiony jak rzeszoto, odsłaniając wnętrzości — oszronione rury, warkocze kabli i obłe grzbiety cystern wpasowanych między wręgi. Kawalek ciśnieniowego węża, powykręcane go i zamrożonego w swej esowatości na zawsze, minął jego wizjer zaledwie o cale i natychmiast utonął w mroku.

— Nie, niemożliwe... — mamrotał zbielełymi wargami, kierując snop światła to tu, to tam. — Niemożliwe!

Latarnia zaczęła przygasać, lecz jej mała korbka zupełnie nie pasowała do potężnej rękawicy, a do tego jeszcze dłoń trzęsła mu się potwornie. Klnąc głośno odpiął pistolet i przymrużywszy powieki wystrzelił trzy flary, jedna po drugiej.

Magnezjowy blask zalał statek od dziobu po rufę i ostrymi kreskami wyrysował na atramentowo-czarnym tle wielką sieć czerpaka. Nie całą, rzecz jasna, bo każda z jego głównych szprych miała półtorej mili. Jednak to, co ujrzał, wystarczyło w zupełności, żeby krew momentalnie odbiegła mu z policzków. Gigantyczny parasol ze srebrnego muślinu wyglądał jak strzaskany przez gradobicie!

To była najważniejsza i zarazem najpiękniejsza część "Netherlands", ważniejsza nawet od samych silników, które byłyby bez niej równie bezużyteczne, co eksponaty w muzeum. Czerpak stanowił konstrukcję niemal bliską ideałowi, wspaniałe połączenie technicznej maestrii ze zwiewnym czarem motyli skrzydeł albo kwiatu chryzantemy. Na sześćdziesięciu czterech smukłych dźwigarach i zwierających je chiazmach rozpięta była pajęczyna utkana z cieńszych od włosa drucików — gros wykonanych z czystego palladium, pozostała część z nieco bardziej egzotycznych materiałów. Tym kosmicznym niewodem "Netherlands" zagarniał roz-

proszoną pomiędzy gwiazdami materię i żeglując na wskroś magnetycznych pól Galaktyki zbierał dodatkowe żniwo w postaci prądu, indukowanego w metalowej kanwie czerpaka, wystarczająco dużego dla podtrzymania elektrostatycznej lepkości. To on wyłapywał z obłoku cząstki stałe, podczas gdy zjonizowane atomy i molekuly grzęzły w liniach sił wielkiego parasola. Jemu pozostawało już tylko składać go raz na dwadzieścia cztery godziny i przełączać zastawki rurociągów oraz pomp, które odsysały nagromadzone dobro.

Tak, pomyślał z dławiającym poczuciem straty, czerpak to była fenomenalna konstrukcja. Była, bo teraz z misternej koronki zostały jedynie jakieś żalodne strzępy i większość szprych sprawiała wrażenie gałązek ponadżeranych przez robactwo. Flary nieubłaganie oddalały się od statku i światła było coraz mniej. To mogło być złudzenie, ale przysięgłby, że jeden z dźwigarów czerpaka zaczął spływać własną materią jak topniejąca świeca. Spływać i zniknąć, nim połyskujące grudy metalu rozproszyły się w luźne krople...

Oniemiały patrzył na znikającą szprychę czując, jak resztki jego spokoju ducha topnieją razem z nią. Przecież takiego uszkodzenia nie zreperuje żadnym sposobem, a "Netherlanden" bez parasola to już tylko martwe, bezwolnie dryfujące dziewięćset tysięcy ton złomu! Co się dzieje? Kto mu to wszystko robi?! I co ma teraz począć? Wrócić jak najprędzej do sterówki, ot, co. Innej możliwości w tej chwili nie widział.

\* \* \*

Coś łomotało i tłukło się zapamiętałe, ale czy był to kolejny fragment dewastowanego statku czy tylko jego własne serce, nie miał pojęcia. Chciał tylko dostać się jak najszybciej do tej przekłetej sterówki. Precesja "Netherlanden" stawała się coraz bardziej wyczuwalna. Okręt wibrował i jęczał pod torturami niezbilansowanych naprężeń, a wąska kładka bez przerwy chciała uciec mu

spod nóg. Biegł zataczając się i co kilka kroków łapał za rozchybotane łańcuchowe poręcze, które podzwaniały ogniwoami niczym kajdany galerników. A jeśli sterówki też już nie ma, jeśli na końcu tego korytarza czekają go jedynie zatrzaśnięte na głucho grodzie? Ktokolwiek czynił gwałt jego okrętowi, robił to zatrważająco szybko, efektywnie i bez cienia skrupułów. Oczami wyobraźni widział już gołe wręgi, kikuty tuneli inspekcyjnych i poszarpane węże siłowników, tryskające w otwartą przestrzeń pióropusami momentalnie rozprężającej się pary.

Na szczęście korytarz okazał się drożny na całej swej długości i żadna zamknięta gródź nie wyrosła mu nagle przed nosem. Ale dziobowa sekcja okrętu przywitała go sceną kompletnego nieładu. Co nie było przymocowane na stałe – nadzarte pleśnią książki, pęknięta tuba patefonu, linoryty i korki od karafek – szurało teraz, turlało się bądź koziołkowało z grzechotem, w zależności od kształtu i swego materialnego charakteru. Trzaskały pootwierane drzwiczki, co drugi zegar miał stłuczone szkło i łyskał ku niemu nagą białą emaliowaną tarczą, a zwoje map powypadały ze swych przegródek i rozwinęły się niczym dywaniki.

W pierwszym odruchu rzucił się, by je pozbierać i pieczołowicie zrolować, natychmiast jednak odepchnął je na bok z niecierpliwością. Nie po to tu przyszedł, żeby robić porządki, lecz po odpowiedź, po jakiegokolwiek wyjaśnienie tej makabreski. Dziennik pokładowy, gdzie widział go ostatnim razem? Ani chybi w sejfie nad główną konsolą, wszak tam było jego właściwe miejsce. Sejf jednakże okazał się pusty, jeśli nie liczyć kłębow kurzu zmieszanych z pogruchotanym szkłem jakiejś butelki. Na szron i ciemność, gdzież więc... Tam!

Porwał dziennik spomiędzy odłamków na podłodze i chwiejnym krokiem wrócił z nim do głównego pulpitu. Zaraz wszystko stanie się jasne, musi stać się jasne, przecież każdy skutek ma swoją przyczynę i każdy ciąg zdarzeń można rozłożyć i zanalizować krok po kroku. To tylko poezja i jeszcze parę innych wynaturzeń ludzkiego umysłu jest skomplikowanych oraz wewnętrznie

niespójnych. Cała reszta Wszechświata wraz z zaludniającymi go bytami i choreografią ich postępów jest, gdy spojrzeć na nie z poziomu linii bazowej, zasadniczo pojmowalna i czytelna jak mechanizm chronometru. Działania podążają według prostych schematów, ich motywy wynikają z określonych źródeł, a konsekwencje zawsze można przewidzieć, jeśli tylko znamy dane początkowe, nieprawdaż? On zaś nie jest wyjątkiem od tej uniwersalnej reguły, wystarczy zatem, aby prześledził swoją własną historię. Czuł, że to, w czego centrum teraz się znalazł, jest wypadkową jego przeszłych decyzji, a jedynym problemem było, że ich nie pamiętał. Ale po to właśnie istnieją dzienniki pokładowe, żeby dopomóc ułomnej pamięci dojść sedna, prapoczątku, tego punktu w czasie i przestrzeni, gdzie przysłowiowy motyl zatrzepotał skrzydłami i obruszył całą lawinę. Od czego zaczęła się ta podróż i dokąd zmierzał, oto jest pytanie...

Dziennik, który ostatni raz trzymał w ręku dziesięć albo i więcej lat wstecz, wyglądał jak nowy, bez jednego śladu po palcach czy drobiny kurzu na mosiężnej oprawie z napisem >>FSS "Netherlands"<<. W pierwszej chwili umknęło mu to jednak zupełnie, bo nie okładki go interesowały, lecz wnętrze. Nerwowym ruchem otworzył wolumin na pierwszej stronie z mozaiką rejestracyjnych pieczęci, datą opuszczenia stoczni oraz dziewiczego rejsu, nazwą armatora i innymi głupstwami, które w tej chwili interesowały go mało. Dalej, dalej! Gdzie, do kroćset, są jego własne wpisy?

Ku swemu zdumieniu znalazł je, a właściwie tylko jeden, dopiero na szóstej stronie. Lakoniczny tekst, skreślony szybkimi, niedbałymi pociągnięciami pióra:

"Dłużej tego nie zniosę. Gdzieś musi być coś innego, jakiś sens, jakiś cel nadrzędny i ważny sam w sobie, jakaś prawda ostateczna i wyjaśnienie powodów naszej egzystencji, naszego bytu oparte go na bezustannym niszczeniu."

Dwakroć przewertował dziennik od deski do deski, nie znajdując niczego prócz owych czterech enigmatycznych zdań. Niczego,

mimo że przez pierwsze lata podróży prowadził zapiski z całą sumiennością. Owszem, później się w tym zaniedbał i w końcu całkowicie zaprzestał pisanie, ale choć nie pamiętał już mnóstwa szczegółów z przeszłości, tylu pustych stron nie było!

Zły, trzasnął okładkami i odepchnął od siebie dziennik. A więc wyruszył samotnie w kosmos, żeby szukać rozwiązania zagadki człowieka bytu? Może i tak, może rzeczywiście taki impuls pchnął go niegdyś w czarną otchłań, cóż jednak mu po tej wiedzy teraz, jakiz z niej pożytek w jego obecnej sytuacji? I gdzie, do diabła, podziały się te wszystkie przekłete zapiski – dane nawigacyjne, poprawki kursu, współrzędne portu docelowego, jeśli takowy w ogóle istniał? Zupełnie, jakby ktoś wykopał dziennik w spirytusie, odbierając mu tym samym ostatnią szansę powrotu do wspomnień. Tylko dlaczego ocalał ten jeden akapit? Wskazówka? Memento? Surrealistyczny żart? Czyj żart, na Boga?!

Powoli i z nadzwyczajnym wysiłkiem, niczym furgon grzęznący w błocie, zaczął sobie przypominać różne ogólniki. Bez wątpienia znajdował się gdzieś we wnętrzu Voertzee Wolk, wyjątkowo gęstego nawet jak na astronomiczne standardy skupiska materii o objętości kilkunastu parseków sześciennych. Zasobnego w węgiel, wodór i tlen – wszystko, co trzeba, by bez obaw o wyczerpanie paliwa sycić parowe krążowniki, takie jak jego "Netherlands". Obłok krył w sobie kilka układów planetarnych, z czego jeden zamieszkały – tyle było wiadomo na pewno. Poza tym jednak stanowił ogromny, czarny wór pełen zagadek i niewiadomych. Tabele astrogacyjne były fragmentaryczne i niespójne, a w historiach, do których mozolnie wracała jego pamięć, więcej było bajdurzenia i konfabulacji niż faktów. Czyż jednak nie jest powiedziane, że w każdej, nawet najbardziej fantastycznej legendzie tkwi ziarenko prawdy? I któż tak naprawdę wie, co pływa w na wpół organicznym bulionie Voertzee Wolk? Kosmiczni bukanierzy, zbłąkane flotylle z innych światów, niewidzialne monstra żywiące się metalem? Wszystko już wydawało mu się w tej chwili możliwe, absolutnie wszystko.

W następnej sekundzie uderzyła go myśl, że wytłumaczenie może być prostsze i daleko bardziej prozaiczne. Że oto po latach ślepej żeglugi istotnie dokąś przybył, być może na zaparkowaną w bezkresie obłoku stację albo na obrzeża sąsiedniego systemu, i tylko otumaniony paniką oraz zaskoczeniem przeoczył oczywiste tego oznaki. Ruch tutejszych okrętów mógł łatwo zignorować, nawoływań portowych radiolarów nie odebrać, światła pozycyjne orbitalnych doków wziąć za przebijające się przez mroczny welon światło pobliskich gwiazd. Choć prawdę mówiąc, żadnych gwiazd podczas swej niedawnej bytności na zewnątrz nie dostrzegł. Ale też nie one zaprzętały wówczas jego uwagę...

Chwyając się czego popadło dla utrzymania równowagi, ruszył ku drabinie wiodącej do dziobowego obserwatorium. Nie lubił tego zakątka statku i ostatnimi czasy w ogóle go nie odwiedzał ani też nie zaglądał do centralnego tubusu z poziomu wyższego niż górne piętro maszynowni. Przejścia z zewnętrznych sekcji w nieważkość i klaustrofobiczną ciasnotę głównego szybu zawsze przygotowały go o dyskomfort. A teraz dodatkowo przyjdzie mu zmagać się z precesją "Netherlanden". I to w rurze o średnicy zaledwie dwunastu stóp! Czuł się jak głupek, co to ku ucieście gawiedzi został wepchnięty do beczki śmiechu. Dudnienie, które niosło się ponurym echem z dna żelaznej studni rozsadało mu głowę, pałaki szczebli wciąż umykały spod palców, a plecy, kolana i barki raz po raz odbijały się boleśnie od twardych ścian niczym kamyczki w potrząsanej wściekle grzechotce.

Do obserwatorium dowłókł się bogatszy o kilkanaście siniaków i zaczątki najprawdziwszej choroby morskiej. Niewielka kopuła z berylowych tafli, wieńcząca "Netherlanden", zataczała się już po okręgu o średnicy czterech albo pięciu jardów. Przy takim wybićiu z osi astrokompas był całkowicie bezużyteczny, teleskop jednak stanowił inżynierskie arcydzieło i żyroskopowe serwomechanizmy wciąż zdolne były utrzymać przyrząd w zadanej pozycji. Ale on miał tylko swój zmaltretowany błędnik i poobtłukiwane

ręce, które w tej chwili chciały przede wszystkim znaleźć jakiś solidny punkt oparcia.

Regulacyjne pokrętko lunety nawinęło się jako pierwsze. Złapał zań bez namysłu i fruując niczym orzeszek po pustej łupinie podciągnął twarz do okularu, omal nie łamiąc sobie przy tym nosa. Mosiężna rura teleskopu poderwała się gwałtownie ku górze, natychmiast jednak ukryte zębatki i przekładnie sprowadziły ją do poprzedniego położenia. Niechybnie zafiksowanego na jakimś niebieskim drogowskazie, na owym celu, którego tak bardzo pragnął teraz dociec!

Lecz kiedy przytknął oko do gumowej muszli okularu i poprzez skomplikowany układ zwierciadeł zajrzał w głębinę Voertzee Wolk, rozczarowanie ukłuło go jak żądło. Żadnej przewodniej gwiazdy, żadnych światel nieznanego portu ani roju obcych statków. Nic, tylko czerń, bezdenna, bezpostaciowa, beznadziejnie zimna i obojętna czerń! Milcząca, martwa i pusta jak całe jego życie i jak ta przeklęta głowa, w której żadne drzwiczki ani sekretne szufladki za nic nie chcą się otworzyć! Dlaczego? Dlaczego wszędzie, gdzie się odwróci, napotyka tylko pustkę i chaos, brak w miejsce obecności, kąśliwą drwinę zamiast powagi, tysiące pytań zamiast jednej, klarownej odpowiedzi?

Zakręcił wściekle śrubami, kierując teleskop to tu, to tam. Nic, ale to absolutnie nic! Nie, zaraz — a jednak coś! Jakiś kształt niewyraźny, ledwie o ton jaśniejszy od tła przemknął w polu widzenia teleskopu. A może to był tylko powidok, omam wzrokowy spowodowany naciskiem okularu na gałkę oczną? Jeszcze nie dokończył myśli, kiedy ciemnoszare widmo ruchu powtórzyło swój taniec. Ułamek sekundy później kopuła obserwatorium zahuczała jak wielki kryształowy dzwon.

— Co...?

Nie patrzył już przez lunetę, nie musiał. Deszcz powyginanych, poszarpanych i ewidentnie nadtopionych żarem kawałków metalu obruszył się nie wiadomo skąd, bombardując zaciekle berylowe sześciokąty. Przez kilka chwil obserwował w kompletnym osłu-

pieniu, jak nieforemne pociski na mgnienie wyłaniają się z ciemności i jak pajęczko cienkie rysy rosną na iluminatorach w miejscach uderzeń i rozkrzewiają się złowieszczo. Jeszcze chwila, a kopuła eksploduje tysiącem przezroczystych drzazg!

Uciekł krzycząc. Cokolwiek jednak wyrwało się z jego gardła, utonęło w huku wybuchającego obserwatorium. Ręce szukały na oślepiep szczebli i znajdowały je z precyzją oraz szybkością, jakie tylko paniczny strach zdolny jest wydobyć z człowieka. Dziób "Netherlanden" rozpadał się wokół niego. Nie zdąży, nie prześcignie tej piekielnej, niszczycielskiej siły, która z narastającą furją parcelowała i pożerała okręt!

Był już *vis a vis* przejścia do sterówki, gdy coś pchnęło go brutalnie w plecy. Jakimś cudownym zbiegiem okoliczności, mapy — te same, którym wcześniej tak lekceważąco odmówił uwagi — zebrały się wielką zaspą u wylotu szybu i złagodziły upadek. A potem zmięte rulony owionęły mu twarz i z głośnym szelestem poczęły frunąć ku górze, wessane podciśnieniem. Huragan kurzu, ostrych odłamków i wszelkiego innego śmiecia runął na niego i przygwoździł do ściany. W ostatniej chwili złapał za coś — nogę od fotela, a może podłogową klamrę — i zaczął się czołgać pod prąd uciekającego gwałtownie powietrza, uparcie, na oślepiep, cal po calu, wciągając resztki tlenu do płuc coraz bardziej rozpaczliwymi haustami...

\* \* \*

Jestem jak bankrut, pomyślał. Jak zdetronizowany władca, jak człowiek, którego w środku nocy zaskoczył komornik z nakazem eksmisji. "Netherlanden", jego dom od prawie pół wieku, życie całe, jądro bytu i przedłużenie jestestwa, nie należał już do niego, lecz do demonicznej ekipy rozbiórkowej. W ciągu zaledwie kilku godzin okręt zamienił się w miejsce obce i nieprzewidywalne, w koszmarnie więzienie rodem z chorej wyobraźni jakiegoś gryzi-piórka, w labirynt pułapek, makabrycznych niespodzianek i za-

trzaskających się drzwi. Nawet drogę do swojej kajuty musiał odkrywać na nowo, bo w międzyczasie statek uległ dramatycznym rekonfiguracjom.

Powlókł się do niej, półżywy z wyczerpania, bo nie wiedział, dokąd jeszcze mógłby pójść i co uczynić. Zniszczenie dziobowego segmentu było w praktyce równoznaczne z ostateczną utratą kontroli nad statkiem. Jard po jardzie sześcinnym odbierano dostępną mu przestrzeń. Przejścia do coraz większej liczby kluczowych sekcji "Netherlanden" okazywały się zatarasowane litą ścianą. Czuł się jak szczur, zapędzany powoli do kąta. I co, kiedy już się w nim znajdzie? Przyparty do muru, w ostatnim rozpaczliwym zrywzie rzuci się im wściekle do gardeł udowadniając w ten sposób, że tu jest, że istnieje, że nikomu nie wolno tak bezkarnie i bezdusznie wszystkiego odbierać? Śmieszna, żalсна myśl, wszak od dawna jego obecność tutaj musi być im znana i ewidentnie nie stanowi żadnej przeszkody w realizacji diabolicznego planu. Jest dla nich nikim i niczym, równie pozbawiony substancji i niewydzielny jak oni dla niego...

Nikim? To się jeszcze okaże.

\* \* \*

Okręt nie kręcił się już jak bąk; widocznie precesja "Netherlanden" wadziła także im i w jakiś sposób została przez nich skorygowana. Im? Czy może jemu? Teraz to i tak bez znaczenia, pomyślał ze stracenią obojętnością. Niewiele już tliło się w nim ognia, duch wystygł i spopielał. Ale na tę jedną, ostatnią manifestację wolnej woli, na ten pożegnalny akt oporu przeciwko ślepym i bezimiennym sługom przeznaczenia jeszcze go było stać.

Okręt wciąż rozbrzmiewał odgłosami postępującego demontażu. On jednak był dziwnie pewien, że nic ani nikt nie przeszkodzi mu w dotarciu do głównej maszynowni. Desperacja oraz klarowna jasność celu nieoczekiwanie wyostrzyły jego umysł i uporządkowała rozbiegane myśli. Mgła tysięcy pytań rozwiewała się z

wolna, zrozumienie dojrzewało i każdy krok przybliżał go nie tylko do rufy "Netherlanden", lecz także do sedna tajemnicy.

To pozorne szaleństwo, w którego centrum się znalazł, nie było wcale bezmyślną orgią niszczenia, lecz procesem dokładnie wyreżyserowanym. Jego statek był ćwiartowany wedle podręcznikowej nieomal hierarchii kroków, już to dostrzegał. W istocie, gdyby to on miał kierować podobnymi działaniami, zaplanowałby całą rzecz dokładnie w ten sam sposób i prowadził ją w takim samym porządku. Taki był jego charakter, teraz, po tych wszystkich latach współistnienia z mechanicznym organizmem statku, że nawet zniszczyć nie potrafiłby niczego w akcie nieopanowanej furii. Już raczej pedantycznie rozłożyłby na części ze schematem w rękę, gdyby dany obiekt – międzygwiazdny krążownik na parę, lokomobila, chronometr, nieważne, co – dobiegł kresu swej użyteczności. Dobiegł kresu swej użyteczności, dobiegł kresu, dobiegł..

Zatrzymał się gwałtownie w pół kroku, zachwiał i ogarnięty nagłą słabością zawisł na grzechotliwym relingu. Jakże to, więc ja sam miałbym to wszystko wyrządzać sobie? Myśl była zbyt niedorzeczna, zbyt chora, by mógł ją przełknąć. Nie, jemu się to wszystko wciąż śni. Z nieprawdopodobnym realizmem i drobiazgowością, ale tylko śni, a jedyną drogą ku jawie jest właśnie to, co przed paroma minutami zamierzył. Ten czyn irracjonalny, krańcowy, zaprzeczający jego zmechanizowanej, zeszywniałej naturze. Zrobi to, dowlecze swój złowrogi majak do finału i po prostu obudzi się jak gdyby nigdy nic.

\* \* \*

Maszynownia "Netherlanden", ostatnia część statku, która wyglądała na nietkniętą, przywodziła na myśl bazylikę ku czci bóstwa industrialnych mocy. Szesnaście potężnych chemicznych konwerterów pomrukiwało do siebie basowo, pompy sapwały niestrudzenie, turbiny grały unisono, elektryczne stopy iskrzyły filu-

ternie, tłoki i koła zamachowe odmierzały czas swymi posunięciami i obrotami. Całe bogactwo przepastnego Voertzee Wolk, zagarnięte przez czerpak statku, kończyło tutaj swój chaotyczny taniec i zarazem rozpoczynało go od nowa. Wodór i tlen reagowały ze sobą w kontrolowanych warunkach, związki węgla spalały się w radiatorach pod kotłami, z których przegrzana para wędrowała do rozprężników i w końcu poprzez dysze ulatywała z powrotem w kosmos, popychając okręt słabo, lecz za to bezustannie. Wszystko nadal działało bez zakłóceń, chociaż transport surowców już jakiś czas temu musiał ulec przerwaniu. Widocznie maszyna czerpała z buforów zapasowych...

Wszedł, a raczej wślizgnął się wstydliwie w półmrok cylindrycznej hali jak niktak, który za chwilę zdradzi wszystko, co było dla niego najdroższe i najświętsze. Rozum próbował go uspokoić; wszak, jeśli to jawa, to i tak nic z tego nie ocaleje, jeśli zaś tylko senne majaczenia, żadnym prawdziwym złem jego postępek nie zaowocuje. A jednak żal ścisnął go za serce i lęk obudził się w nim na nowo. Gdzieś z najgłębszych zakamarków mózgu wychynął nagle strzęp wspomnienia, niemożliwie odległego i wypłowiałego, odcisk w pamięci całkowicie niemal zatarty. Jego dłoń, o ileż młodsza, opuszcza się wraz z ciężką pieczęcią na jakiś dokument, gazeta i sprawozdanie jedno obok drugiego na biurku, dwieście pięćdziesiąt tysięcy zabitych oraz rannych, straty materialne rzędu... Czyżby to jego własna przeszłość stanęła mu znienacka przed oczami, czy tylko jeszcze jedna z onirycznych konfabulacji?

Mimowolnie przesunął palcami po gładkim, rozgrzanym cieleisku najbliższego konwertera. Nie, tak było w istocie, a zatem niszczył już przedtem. Destrukcja była wpisana w jego duszę, ale musiał zatoczyć pełne koło i przejść przez wszystkie ekstrema oraz formy ucieczki przed nieuniknionym, żeby to wreszcie pojąć.

Nie wiedzieć czemu uśmiechnął się błogo do owych myśli. Prawda o sobie, choćby nawet tak banalna i podła, lepsza była od

jej kompletnego braku. Najgłębiej skryta zagadka obnażyła w końcu swe zimne ostrze i dźgnęła go w bok, lecz on przyjął to niemal z ulgą. A więc robi to, co robi, bo po prostu nie ma innego wyjścia, bo taka jest człowiecza rola w tym universum – burzyciela porządku, siewcy chaosu, nieobliczalnego i nieprzewidywalnego fatum, które pomimo całej swej pozornej rozumności działa zawsze i wszędzie jak kamień spadający w środek precyzyjnego mechanizmu. Samotny lot donikąd miał być tej tezy zaprzeczeniem, ale nie da się zaprzeczać oczywistemu. To nie był żaden sen, to była rzeczywistość, która dla niego już wkrótce się zamknie, zwieńczona dramatycznym finałem.

Bez pośpiechu wszedł na górny poziom galerii, gdzie bateria kontrolnych manometrów, termopar i zaworów pobłyskiwała oleścicie. Czułym ruchem pogładził mosiężne tuleje, przetarł szkła, za którymi czarne wskazówki podrygiwały w rytm maszynowego pulsu, drżącymi opuszkami przesunął po dźwigniach, wypolerowanych jego własnymi rękami do zwierciadlanej gładkości. W końcu zatrzymał dłoń na wielkim czerwonym kole, zaplombowanym odkąd statek opuścił stocznię gdzieś tam hen, daleko w czasie i przestrzeni. To był główny reduktor odcinający dopływ pary z kotłów do dysz. Wystarczyło przekręcić go w prawo do oporu przy jednoczesnym zablokowaniu bezpieczników inercyjnych. Od tej chwili pozostanie mu od trzech do pięciu minut, nim ciśnienie w kotłach przekroczy dwieście siedemdziesiąt atmosfer i rozsądzi je jak papierowe torebki.

Zawahał się, lecz tylko przez mgnienie. Trzasnęła zerwana plomba i koło ruszyło z nadspodziewaną lekkością. Bezpieczniki natychmiast odpowiedziały gwizdem ulatniającego się nadmiaru pary i jeden po drugim umilkły, kiedy opuścił dźwignie zaworów do pozycji "blok". Trzy do pięciu minut, najdłuższych w jego życiu. Lecz zarazem jakże wspaniałych dzięki świadomości, że to do niego należy ostatnie słowo, że to nie żadne zło bez oblicza, ale właśnie on postawi kropkę nad "i". Dreszcz przebiegł go od stóp

do głów. W nagłym uniesieniu wyrzucił ramiona w górę i ryknął na całe gardło:

– Wiem, kim jestem, i mogę, co zechcę! Nikt z was mi już tego nie zabie...!

Nie dokończył. Nagły wir powietrza wykręcił mu ręce, porwał go w górę, rzucił o relingi i jak worek pełen szmat przeciągnął po kratownicach. Zwalniające już bezpieczniki znowu przyśpieszyły, czarne strzałki ciśnieniomierzy skoczyły dziko, czerwone koło skrzywnęło i wróciło do swej pierwotnej pozycji, ogłuszający świst pary wypełnił maszynownię...

Chciał wstać, rzucić się na drewniane rękojeści, ocalić resztki swej determinacji. Ale jego palce ześlizgnęły się bezsilnie po mosiężnym słupku. Niewidzialna dłoń pochwyciła go za kark i cisnęła o ścianę niczym lalką, a potem odwlokła bezceremonialnie i porzuciła niedbale na progu rufowej śluzy. Właz do niej był szeroko otwarty.

– Błagam, ja chcę tylko zrozumieć – zakwilił rozpaczliwie. – Tylko zrozumieć! Dlaczego zabieracie mi nawet to?

Nikt mu nie odpowiedział, nikt nie przejął się jego błaganiami. Maszynownia pustoszała na jego oczach, znikająca element po elemencie jak niepotrzebna już scenografia, tłoki, przekładnie, mimośrodki i łopatki turbin – wszystko topniało i rozpływało się na podobieństwo fatamorgany. Oślepiające światło elektrycznego łuku wybuchło w kilkunastu miejscach naraz, para trysnęła krzyżującymi się gejzerami i zaczęła uciekać przez szczeliny w kadłubie, których liczba rosła lawinowo. Ujrzał, jak ażurowa wstęga kładki wybrzusza się, pęka w poprzek, wywija się i pędzi ku jego twarzy jak ogon skorpiona.

– Boże mój...

Żadna myśl ani strach nawet, bo ten zdążył ustąpić miejsca tępej rezygnacji, lecz czysty, zwierzęcy instynkt dodał mu ostróg. Zerwał się na równe nogi i nim pęknięta kładka zdążyła zagarnąć go swym poszarpanym jęzorem, wskoczył do przedsionka śluzy. Szcęk opadających rygli i niemal jednoczesny łoskot złomu, usi-

lującego staranować masywne drzwi, to było całe jego requiem. Zatrzaśnięty w stalowym grobowcu ciśnieniowej komory, zagnany do najodleglejszego narożnika nie miał już dokąd uciec. Owszem, istniało jeszcze jedno wyjście – przez zewnętrzny właz – tylko cóż to za wybór? Niby żaden, po prostu odwlecze koniec o nędzne kilkanaście minut. Lecz mimo wszystko godniej jest wstąpić na szafot samemu niż czekać na kata w celi, w której zamknięto go bez sądu i bez wyroku, bez jakiegokolwiek uzasadnienia czy szansy na obronę, bez żadnych wyjaśnień.

Skafander przyoblekł na wpół świadomie, obojętny na to, czy ów konkretny egzemplarz w ogóle nadaje się do użycia. A potem sięgnął do rygli... które znikły, nim położył na nich swą dłoń. Właz, kompresor, okratowana lampa pod sufitem, ściany, wierzaje i podłoga śluzy – wszystko to rozwiało się jak mgła o poranku i pustka rozpostarła się nagle z każdej strony. Jego niegdyś wspinały "Netherlanden" dogorywał bezgłośnie, rozpuszczał się w tym bezmiarze rojem scyntylujących odłamków, w które niebawem pewnie i on się zamieni. Może mu tego łaskawie oszczędzą, może się wcześniej po prostu udusi... Ale bez względu na ostateczną formę i smak cierpienia, niczego więcej już się nie dowie, choćby błagał i wykrzykiwał swoją gorycz do ostatniego tchu. To zresztą nastąpi niebawem, wskaźnik manometru z fatalistyczną bezwzględnością zbliża się do zera...

...by na dwie kreski przed czerwonym polem nieoczekiwanie znieruchomieć, a potem zawrócić.

\* \* \*

- To była nasza czwarta próba, panie prezydencie.
- I mówi pan, że tym razem o mało co nie rozwalił statku?
- Gdybyśmy w porę nie zneutralizowali systemów autoniszczących...
- Hmm...
- Jest jeszcze taki wariant...

- Nie, żadnych nowych wariantów.
- Słucham?
- Koniec.
- Ale... Przecież nie możemy go tu zostawić!
- Już zadecydowałem.
- A co ze wszystkimi naszymi zasadami? Co z prawdą?
- Jaką prawdą?
- Ludzie powinni się dowiedzieć...
- Dowiedzieć? Tylko o czym? O błędach, które Admirał popełnił, doprowadzając niemal do unicestwienia naszego korpusu ekspedycyjnego przez Obcych? O bitwie, ostatecznie zwycięskiej, niemniej okupionej trudną do zaakceptowania liczbą ofiar? O flagowym FSS "Netherlanden", który jako jedyny z tego piekła ocalał i o samotnym szaleńcu, odnalezionym na pokładzie? O tym, jak przez rok próbowaliśmy i nie udało nam się go wyciągnąć ani z pokancerowanego krążownika, ani z urojeń, w których zasklepił się jego okaleczony traumą umysł? Ludziom, drogi doktorze, do niczego taka prawda nie jest potrzebna. Ludzie nie chcą psychiatrycznych ekspertyz, tylko bohaterów. Najlepiej żywych i zdrowych, ale jak znam życie, to woskowa kukła złożona z całą pompą na kryształowym katafalku też im wystarczy.
- Gdyby pan prezydent zezwolił nam jeszcze na jeden...
- Nie, nie zezwalam. Nie mam również zamiaru odwlekać decyzji o budowie mauzoleum.
- Mauzoleum kogoś, kto wciąż żyje?!
- Tak. I wołałbym, żeby to pozostało między nami.

# Byłem robotem Jej Królewskiej Mości

*Opowiadanie ukazało się w SCIENCE FICTION, październik 2004*

Jak to, nie poznajecie mnie, naprawdę? No cóż, możliwe, że po tych wszystkich koszmarnych przeróbkach i pożałujcie Boże "usprawnieniach" nie prezentuję się tak okazale i dostojnie, co ongiś, ale to wciąż ja, słynny Mintel-Carrington S501, seria limitowana i niegdysiejszy kamerdyner w Pałacu Ducklingdam. I choć mój zewnętrzny wygląd bardzo się ostatnimi czasy zmienił, duma nadal przepelnia mnie na wspomnienie zaszczytu, jaki dzięki łaskawemu losowi przypadł mi w udziale.

Zapewne Leigh Chesters, szef działu sprzedaży mojej macierzystej firmy, powiedziałby zaraz, że los ani inne temu podobne głupoty nie miały z tym nic wspólnego. Ale cóż może wiedzieć o meandrach opatrności jakiś specjalista od marketingu, notabene były handlarz zielenią? Raczej niewiele.

Na świat przyszedłem w Bauvan, niepozornym miasteczku gdzieś po drugiej stronie Kanału von Mausch. Z powodów jak mniemam czysto ekonomicznych, Carrington Co. Ltd przeniosła tam jedną ze swych fabryk produkujących tani sprzęt gospodarstwa domowego. Z jeszcze bardziej niejasnych przyczyn zmontowano w tych zakładach również i mnie. Mógłbym to poczytać sobie za afront, i to podwójny, bo nie dość, że urodziłem się wśród

mechanicznego pospółstwa, to jeszcze z dala od mej umiłowanej Brytfnanii. Jednak z biegiem czasu moje emocje znacznie osłabły. Nie tworzywo jest ważne ani miejsce poczęcia, tłumaczyłem sobie, lecz godność i szlachetność. A tych cech nigdy mi nie brakowało.

Swym profesjonalnym umiejętnościom również nie mógłbym niczego zarzucić. Przeciwnie, zawsze uważałem i do tej pory uważam, że w swej kategorii zawodowej nie miałem sobie równych. Trudno się zatem dziwić dojmującemu poczuciu niespełnienia, w jakim żyłem przez pierwsze miesiące po opuszczeniu hałaśliwych zakładów w Bauvan. Mizerię mego ówczesnego bytu i groteskowość narzucanych mi zadań wspominam raczej niechętnie. Wybaczcie zatem, że przemilczę szczegóły. Dość rzec, że służyłem podówczas jako eksponat i chodząca reklama technologicznych dokonań concernu.

Szczyt mojego upokorzenia przypadł na wystawę IXPO'42, gdzie byłem zmuszany do wykonywania skomplikowanych układów tanecznych ze stosem talerzy na głowie i innych błazeństw. W przerwach zaś roznosiłem drinki i zakąski jak jakiś pospolicity auto—kelner! Nawet bym o tym nie mówił gdyby nie to, że właśnie podczas jednej z rund pomiędzy stolikami nastąpił w moim życiu radykalny zwrot.

— To jest to wasze nowe чудо?

— Zgadza się, Wasza Książęca Mość. S501, pozwól do nas na chwilę.

Wiem, że robotowi nie przystoi oceniać ludzi, ale cóż ja poradzę, że od pierwszej chwili szczerze nie znosiłem Leigh Chestersa? Jego obłuda, afekcja i pożałowania godny brak manier były mi w najwyższym stopniu niemiłe, a już najbardziej ten obrzydliwy sterownik w prawej ręce, dzięki któremu mógł w każdej chwili zmienić mnie w swoją bezwolną marionetkę!

Z tacą pełną koktajli i koreczków anchovis podpłynąłem ku gromadce Bardzo Ważnych Osób, co wywnioskowałem z pierw-

szorządnej garderoby, jaką mieli na sobie, a także z zaciekawionych spojrzeń rzucanych w ich kierunku.

— I cóż on jeszcze potrafi, poza serwowaniem aperitifów?

O, wstydzie! Jakżeż ja się wtedy poczułem, moi drodzy, od stóp do głów w jarmarcznej kombinacji szmat, lampek i kretyńskich hologramów! Tym bardziej, że stał przede mną nie kto inny, lecz sam książę Anzelm Mroock-Wickhamshire, brat naszej umiłowanej królowej Marii Emanueli...

— Och, możliwości tej niezwyklej maszyny są praktycznie nieograniczone. — Chesters zamachał rękami z kupiecką egzaltacją.

— Nieograniczone, hm... — Książę uśmiechnął się ironicznie do jednego z towarzyszących mu dżentelmenów. — Gdyby zrobili wreszcie coś, co nie potyka się na schodach i nie wpada na meble, to już byłby wielki sukces.

— S501 potykający się o stopnie? Wasza Wysokość raczy żartować — Chesters odwrócił się do mnie. — Proszę, zademonstruj nam swoje zdolności motoryczne.

Zademonstrowałem, czemu nie? I to z taką werwą, że książę oniemiał, Chestersa zaś omal nie rozsadziło z dumy.

— Nic dodać, nic ująć, nieprawdaż? — zaświergotał ten sklepiarkarzyna. — Właściwie jestem tu zbędny, bo S501 doskonale reklamuje się sam.

— Dobry Jezu, przecież to nie jest żaden robot, tylko jakaś primabalerina! — wykrzyknął Jego Książęca Mość. — Zrobiliście go na zlecenie Opery Królewskiej?

— Nie, ale przypuszczam, że i tam świetnie dałby sobie radę. — Chesters wypiął pierś z takim zadowoleniem, jakby to on mnie wymyślił i zbudował własnoręcznie. — Proszę mi wierzyć, Wasza Książęca Mość, ten android nie ma i jeszcze długo nie będzie miał sobie równych. Końcowy efekt ponad piętnastu lat badań i wielomilionowych nakładów. S501 to robot, śmiem twierdzić, perfekcyjny.

— Przynajmniej ruchowo, z tym się zgodzę — mruknął książę.

— Nie tylko, Wasza Książęca Mość, nie tylko. Nawet nie przede wszystkim. S501 został stworzony po to, by służył człowiekowi w każdych okolicznościach, by był jego najlepszym i najbardziej uniwersalnym przyjacielem. Dlatego też największy nacisk położono na jego parametry kognitywne i samodzielność w podejmowaniu decyzji. To, co ta maszyna ma w głowie, to prawdziwy majstersztyk naszych para-neuroników i behawio-programistów. Pod opieką S501 można bez obaw zostawić małe dziecko, ze spokojną głową posadzić w fotelu zamiast sekretarki albo wysłać go jako koordynatora akcji na miejsce klęski żywiołowej. Ze wszystkich tych zadań wywiąże się on znakomicie i kreatywnie.

— Przepraszam, a ile ten mechaniczny superman kosztuje? — odezwał się ktoś zza pleców księcia Anzelma.

— Na razie planujemy wypuszczenie serii próbnej, żeby przetestować rynek. Stąd też cena będzie początkowo dość wysoka, z pewnością nie na przeciętną kieszeń. — Chesters spowaźniał, widząc, że rozmówcy przechodzą do konkretów.

— Jak wysoka? — zapytał książę.

— A czy ktoś z państwa byłby zainteresowany?

— Nie, nie, Jego Książęca Mość pyta tylko z czystej ciekawości...

— Eryku, nie wtrącaj się, proszę. — Książę zgromił wzrokiem swego sąsiada z lewej, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Na widok książeczki czekowej z królewskim herbem na okładce oczy zaświeciły się Chestersowi jak przewoltowane żaróweczki.

— Ee... No więc, cena tego konkretnego modelu wynosi pięć... to jest, czterysta pięćdziesiąt tysięcy, ale dla tak szacownego klienta jak Wasza Książęca Mość gotów jestem zrobić znaczny upust, powiedzmy dziesięć, albo nawet piętnaście procent. Ewentualnie pozostaniemy przy pierwotnej sumie, a w ramach rabatu dorzucimy kilka opcjonalnych przystawek...

No i co wy na takie prostactwo? Oto stoi przed nim Najwyższy Majestat, a ten handlarz targuje się z księciem jak z pierwszym

lepszym szaraczkiem hańbiąc mnie, moją macierzystą firmę i następcę tronu z jednakową dezynwolturą. Nie zdzierżyłem.

— Nasz nieoceniony szef działu sprzedaży oczywiście żartuje, Wasza Książęca Mość. Firma Carrington Co. Ltd będzie niezmiernie zaszczycona mogąc sprezentować mnie Waszej Książęcej Mości, a jedyne, czego się spodziewa, to rzetelna i szczerza ocena użytkowej wartości produktu, który przekazuje w tak szlachetne ręce.

Miałem cichą nadzieję, że po moich słowach Chesters padnie rażony apopleksją, ale niestety jakoś to przetrzymał. Ręka księcia — ta z książeczką czekową — zawisła nieruchomo w powietrzu.

— Doprawdy?

Zaprzecząc, nasz niezastąpiony szef działu sprzedaży wyszedłby na ostatniego głupca i doskonale o tym wiedział. Niemniej jednak, gdyby miał wówczas przy sobie coś cięższego od długopisu...

— Ee... naturalnie. Proszę mi wybaczyć ten... tę... — Cóż to była za rozkosz widzieć go w tak kompletnym pomieszaniu!

— W takim razie dziękuję. — Książę uklonił się z galanterią. — Mogę go zabrać od razu?

— Nie... to jest, tak, to znaczy ja... zaraz się wszystkim zajmę, Wasza Książęca Mość.

Adieu, panie Chesters, pomyślałem z niewysłowioną satysfakcją. Mam nadzieję, że rozstajemy się na zawsze.

\* \* \*

Drogi do pałacu nie pomnę, gdyż odbyłem ją z wyłączonym zasilaniem i zamknięty w skrzyni pełnej trocin. Tak zaordynował Chesters, którego istotnie widziałem wówczas po raz ostatni, jeśli nie liczyć późniejszych koszmarów sennych. Przebudzenie zaś miało miejsce w głównej jadalni pałacowego kompleksu. Nikt nie musiał mi tego mówić, gdyż natychmiast rozpoznałem tę imponującą komnatę. W końcu niejedno się czytało i oglądało. Jak

również Jej Królewską Mość Marię Emanułę, która zasiadała u szczytu wielkiego mahoniowego stołu.

Wyczułem w powietrzu mocną woń — galanejski Suhhi Fus z domieszką kwiatu drzewa flalerowego, wyśmienita kompozycja — oraz maślanych rogalików z musztardą. Zatem uaktywniono mnie w porze zwyczajowego picia herbaty.

Królowej towarzyszył jedynie książę Anzelm wraz z małżonką, lady Vanessą Halfbrain z domu Zumbeispiel oraz trzy osoby ze służby. Żywej czy mechanicznej, trudno mi było na pierwszy rzut matrycy stwierdzić, gdyż skamieniałością swych pól dorównywali brązowym popiersiom Pumplingtona i Lipshticka, strzegącym drzwi do jadalni.

— Archibaldzie, podawaj. — Ach, ten przepiękny, zniewalający i lekko chropowaty alt Jej Wysokości! Czyżby miało się spełnić najskrytsze z mych marzeń? Ja, wiernym, niezawodnym i niezastąpionym sługą mojej umiłowanej monarchini!

— A może byśmy wypróbowali nasz nowy prezent, hm? — odezwał się nieoczekiwanie książę i niezbyt eleganckim gestem wyciągnął palec w moim kierunku. — Sługa idealny, naprawdę, bardzo jestem ciekaw.

— Ja o wiele mniej — skrzywiła się Jej Wysokość. — Po co w ogóle przyprowadziłeś tutaj to chodzące żelazko, Anzelmie? Żeby znów popsuć mi humor? Wiesz dobrze, jaki jest mój stosunek do tych wszystkich "androidów", czy jak je tam zwa.

— A jakże! Konserwatywny i pełen uprzedzeń. — Książę uśmiechnął się półgębkiem. — Tak samo jak cała nasza monarchia, staroświecka do obrzydzenia i strupieszala jak te idiotyczne dziewiętnastowieczne karoce, w których musimy obtłukiwać sobie kości. Na Boga, samochód wymyślono półtora wieku temu!

— Anzelm!

— Twój podniesiony głos nie zmienia faktu, że jesteśmy żalonym reliktem przeszłości, droga siostrzyczko.

— Jesteśmy ostoją i symbolem Zjednoczonej Brytfanii!

— Tak, tak, po co ja w ogóle się odzywam. — Księżę westchnął i machnął lekceważąco ręką. — Dwór szwacki już dawno zautomatyzował swoją siedzibę od piwnic po kurki na dachach, ale to przecież jakaś tam głupia Szwacja, a nie dumna i przywiązana do swych prastarych instytucji Brytania. Postęp nie dla nas, o nie!

Przyznam, że poczułem się dziwnie, słuchając tej wymiany zdań pomiędzy członkami najszacowniejszego rodu w państwie. I choć z zasady nie wtrącam się do prowadzonych przez ludzi rozmów, to przecież nie mogłem zostawić bez komentarza słów tak obraźliwych dla monarchii!

— Z całym należnym szacunkiem, ale Wasza Księżęca Mość nieco rozmija się z prawdą. Pałac królewski w Shmalzholmie nie jest zwieńczony żadnymi kurkami ani innymi pokrętłami, lecz rzędem zwyczajnych ceramicznych gąsiorów. Pozwolę sobie również nieśmiało zauważyć, iż od wyrażen "staroświecki" oraz "strupieszaly" zdecydowanie lepiej byłoby użyć słów "skarbnica tradycyjnych wartości" i "dystyngowany". Trzecia sprawa, o której zmuszony jestem przypomnieć, to...

Wszystkie oczy w komnacie skierowały się na mnie. Po twarzy księcia błąkał się jakiś niezdecydowany półuśmieszek, lady Halfbrain zatrzepotała rękami, a królowa zamarła na moment jak stop-klatka. Po czym zaraz ożyła na powrót i rzekła, pochylając się z lekka ku bratu:

— Czy mi się tylko zdaje, czy też dostałeś po nosie od "idealnego sługi"?

— Po nosie? Ależ bynajmniej, siostrzyczko — odparował księżę z nieukrywany rozbawieniem. — Powiedziałbym raczej, że to właśnie ty otrzymałaś lekcję. Na Jowisza, wiecie, że ten robot jest naprawdę imponujący?

— Wiem tylko tyle, że to coś artykułuje dźwięki — prychnęła Jej Królewska Mość.

— Całkiem zresztą płynnie i z nienagannym akcentem — dorzuciła milcząca dotąd lady Halfbrain.

— No i co z tego? Też mi postęć, gadające manekiny! — Wy-niosła pogarda w głosie królowej nie ubodła mnie wcale, jako że mam za sobą kurs psychologii. W gruncie rzeczy Maria Emanuela była pod sporym wrażeniem i niezbyt zřęcznie to kryła. — Widzę, że podczas gdy ja dawno przestałam bawić się lalkami, ty, mój drogi Anzelmie, wręcz przeciwnie. Obawiam się, że dziecinniejesz na stare lata.

Książę zbył ją machnięciem dłoni, po czym zwrócił się bezpośrednio do mnie:

— Właściwie, jak powinniśmy cię nazywać?

— S501 będzie w pełni satysfakcjonujące — odparłem, kłaniając się przepisowo.

— Ale odrobinę za suche — cmoknął książę z nieukontentowaniem. — Co byś powiedział na jakieś, hm... bardziej ludzkie imię?

— Wedle uznania Waszej Książęcej Mości.

— Zatem... A może wy coś zaproponujecie, moje panie?

— Pipi! — zaszczebiotała lady Halfbrain.

Chcielibyście, żeby wołano na was Pipi? Ja w każdym razie struchlałem.

— No wiesz, moja droga? Pudła tak sobie możesz nazwać! — ofuknął małżonkę książę. — Pankracy, Dionizy albo Teofrast, to są odpowiednie imiona dla kamerdynerów. Choć, z drugiej strony, arogant ze mnie. S501, nie masz jakichś osobistych preferencji?

— A czy Wasza Książęca mość istotnie daje mi wolny wybór w tej materii?

— Istotnie, daję. — Książę uśmiechnął się szelmowsko.

— W takim razie, chciałbym odtąd nazywać się Jonatan.

— Jonatan? — Jego Wysokość nieznacznie uniósł brew. — A to czemu?

— To po ojcu, Wasza Książęca Mość.

— Po kim? — Książę popatrzył na mnie zaskoczony. — Przecież ty nie masz żadnego ojca!

— Po ojcu Waszej Książęcej Mości — uściśliłem.

Książę, jeszcze przed sekundą tak swobodny, stęzał z na wpół rozwartymi ustami, królowa zaś ni to czknęła, ni to zachichotała na widok jego skonfundowanego oblicza.

— No proszę, wbudowali mu nawet coś na kształt poczucia humoru — stwierdził, lecz z sarkazmem, który w niczym nie przypominał jego poprzedniego entuzjastycznego tonu.

— Tobie też przydałby się taki zabieg — rzuciła kąśliwie lady Halfbrain.

Nogi — nic to, że z tytanu i wyposażone w aktulatory najwyższej jakości — ugięły się pode mną. Oto ja, szczytowe osiągnięcie brytyjskiej myśli technicznej i kamerdyner ponoć doskonały, już w pierwszych minutach pobytu na dworze popełniłem tak niewybaczalne faux pas! Sięgając po imię biologicznego ojca księcia chciałem jedynie okazać mu swój najgłębszy szacunek i zarazem złożyć hołd dzielnemu służącemu, z którym królowa-matka... Ale, jak to mówią, dobrymi intencjami złomowisko jest wybrukowane. Głupota i brak wyczucia ująć może produkowanym taśmowo prymitywom, lecz nie robotowi mojej klasy!

No to koniec, pomyślałem ponuro. Ani chybi odeślą mnie Chestersowi wraz z odpowiednim listem. Na przykład: "Z przykrością informujemy, iż tak zachwalany przez przedstawiciela handlowego waszej firmy robot S501 okazał się niekompetentnym imbecylem. Szczególnie nagannym znaleźliśmy niedwuznaczne aluzje, jakie uczynił pod adresem Majestatu. Wyrażamy głęboką nadzieję, że postępek wyżej wymienionego robota nie był konsekwencją świadomych działań behawio-programistów koncernu Carrington Co. Ltd. W przeciwnym razie zmuszeni będziemy wystąpić w tej sprawie na drogę sądową". Lub coś w tym tonie. Nie miało znaczenia, jakie dokładnie słowa zostaną użyte ani nawet to, że moje referencje będą na zawsze zbrukane, gdyż owo "zawsze" będzie najprawdopodobniej oznaczać najbliższe kilka godzin. Ostatnia rzecz, na którą Carrington Co. Ltd mogła sobie w tym ciężkim dla firmy okresie pozwolić, to skandal z udziałem jednego z ich sztandarowych produktów.

Krótko mówiąc, przyjaciele, byłem zdruzgotany. Póki co tylko w przenośni, a nie pod hydrauliczną prasą, ale uczucie porażki było nie mniej bolesne. Na moich oczach i z mego powodu dojrzała najprawdziwsza rodzinna sprzeczka pod szacownym dachem Ducklingdam. Książę, widziałem to jak na dłoni, balansował na krawędzi pogwałcenia dobrych manier. Jakoś powściągnął cugle temperamentu, ale spojrzenie, którym odwzajemnił się szlachetnej małżonce było dostatecznie wymowne. Wstał i rzekł wy-niosłym tonem:

— Przepraszam, ale mam na jutro do przeczytania cały stos dokumentów.

Skinąwszy głową na pożegnanie, wyszedł energicznym krokiem z jadalni. Lady Halfbrain pośpieszyła za nim jak cień.

I cóż uczynilibyście na moim miejscu? Nie wiedziałem, czy umknąć w ślad za księżącą parą, rzucić się z okna do fontanny (krótkie, błogosławione zwarcie obwodów i po wszystkim) czy po prostu stać i czekać. Koniec końców, wybrałem to ostatnie czując na sobie wzrok Jej Królewskiej Mości, ciężki, chłodny i nie rokujący wiele nadziei. Nietrudno było przewidzieć, co zaraz usłyszę...

— Herbata już pewnie całkiem wystygła, prawda, Archibaldzie?

Hę?

— Niestety, Wasza Wysokość. — Służący odkleił wreszcie swe plecy od dębowej boazerii. — Ale niezwłocznie każe przygotować nową.

Opatrznościowa sytuacja! A może Jej Królewska Mość świadomie wyciągnęła tonącemu pomocną dłoń?

— Och, nie ma najmniejszej potrzeby! — wykrzyknąłem i nim stary sługa zdążył zrobić krok w kierunku drzwi, porwałem serwis z jego rąk i szarmanckim gestem postawiłem go przed Marią Emanuelą.

— Wasza Królewska Mość nie musi wcale czekać na nową porcję — rzekłem, palcem ogrzewając zawartość miśnieńskiego czajniczka. — Takie rzeczy to dla mnie zupełna drobnostka. O, proszę,

herbatka znów ma swoje optymalne osiemdziesiąt pięć stopni Celsjusza. A może Wasza Wysokość woli, bym posługiwał się imperialnymi jednostkami miar i wag?

Gdybym miał serce, powiedziałbym, że łomotało mi ono wtedy jak dzwon katedry Chipanddale. Najbliższe kilka sekund miało zadecydować o wszystkim. Czy zabierając osłupiałemu staruszkowi tacę nie złamałem dworskiej etykiety? — zastanawiałem się gorączkowo. Czy osiemdziesiąt pięć stopni to rzeczywiście optimum? A palec grzejny, który przed chwilą tak samowolnie umaczałem w herbacianym naparze, czy był czysty? A co najważniejsze, jaka będzie reakcja Jej Królewskiej Mości? O, Mario Emanuele, unieśże wreszcie porcelanę do swych dostojnych ust albo rozbij ją na mojej oksydowanej głowie!

Królowa popatrzyła na Archibalda, na mnie, na swoją filiżankę..., po czym ujęła ją dwoma palcami i delikatnie umaczała wargi w herbacie.

— Miliony ludzi na świecie umiera z głodu i chorób, a my wydajemy pieniądze na robienie grzałek, które mówią — mruknęła, odstawiając porcelanę na spodek. — Co za zwariowane czasy!

A więc jednak będę żył!

\* \* \*

Znam opinie, niechybnie dyktowane przez zawiść i urażone ambicje, że służba w Ducklingdam to najbardziej niewdzięczny kawałek chleba. Ale nie powtarzajcie ich przy mnie na głos, bo jeszcze wywali mi jakiś podprocesor z oburzenia. Nie dociera do mnie, jak można wygadywać podobne bzdury i zarazem uważać się za patriotę. Ja czułem się nim do ostatniej śrubki i każda sekunda spędzona na dworze przepełniała mnie dumą oraz nieustającą wdzięcznością dla łaskawego losu. Czy to jednak oznacza, że było mi łatwo? O, bynajmniej! Trudno byłoby znaleźć kogoś bardziej przywiązanego do naszych prześwietnych tradycji i wiedzieć, że zawsze będę ich bronił w zgodzie z moim nienagannym,

brytyjskim wychowaniem. Ale też przyznać muszę, że konserwatyzm panujących na dworze obyczajów sprawiał, że z początku nikt nie traktował mojej osoby poważnie. Jedni widzieli we mnie zabawną ciekawostkę i mechanicznego trefnisia, dla innych zaś stanowiłem zawadę, która pałęta się tu i tam nie wiedzieć, po co i wiecznie wściubia nos w nie swoje sprawy.

Nie wątpiłem, że gdy tylko w pełni poznają moje rozliczne walory i rozumieją, iż moim najgłębszym pragnieniem jest służyć im oraz pomagać, stosunek do mnie zmieni się krańcowo. Jednak uznanie nigdy nie przychodzi samo. Trzeba na nie ciężko zapracować, a niekiedy nawet wywalczyć. Udowadniać poziom swych kompetencji każdego dnia, eliminować błędy swoje oraz cudze i nieustannie wychodzić naprzeciw oczekiwaniom pracodawców. Jednym słowem służyć wiernie naszym ludzkim dobroczyńcom.

Posłuszny temu motto i świadom odpowiedzialności ciążyącej na pałacowej obsłudze, z rosnącym niepokojem obserwowałem poczynania starego Archibalda. Z okazji święta narodowego Kapustanu urządzono któregoś dnia skromny podwieczorek. Kapustan to mikroskopijna republika gdzieś na wschodnich rubieżach Entropy, niecały tysiąc kilometrów kwadratowych piasków i bagien zamieszkałych głównie przez ludy pasterskie. Ale za to w strategicznym miejscu i z bogatymi złożami surowców, których brak coraz bardziej doskwiera Brytanii ostatnimi czasy. Kto pierwszy położy rękę na ich ropie i gazie, ten lepszy, i był to w zasadzie jedyny powód, dla którego wpuszczano tych stepowych kocmołuchów na salony. Tym niemniej dopóki transakcje nie zostały sfinalizowane, trzeba się było z nimi obchodzić jak z jajkiem i traktować Kapustan jak jakieś lokalne mocarstwo. Stąd też zaproszenie wystosowane przez kancelarię Ducklingdam do ambasadora Brocola i grupy kapustańskich osobistości. Racja stanu, tak to się chyba nazywa.

Ambasador rozparł się w wiklinowym fotelu, swobodny i pewny siebie.

– Taa... tego... A wiecie wy, że Brytfania i Kapustan to naprawdę świetnie do siebie pasują?

– Pod jakim względem, panie ambasadorze? – spytała grzecznie Jej Królewska Mość.

– A choćby z nazw, no nie? – Brocol nawet nie raczył spojrzeć na Marię Emanuelę, zajęty czyszczeniem paznokci srebrną wykałaczką.

– Szczerze powiedziawszy, umyka mi związek...

– O rany, no że brytfanka i tego... A właśnie, coś bym przegryzł. Ej, ty! Masz tam jakie treściwsze żarcie?

Archibald czekał jedynie na sygnał od Jej Królewskiej Mości i otrzymawszy go zbliżył się do ambasadora z parującą wagą. W środku był tradycyjny kapustański flik-mlak na rosole z jagnięcych oczu. O zwyczajach kulinarnych naszych gości wiedziałem niemal wszystko, gdyż przygotowałem się zawczasu sumiennie. Lecz Archibald, kamerdyner starej daty i człowiek nieprzystosowany do epoki informatycznej, mógł tylko zgadywać.

Najpierw wywołał konsternację ambasadora, sypiąc ziemniaczane chrupki do jego talerza. Drugie potknięcie było jeszcze bardziej karygodne, gdyż wręczył Brocolowi łyżkę. Łyżkę, która od czasów "obiadowych rzezi" Kubeł-Chana była dla kapustańczyków symbolem zdrady i okrucieństwa!

Sytuacja zrobiła się wielce niezręczna. Ambasador przez chwilę obracał w dłoni piękny i ponad dwustuletni przedmiot, niepewny, komu już lepiej się narazić: swym ziomkom, łyżki używając, czy też gospodarzom.

– Ehem... Bardzo ładna rzecz. – odezwał się w końcu. – Dajecie mi... znaczy się, mam to rozumieć jako prezent?

Stary sługa pośpiesznie odebrał łyżkę Brocolowi. Nie wątpię, że chciał dobrze, ale tylko pogłębił zaambarasowanie wszystkich obecnych Tego było już dla mnie za wiele. Jeszcze moment, a cały dwór ośmieszy się przed tymi barbarzyńcami! Wyrwałem nieszczęsny przedmiot z rąk Archibalda i wcisnąłem ambasadorowi do kieszeni ze słowami:

— Ależ naturalnie, szanowny panie ambasadorze, dokładnie taka była intencja Jej Królewskiej Mości.

— Och! — Brocol cofnął się tak gwałtownie, że omal nie spadł z fotela.

— Chciałbym również w imieniu nas wszystkich przeprosić za to drobne niedopatrzenie, jakim jest brak na stole żytniego chleba — kontynuowałem. — Bo właśnie tak jadacie flik-mlak, nieprawdaż? Maczając w nim kromki razowca, a następnie wybierając powstałą breję gołymi palcami? Chwileczkę...

Ktoś zaniósł się krótkim, niekontrolowanym śmiechem, bodajże sir Pinkfreak, a lady Kornelia Sans-Filtre, daleka krewna Marii Emanueli, zamarła z bagietką w ręce. Trudno, czasem monarchia musi zdobyć się na poświęcenia.

— Proszę — rzekłem, odbierając lady Kornelii jej niedoszłą przekąskę i przekazując ją ambasadorowi. — Gatunek pieczywa nie jest co prawda najwłaściwszy, ale to wszystko, co w tej chwili możemy szanownemu panu zaoferować.

— Jezu, a to co? — Brocol nawet nie spojrział na bagietkę, cały wzrok skupiając na mnie.

— To... — Jej Królewska Mość odchrząknęła z zakłopotaniem. — To jest robot, panie ambasadorze.

— Robot? — Blade oczka kapustańczyka rozszerzyły się jeszcze bardziej. — Taki jak z filmów? A ja myślałem, że to jakaś rzeźba ogródkowa! I do czego on służy?

— Nie do czego, szanowny panie ambasadorze, lecz komu — sprostowałem dumnie, nim ktokolwiek z obecnych zdążył mu odpowiedzieć. — Jestem S501 i od tygodnia staram się pełnić obowiązki osobistego kamerdynera Jej Królewskiej Mości.

Dzisiaj nie jestem pewien w stu procentach, ale zębami zgrzytnął wtedy bodajże stary Archibald. Brocol natomiast pokręcił wolno głową.

— A niech mnie! Robią u was takie masowo? A może ktoś tam w środku siedzi, hę? Jak w tym, no, tego... Jasna cholera, Kivak, przypomnijcie mi!

– Jak w tym słynnym szachiście barona Kempelena? – poddała usłudźnie jedna z kapustańskich Ważnych Figur.

– O, widzisz, jak w tym słynnym sataniście! Tak?

– Jeśli nawet siedzi, to co najwyżej złośliwe elektroniczne licho – mruknęła Maria Emanuela do siebie. – Czyżby był pan zainteresowany, panie ambasadorze?

– Znaczy się, czym?

– Tą maszyną.

– Że co? Jeszcze mi coś chcecie dawać? – Brocol zamachał energicznie ręką. – O nie, dzięki. Ja tu po łapówki nie przyszedłem, droga pani. Ja jestem kapustańskim ambasadorem!

To rzekłszy, wziął się za pałaszowanie swej porcji flik-mlaka.

– A ty na co czekasz, Kivak? Jedz, w domu takiego nie dają.

\* \* \*

Ach, ci ludzie z tym ich przewrotnym poczuciem humoru! Bo królowa żartowała, rzecz jasna. W końcu to ja jeden znalazłem się w tamtej kłopotliwej sytuacji jak należy i uratowałem honor Majestatu, każdy to widział. Ale podczas gdy ona potraktowała cały incydent z właściwą sobie elegancką lekkością, mnie wcale nie było do śmiechu. Zajście z ambasadorem Brocolem uświadomiło mi, jakie zagrożenie może stanowić tzw. czynnik ludzki. Tym razem był to tylko jakiś tam Kapustan, co jednak, gdyby stary Archibald bądź ktokolwiek inny spośród pałacowej obsługi wykazał się podobnie żenującą niezręcznością wobec naprawdę ważnych osób? Mało to historia zna przypadków, kiedy z powodu takich pozornych błahostek dochodziło do ochłodzenia stosunków dyplomatycznych, albo nawet krwawych wojen?

Tylko proszę, nie zrozumcie mnie źle. Osobiście nic do Archibalda nie miałem, zresztą, dlaczego miałbym mieć? Teraz jednak służyłem Marii Emanueli, a poprzez jej osobę także całej monarchii brytyjskiej. Jej dobro oraz reputacja były dla mnie celem nadrzędnym, zaś jako robot idealny nie mogłem poprzestać na

automatycznym wykonywaniu poleceń. Wszak nie po to inżynierowie z Carrington Co. Ltd wbudowali mi tyle skomplikowanych układów logicznych, bym zachowywał się jak pierwszy lepszy odkurzacz czy inna pół-inteligentna taniocha. Obserwować bacznie, analizować sytuację wnikliwie, przewidywać wielokierunkowo i dostrzegać problemy, nim te przerodzą się w prawdziwe nieszczęście dla moich chlebobawców — oto, jak winien postępować naprawdę oddany sługa. Przede wszystkim zaś nie zawracać pani głowy byle drobiazgami. Jej Królewska Mość dźwigała na swych barkach przytłaczający ciężar spraw wagi państwowej. Wymagać od niej, by zajmowała się jeszcze kwestiami tak przyziemnymi jak reorganizacja pałacowej obsługi byłoby zwykłym draństwem. Zwłaszcza teraz, kiedy miała mnie.

Tak, dobre imię monarchii wymagało zastąpienia Archibalda kimś zdecydowanie bardziej odpowiednim. Sztuka polegała na tym, by decyzję taką podjęła Jej Królewska Mość osobiście. Mogło to być nieco trudne zważywszy na typowy dla gatunku ludzkiego sentymentalizm i trwale więzi, jakie z biegiem czasu wytwarzają się pomiędzy poszczególnymi osobnikami. Królowa potrzebowała przekonujących argumentów, a moim zadaniem było je dostarczyć. Drobnostka.

Następnego dnia zaszczycił nas swą obecnością premier Andreas Littlemore. Słowa "zaszczycił" używam tu w sensie czysto formalnym, gdyż był on niezbyt mile widziany na dworze. Jej Królewska Mość przyjęła go poprawnie, niemniej z chłodem oraz rezerwą, których wcale nie starała się zatuszować.

— Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę, panie premierze? — przywitała go lodowatym tonem.

— Niespodziewaną? — Littlemore, zagorzały egalitarysta i otwarty przeciwnik monarchii, wkroczył do gabinetu jakby to była stajnia albo jakiś bar szybkiej obsługi.

Drzwi otworzył przed nim — jakżeby inaczej — stary Archibald, któremu łysiejący polityk nie poświęcił nawet przelotnej

uwagi. Mnie jednak zauważył od razu i jego krzaczasta brew uniosła się na milimetr.

— Wolne żarty. Już od ponad miesiąca jestem zbywany pod tym bądź innym pretekstem. Tylko, że moja cierpliwość też ma swoje granice, Wasza Wysokość.

Ostatnie dwa słowa Littlemore wypowiedział z nieukrywaną drwiną. Królowa przez chwilę spoglądała nań jak na robaka.

— Słucham zatem, jaką pan premier ma do mnie sprawę? — Jej ton z chłodnego zmienił się w antarktyczny.

— Znaną Waszej Królewskiej Mości od dawna, proszę nie udawać. Ale może byśmy usiedli? Nie znoszę rozmawiać na stojąco.

— A ja prowadzić dyskusji na pusty żołądek — odparowała Maria Emanuela. — Przeszkodził mi pan w śniadaniu.

— Śniadanie? — rozpromienił się Littlemore. — Och, to doskonale się składa, bo ja też nic jeszcze dzisiaj nie jadłem.

I taki człowiek de facto rządził Zjednoczoną Brytanią! Poczulem wstyd za wszystkich tych, którzy oddali na niego swój głos, a mój stosunek do Andreasa Littlemore'a momentalnie przeistoczył się z neutralnego w głęboko niechętny. Mogłem tylko podziwiać opanowanie oraz nieskazitelne maniery Marii Emanuela, kiedy wskazywała krzesło temu prostakowi. Jak najdalej od swojego miejsca, ma się rozumieć.

— Archibaldzie, podaj dodatkowe nakrycie. Proszę do rzeczy, panie Little.

— LittleMORE! — Szef brytyjskiego rządu zaakcentował swe nazwisko z taką mocą, jakby wbijał gwóźdź. Po czym rozsiadł się wygodniej i bez żenady nałożył uczciwą porcję jajecznicy na podsunięty mu talerzyk. — Chodzi o tegoroczny budżet, Wasza Wysokość.

— Tak? Co z nim?

— Ano, to samo, co zawsze: wszyscy chcą od nas pieniędzy, których nie ma. Można do tego jeszcze jakąś kawę?

— Archibaldzie... — westchnęła królowa.

Ostentacyjnie bezczelny, by nie rzec grubiański ton, jakiego premier używał wobec Jej Królewskiej Mości podobały mi się coraz mniej. I choć to jedynie stary sługa miał być dzisiaj obiektem mojej małej demonstracji, uznałem, że nic nie stoi na przeszkodzie by upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i połączyć przyjemne z pożytecznym. Czekałem tylko na dogodny moment.

— Tak, Wasza Wysokość, pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze — ciągnął Littlemore. — Na dofinansowanie podupadającej służby zdrowia, na zasiłki dla bezrobotnych, na odszkodowania dla ofiar powodzi w Kornflakii, na pro-ekologiczne przekształcenia w przemyśle ciężkim, na to, na tamto, na wszystko. A państwowa kasa jakoś nie chce się cudownie zapełnić sama z siebie.

— To chyba nie moja wina, lecz raczej ministra skarbu w pańskim rządzie — zauważyła królowa cierpko. — Proszę go zmienić, to może i sytuacja finansowa się poprawi.

— Bardzo dowcipne — skrzywił się premier — i jakże dla was charakterystyczne. Powiem wprost, Wasza Wysokość: monarchia to piękna, szacowna i zasłużona dla naszego kraju instytucja, ale ostatnimi czasy trochę za dużo nas kosztuje. Dokładnie pięćset milionów rocznie idzie z kieszeni obywateli na utrzymanie tej farsy zwanej dworem brytyjskim. Osobiście mam na to tylko jedno określenie: skandal.

— Wydawało mi się, że co najmniej połowa z wymienionej przez pana sumy to nasze własne aktywa, które w żadnym stopniu nie obciążają...

— Proszę nie drwić z mojej inteligencji, Wasza Wysokość — przerwał jej Littlemore obcesowo. — O jakich aktywach mówimy? Wy już nie macie żadnych aktywów, na miłość Boską, jedynie długi, w których tkwicie po uszy, i które nie wiedzieć czemu przeciętny brytyjski musi za was spłacać rok w rok!

Moja uwaga podzieliła się na pół. Jedną częścią umysłu śledziłem i analizowałem poczynania Archibalda, w drugiej natomiast momentalnie rozległ się alarm. Długi? Jak to — długi? O żadnych długach pałacu Ducklingdam nie było mi wiadomo! Gdyby jed-

nak premier nie kłamał, to stawałem nagle przed problemem, którego ciężar gatunkowy był o wiele większy od kwestii niekompetentnej służby! A zarazem wiązał się z nią w sposób oczywisty. Rzeczy z godziny na godzinę stawały się coraz bardziej pogmatwane...

Nie wątpiłem jednak ani przez sekundę, że w ten czy inny sposób sobie z nimi poradzę. Stopniowo, krok po kroku, poczynając od starego służącego. Archibald, choć mógł i powinien podać kawę premierowi już dawno, ociążał się, ani chybi świadomie. W końcu jednak napełnił filiżankę i zamierzał ją właśnie postawić obok talerzyka Littlemore'a, płynnym, wypracowanym łukiem wyprowadzając ramię zza pleców i odrobinę ponad głową premiera.

Na tę chwilę czekałem. Wśród różnych pożytecznych drobiazgów miałem elektryczny paralizator do poskramiania niegrzecznych domowych zwierzków. Ewentualnie do spowodowania czasowego skurczu mięśni u sześćdziesięcioletniego służącego. Tak czy owak, urządzenie okazało się przydatne. Gorąca kawa chlusnęła premierowi na łysinę a filiżanka uderzyła go ostrym brzegiem w nos i wylądowała w niedojejzonej jajecznicy.

— Jasny szlag! — Littlemore zerwał się na równe nogi. — Co ty, durniu, wyprawiasz?!

— Ja... — Archibald skamieniał ze zgrozy. — Najmocniej...

— Zamknij się! — Poczzerwieniały premier chwycił ze stołu serwetkę z monogramem i pośpiesznie wytarł głowę oraz zachłapaną poły marynarki. — Cholerny niedorajda, stary i bezużyteczny jak wy wszyscy! Wasza epoka minęła dawno temu, a do nowej jak widzę nie macie zamiaru się przystosować. Ale bez obaw, Wasza Królewska Mość, już ja wam w tym pomogę!

Maria Emanuela patrzyła na niego w milczeniu.

— Pojutrze przedstawię w parlamencie wniosek o zredukowaniu Funduszu Królewskiego do jednej trzeciej. To tak na początek, tytułem przestrogi.

— Nie zastraszy mnie pan, panie Little. More. — Królowa wyprostowała się dumnie. — Podobne propozycje wpływały już do Izby wielokrotnie i za każdym razem były odrzucane.

— Tylko że świat naprawdę się zmienia, Brytfanii nie wyłączając — rzucił premier nonszalancko. — Proszę uważniej czytać prasę, może wtedy Wasza Wysokość zrozumie, co mam na myśli. Aha, i jeszcze jedna dobra rada: od dziś spróbujcie żyć oszczędniej.

Już na progu jadalni odwrócił się i dodał z przekąsem:

— Zaczęłbym od służby, Wasza Królewska Mość. Tak *a propos*, ile kosztował ten nowiutki Carrington? Założył się, że majątek, a stoi nieruchomo jak szubienica. Tak, w marnowaniu publicznego grosza jesteście prawdziwymi mistrzami. Ale to się niebawem skończy, Wasza Wysokość może być pewna. Moje uszanowanie.

\* \* \*

Niestety, premier Littlemore mówił samą prawdę. Wejście do pałacowej bazy danych nie wymagało ode mnie żadnych wyrafinowanych zabiegów i wkrótce wszystko leżało przede mną jak na dłoni. Tym niemniej musiałem odwołać się do paru narzędzi analitycznych, by z prowadzonej dość niedbale, a w niektórych miejscach celowo zafałszowanej księgowości wydobyć klarowny i uporządkowany obraz.

Łączny dochód opiewał na pięćset dwadzieścia trzy miliony, ale po stronie zaległości tych milionów doliczyłem się aż osmiuset pięćdziesięciu czterech. Ergo, monarchia żyła pełną gębą, tyle że na kredyt, a od gremialnego szturm na Ducklingdam powstrzymywała wierzący jedynie hojność parlamentarzystów z obu Izb. Co jednak, jeśli Littlemore spełni swe groźby?

Na drugim kanale podłączyłem się do archiwum serwisu informacyjnego ASI i pośpiesznie przeczesalem artykuły, noty oraz komentarze z ostatnich kilku miesięcy. Wyłonił się z nich wizerunek premiera jako człowieka zdecydowanego wyrzucić całą ro-

dzinę królewską na bruk. Littlemore był jedynie łaskaw wspomnieć Marii Emanueli o wniosku numer tysiąc czterdzieści dziewięć, ale już o dwóch innych — wstrzymaniu prolongaty długów ze skutkiem natychmiastowym i propozycji zredukowania pensji dworskich do średniego poziomu urzędniczego — słowem się nie zająknął.

Zakładając, iż premier przeforsuje rzeczzone ustawy i że parlament zatwierdzi proponowany przez Littlemore'a budżet, dochód dworu brutto w następnym roku fiskalnym wyniesie zaledwie sto sześćdziesiąt siedem milionów, drobnych nie liczę. Wierzytelności zaś nie tylko, że się nie zmniejszą, ale będą rosły z tytułu odsetek. Czystego długu pozostawało zatem minimum... No nie, o wiele za dużo!

To było dla mnie jak krótkie zwarcie razy tysiąc, jak przytknięcie do moich skroni końcówki generatora Van der Graffa. I co ja, biedny, samotny robot, miałem teraz począć? Nad szyją mojej ukochanej królowej wisiał finansowy topór, a kat o obliczu Andreasa Littlemore'a tylko czekał na znak. Teoretycznie istniały jedynie dwa wyjścia z tej czarnej studni — jak najszybciej zdobyć pieniądze, albo... albo znaleźć jakiś sposób na, nazwijmy to eufemistycznie, zneutralizowanie szefa rządu.

Pytanie, skąd miałem wziąć taką sumę? Obrabować jakiś bank? No cóż, chyba tylko to mi pozostawało. Z technicznego punktu widzenia zadanie było trywialne, bo praktycznie sam stanowiłem część tego wielkiego, informatycznego systemu. Po pierwsze, musiałem wejść i wypruć z elektronicznego trezoru potrzebną kwotę. Nie w jednym kawalku, oczywiście, ale w dużej liczbie małych porcji. Następnie przesłać je przez możliwie długi łańcuch przekazników. Tak, by wyglądało, że środki spłynęły z zupełnie różnych miejsc. Reszta będzie prosta.

Jeszcze tylko ten bank... Potrzebowałem czegoś egzotycznego, dużego i obsługiwanego przez dostatecznie ciamajdowate komputery. W pięć minut znalazłem odpowiedniego kandydata, a po następnych dziesięciu cała zaplanowana przeze mnie operacja do-

biegła końca. Wszystko poszło świetnie, potwierdzenia prześliznęły się przez system jak duchy i zaległości zostały pospłacane. Nikt niczego nie zauważył.

Niestety, jednej rzeczy nie sprawdziłem, jednego drobnego szczegółu. Ale, jak wiadomo, diabeł tkwi właśnie w nich.

\* \* \*

Prefekt stołecznej policji, Rattus N. Gray, zapowiedział się na jedenastą czterdzieści i przybył punktualnie co do minuty. Tym razem to ja otworzyłem gościowi drzwi, gdyż zapomniałem wam powiedzieć, że stary, dobry Archibald złożył wymówienie. Nie jestem pewien, jaki był dokładny powód jego decyzji, wiem tylko, że odszedł nazajutrz po wizycie Littlemore'a. Jakiś zatem związek między obydwojema tymi zdarzeniami musiał istnieć.

— Wasza Królewska Mość. — Prefekt skłonił się z galanterią.

— Proszę, panie prefekcie, niech pan siada. — Maria Emanuela odłożyła okulary wraz z książką i wskazała policjantowi fotel naprzeciwko siebie. — Co pana do mnie sprowadza?

— Obowiązki służbowe, Wasza Wysokość. — Gray, być może z zawodowego przyzwyczajenia zlustrował szybko cały gabinet, mnie poświęcając najwięcej uwagi. I znów podobna reakcja, co u innych: lekkie zaskoczenie podbarwione kropelką zazdrości — Przepraszam, czy ten android...

— Należy do mnie? — dokończyła zdanie królowa. — A dlaczego pan pyta? Czyżby te urzędy były nielegalne?

— Co? Och, nie, skądże! — Policjant zaprzeczył. — Ja tylko przez ciekawość. Nie spodziewałem się...

— Tak po prawdzie to jest robot mojego brata. — Maria Emanuela poinformowała Gray'a uprzejmie. — Prezent od firmy Carington. Książę jeździ teraz po świecie z jakimiś odczytami i ten S501 przyczepił się do mnie jak pies. Szczerze powiedziawszy zaczynam się do niego z wolna przyzwyczajać, chociaż... Ale my o głupstwach, a pan ma przecież te swoje sprawy służbowe.

— No tak, tak. — Prefekt przez chwilę zbierał myśli, po czym wystrzelił: — Tampada Atuni, czy mówi to coś Waszej Królewskiej Mości?

— Pada? — Maria Emanuela mimowolnie spojrzała przez okno na wyjątkowo czyste, błękitne niebo bez jednej chmurki.

— Rozumiem zatem, że nie. Tampada Atuni to mini-archipelag i zarazem niepodległy od dziesięciu lat kraj na południowym Kocofiku, Wasza Królewska Mość. Maciupunki i biedny. Żadnych bogactw naturalnych, żadnych wartościowych upraw, żadnego przemysłu. Nic, tylko piach, kamienie i jeden wulkan, zresztą od dawna wygasły. Oficjalnie gros dochodów Tampady płynie z turystyki, w rzeczywistości jednak wyspy żyją z zupełnie innego proceduru, o którym Wasza Wysokość na pewno słyszała.

— Mianowicie?

— Pranie brudnych pieniędzy.

Dobrze, że jestem taki opanowany i stabilny w dolnych partiach, bo chyba bym się przewrócił!

— Proszę, niech pan mówi dalej, panie prefekcie.

— Tak, tak — odchrząknął nieznacznie Gray — Tampada to jeden z trzech głównych ośrodków czarnej finansjery na świecie. W samej stolicy kraju, w Tici-Tici, są dwadzieścia cztery domy bankowe, czyli mniej więcej jeden na setkę mieszkańców. Naturalnie, liczba o niczym jeszcze nie świadczy ani nie sugeruje automatycznie, że dana republika bananowa czerpie na boku zyski z ciemnych interesów. Ot, takie chociażby Barrany — sytuacja z pozorów identyczna, a jednak profity najzupełniej czyste, gdyż opierają się na wyjątkowo atrakcyjnych stopach procentowych i innych ulgach dla zamorskich klientów. Tym niemniej każde z takich miejsc na kuli ziemskiej bierzemy pod lupę, bo śledzenie przepływu pieniędzy to jedna z najważniejszych metod walki ze zorganizowaną przestępczością...

— Wiem, panie prefekcie. — Maria Emanuela delikatnie przewrała tyradę Gray'a. — Czy ta lekcja geografii ekonomiczno-kryminalnej zmierza do jakiejś puenty?

– Tak, tak, oczywiście. Jeszcze tylko dwa słowa, i już przechodzę do sedna, Wasza Królewska Mość. Otóż, od kilku miesięcy XIII Wydział naszej Prefektury bierze udział w zakrojonej na wielką skalę międzynarodowej operacji pod kryptonimem "Łobędzia sieć"...

– Jak? Łabędzia?

– Dokładnie, Wasza Wysokość. Naszym celem jest rozpracowanie, rozbicie i ostateczna likwidacja największego w historii kartelu handlarzy ciuciumbiną.

– Chwileczkę, bo chyba z wolna przestaję rozumieć.

– Ciuciumbina to najmodniejszy ostatnio narkotyk, Wasza Królewska Mość, pochodna ciumciarry, a ściślej rzecz biorąc ramolizowanego ciumciuranu...

– Na miłość Boską, panie prefekcie, nie mówię o środku odurzającym, lecz o celu pańskiej wizyty – zniecierpliwiała się Maria Emanuela.

– Tak, tak... – To było chyba ulubione powiedzenie Rattusa N. Gray'a. – Już wyjaśniam. No więc, w ciągu minionych trzech tygodni poczyniliśmy znaczne postępy. Udało nam się wyodrębnić główne linie oraz węzły transferowe kartelu, a także rozpracować matrycę nakładek i kodów parawanowych, dzięki którym wszelkie transakcje otrzymywały mimikrę i system widział je jako zupełnie niewinne...

– Do rzeczy, błagam! – jęknęła królowa.

Gray zamilkł i przez chwilę przebierał bezwiednie palcami. Ewidentnie należał do osób, które mają problemy ze związłym wyrażaniem myśli. Ja jednak rozumiałem go doskonale i im dłużej pan prefekt rozprawiał, tym goręcej robiło się pod moim tytanicznym czerepem. Coś ty uczynił, S501, coś ty najlepszego uczynił?!

– No więc, tak, Wasza Wysokość... – podjął Rattus N. Gray po długiej sekundzie – praktycznie mieliśmy już kartel na widelcu. Wiedzieliśmy, kto do niego należy i kto jest przez kogo opłacany, a każda najdrobniejsza suma przesunięta w ich rejestrach miała nasz dyskretny znacznik i wiodła jak terier do kolejnego ogniwka.

I nagle wczorajszej nocy wszystko, z przeproszeniem Waszej Królewskiej Mości, szlag trafił!

— A to czemu?

— Bo ktoś wystrychnął nas na dudka. W przeciągu niecałego kwadransu Banco Ciaocacao de Tampada zdołał wypluć z siebie równowartość siedmiuset dziewięćdziesięciu milionów w ponad dwunastu tysiącach oddzielnych transferów. W naszym policyjnym żargonie nazywamy taki manewr rozśrodkowaniem albo gambitem pszczoły, bo ten, kto go stosuje żądli dotkliwie, ale zarazem wyrywa sobie wnętrności. Pozbywając się prawie wszystkich swoich aktywów i rozpraszając je po świecie jak chmurę konfetti kartel co prawda zbankrutował, ale też i wytrącił nam z rąk dowody na jakąkolwiek przestępczą działalność jego członków. Jednak... jednak nie to jest w tym wszystkim najgorsze, Wasza Królewska Mość.

Prefekt zawiesił ostatnią frazę w powietrzu i z wyraźnym zakłopotaniem przeniósł wzrok z oblicza Marii Emanuela na swoje mankiety.

— No? Proszę dalej, to mnie nawet zaczyna wciągać.

— Tak, tak... No więc, najgorsze jest to, Wasza Wysokość, że każdy ze wspomnianych przeze mnie przelewów zrobił sobie w drodze z Tampady krótki przystanek w Pierwszym Banku Imperialnym...

— Co takiego?! — Jej Królewska Mość poderwała się z fotela. — Boże jedyny, pan chyba nie mówi tego poważnie, panie prefekcie?

— Niestety, Wasza Królewska Mość, najzupełniej poważnie — westchnął Rattus N. Gray. — Cała operacja została przeprowadzona nader sprytnie, powiedziałbym, po mistrzowsku. Wykorzystano nawet rządowy Fundusz Królewski jako jeden z filtrów. Tylko dzięki naszym tajnym znacznikom i dwudziestoczworgo-dzinnemu monitoringowi wiemy, że w ogóle do niej doszło.

— Ale kto to zrobił? I czemu... — Królowa urwała i popatrzyła na policjanta z niedowierzaniem. — Wielkie nieba, chyba pan nie sądzi, że to ktoś z mojej rodziny?

— Wasza Królewska Mość! — oburzył się prefekt. — Nie przyszedłem tu, by prowadzić śledztwo, lecz dlatego że poczuwałem się w obowiązku powiadomić Ją o zaistniałych faktach.

— Czyli o tym, że monarchia brytyjska wzbogaciła się w przeciągu jednej nocy o osiemset milionów z narkobiznesu. — Maria Emanuela opadła na fotel. — Fantastyczne nowiny, tylko takich mi było trzeba! Czy ktoś już o tym wie? Media?

— Absolutnie nie, Wasza Wysokość. Tylko ja, naczelnik XIII Wydziału oraz kilku podległych mu analityków, notabene wszyscy zaprzysiężeni. I głową ręczę, że tak pozostanie. Honor i dyskrecja to nasza dewiza.

— Honor i dyskrecja — powtórzyła królowa smętnie, zaglądając w oczy swych przodków na portretach. — Honor i dyskrecja, panie prefekcie, to towar od dawna nieosiągalny na rynku.

\* \* \*

Święte słowa, moi kochani, święte słowa! Rattus N. Gray mógł sobie ręczyć swoją szpakowatą głową i odbierać od podwładnych przysięgi sto razy dziennie. Efekt byłby taki sam, jak wstukiwanie poleceń z niepodłączonej do terminala klawiatury.

Gdyby nie te przekłete policyjne kody, przyczepione do transakcji z udziałem pieniędzy kartelu, świat o niczym by się nie dowiedział. Gray nie docenił również wierzycieli obiecując królowej, że sprawa nie ujrzy światła dziennego. Wśród nich znajdowało się kilka poważnych finansowych instytucji o zażyłych kontaktach z organami ścigania. Dom Maklerski Gruesser jako pierwszy dowiedział się o podejrzanym charakterze środków, które niespodziewanie zasiły jego konta. Natychmiast powiadomił o tym fakcie, kogo należało i jednocześnie zablokował wszelkie

procedury wymiany z Pierwszym Bankiem Imperialnym, jakby to było leprozorium.

Za Gruesserem poszli następni i wkrótce kostki domina zaczęły się przewracać. A że beneficjentów mojej tampadańskiej "manny z nieba" było całkiem sporo i nie wszyscy z nich zachowali się dość ostrożnie bądź rozsądnie, wieść błyskawicznie poszła między ludzi. Pierwszy Imperialny, od ponad trzech wieków symbol monarchii na równi z berłem i koroną, z dnia na dzień stracił cały swój prestiż oraz kapitał obrotowy i, cytując słowa jednego z ówczesnych komentatorów telewizyjnych, zdechł jak wykopany za drzwi kundel.

Ja też pragnąłem wtedy skończyć w podobny sposób. Zasłużyłem sobie jak nikt. I niech jeszcze ktoś powie, że maszyny są nieomyślne! Nie chciałem nawet podłączać się do sieci ani dotykać czegokolwiek w obawie, żeby nie napsuć więcej, niż napsułem do tej pory. Jak również z odrazy do prasy, która rozpętała istne piekło za murami pałacu Ducklingdam. Dobrze, że nie istnieje żadne  $E=mc^2$  dla dziennikarskiego plugastwa i że nie dało się zamienić całej tej słownej mierzwy na materię, bo chyba przysypałyby nas po sam dach. A zresztą, myślałem zrezygnowany, niech przysypuje, wszystko mi jedno. Gorzej i tak nie będzie...

No i znowu, proszę ja was, nie miałem racji.

\* \* \*

Dzień był wyjątkowo piękny jak na tę porę roku, słoneczny, ciepły i prawie bez wiatru. Idealna pogoda na stypę. Zapewne wielu chętnie by na nią przyszło, z Andreasem Littlemore na czele. To, co jemu zabrałoby lata bojów w parlamencie, ja osiągnąłem w kilka minut. Jest to jakiś dowód wyższości maszyny nad człowiekiem, nieprawdaż? Ja jednak nie miałem powodów do dumy. Monarchia zbankrutowała nie tylko finansowo, ale także moralnie, przynajmniej w opinii większości brytfańczyków. Mój plan zreformowania pałacowego personelu ziścił się raczej dość

ironicznie; cała bowiem służba odeszła, bo nagle nie było jej czym płacić. Zostało tylko parę osób, no i ja, niewymagający comiesięcznej pensji i wierny Jej Królewskiej Mości do grobowej deski.

– Jeszcze herbaty, Wasza Wysokość?

– Nie, Jonatanie, dziękuję.

Odstawiłem czajnik i spojrzałem na moją panią z troską.

– W takim razie uprzątnę biurko.

– Po co?

– Obawiam się, że lektura tych czasopism żadną miarą nie wpływa na poprawę samopoczucia Waszej Wysokości – rzekłem, sięgając po stosik gazet.

To musiał być jakiś rodzaj masochizmu, czytanie tych obrzydlistw. "Rodzina królewska sponsorowana przez mafię" – "Daily Horror". A tu "Gordian": "Trzęsienie ziemi w operetce". Nawet tradycyjnie przychylnie monarchii "Harold Trombone" i "The Least Dependent" nie szczędziły krytyki pod adresem dworu.

– A może mnie to wszystko bawi? – uśmiechnęła się królowa słabo. – Może ja zawsze chciałam zawołać "Konia za królestwo!"?

– To było chyba odwrotnie, Wasza Wysokość.

– No właśnie.

Ludzie. Tyle lat już wśród nich przebywam, a wciąż zdarza się, że ich nie pojmuję.

Coś skrzypnęło, lecz nie były to drzwi gabinetu. Jeden z regałów zmienił swoje położenie, odsłaniając wchód do sekretnego korytarza, znanego bardzo nielicznym i używanego po raz ostatni, jeśli dobrze zapamiętałem, w roku tysiąc osiemset dwudziestym siódmym.

– Anzelm!

Królowa wyskoczyła zza biurka, ale księżę prześlizgnął się obok niej i padł na fotel pod ścianą.

– Na Boga, kiedy wróciłeś? I jak ty wyglądasz?

Istotnie, księżę w niczym nie przypominał dystyngowanego dżentelmena sprzed dwóch tygodni. Wymięta marynarka, twarz pobrużdżona i zszarzała, oczy czerwone od niewyspania.

– Jonatanie, podaj księciu filiżankę herbaty.

– Nie, daj mi brandy! – zakrzyknął Jego Książęca Mość. – O, Jezu...

Drżącą ręką sięgnął do kieszeni po papierosa – on, którego dzieci znały z antynikotynowych plakatów! – zapalił go i wciągnął łapczywie dym. Byłem zaszokowany.

– Co "o, Jezu", co się dzieje? – Królowa przysiadła obok brata. – Miałeś jakiś wypadek? A może to ci demonstranci przed bramą?

– Demonstranci? Tłum? Chrzanić tłum! – Książę wyskoczył z fotela i zaczął przemierzać gabinet nerwowymi krokami. – On nic mi nie robi. Nie poderżnie mi gardła ani nie strzeli do mnie z przejeżdżającego samochodu!

– O czym ty mówisz? – przestraszyła się Maria Emanuela.

Alkohol, który postawiłem na biurku, Jego Książęca Mość wychylił jednym haustem. Strzepnął popiół na dywan, stanął przy oknie i nie odwracając się spytał:

– Czy ty wiesz, kim ja jestem, siostrzyczko? Czy ty w ogóle mnie znasz?

– Anzelm...

– Pytam: wiesz, jakim draniem jest twój brat? To degenerat, nałogowy hazardzista i skończony dureń!

Przez chwilę w gabinecie panowała taka cisza, że słyszałem swój kwarcowy chronometr.

– Wszystko zaczęło się jakieś dwa lata temu. – Głos księcia brzmiał chropawo. – Dwie partyjki pokera, więcej miało nie być. Ale obydwie wygrałem, wysoko. To jak z narkotykami – wystarczy jedna porządna działka, żeby człowiek się uzależnił. Najpierw bywałem tylko w normalnych kasynach, gdzie szło mi różnie. Na ogół jednak los mi sprzyjał i nabrałem apetytu. Chciałem grać agresywniej, o większe stawki. Pewien znajomy dał mi adres prywatnego domu gry. Miejsce dla ludzi o silnych nerwach i bardzo grubym portfelu. Samo wejście do rozgrywki kosztowało tam sto tysięcy, a milion to była całkiem skromna pula. Czulem się pew-

nie i dysponowałem odpowiednimi pieniędzmi — nie swoimi, ale to nie zaprzętało wtedy moich myśli — toteż zdecydowałem się bez wahania. Skąd mogłem wiedzieć, że ten pseudo—klub to pułapka na kretynów takich, jak ja? Nie miałem pojęcia, że siadam do stołu razem z profesjonalnymi oszustami i że gra toczy się o coś znacznie większego niż te marne parę milionów! Za pierwszym razem pozwolili mi wygrać, za drugim i trzecim też. Żebym się przypadkiem nie spłoszył. Potem było już tylko gorzej. W ciągu miesiąca przepuściłem fortunę i zszedłem do zera. A grać musiałem, po prostu musiałem i koniec! Więc zacząłem pożyczać, to tu, to tam, gdzie się dało. Ale te kanalie i to szybko mi zabrały.

Przerwał na chwilę, żeby zapalić następnego papierosa.

— Wiesz, co jest w kartach najpotworniejsze? Ta piekielna żądza, żeby się odegrać! Zaś moi "partnerzy" byli ekspertami w kuszeniu. Kiedy leżałem już prawie na samym dnie, zaproponowali mi układ: oni spłacą wszystkie moje długi, nie tylko karciane, a nawet wygospodarują dla mnie coś w rodzaju stałej pensji w wysokości dwóch milionów miesięcznie. W zamian chcieli tylko, bym raz na jakiś czas pomógł im w interesach.

— Jakich interesach, Anzelmie?

Książę odwrócił się do siostry:

— Nie domyślasz się jeszcze, moja droga? To był kartel, a ja mu się sprzedałem! Nie było żadnego Królewskiego Towarzystwa Krzewienia Wiedzy Publicznej, nie było żadnych odczytów. Jeździłem po świecie jako kurier, bo mojego bagażu dyplomatycznego nikt nigdy nie sprawdzał.

— Nie wierzę!

— I co to kogo obchodzi, że nie wierzysz! — wykrzyknął Jego Książęca Mość, tracąc resztki opanowania. — Co mnie to obchodzi! Oni myślą, że to wszystko przeze mnie, przez nas. Że to myśmy ich wykołowali i buchnęli im te osiemset milionów!

— Przecież prefekt Gray powiedział, że kartel sam je...

— Mam głęboko w czterech literach prefekta Gray'a! — Książę skoczył jak żbik ku Marii Emanueli. — Mafia to nie wesola gro-

madka z Sherwood i nie rozdaje pieniędzy biednym. Ktoś inny to zrobił. Ktoś, komu zależało, by zniszczyć Organizację i na dokładkę jeszcze nas. Ale kartel przeżyje, bo jest jak pieprzona hydra, podczas gdy my...

Głos księcia załamał się nagle, a on sam począł drżeć i szukać czegoś wokół siebie rozdygotanymi rękami.

– Anzelm?

Papieros wypadł mu z dłoni; wyciągnął następnego, lecz nie zapalił, tylko wściekle rozkruszył w palcach.

– Porwali Vanesę razem z dziećmi...

– O, mój Boże!

– ... i dali nam czas do jutra.

– Na co?

– Jak to, na co?! – Księżę potrząsnął Marią Emanuelą jakby była słomianym wiechciem. Jego nerwy poszły w kompletną rozsypkę. – Na oddanie im całej forsy!

– Ale przecież my jej nie mamy!

– Ich to nie interesuje, rozumiesz?! – Jego Księżęca Mość krzyczał już bez opamiętania. – Nie interesuje ich, skąd ani jak, byle do jutra rana mieli cały swój szmal z powrotem!

– To niewykonalne!

– Będą nas szlachtować jak świnie, po kolei, dopóki nie spełnimy ich żądań! Gdzie są te pieniądze, siostrzo?!

– Nie wiem, część chyba odzyskała policja, reszta... Przestań, Anzelm, to boli!

Uwierzcie mi, chciałem ich tylko rozdzielić. Odciągnąć na bok księcia, nim w swej ślepej furii popełni jakiś czyn, którego będzie potem gorzko żałował. Przysięgam, że nie miałem zamiaru wyrzucić mu żadnej krzywdy i nie mam pojęcia, jak to się stało, ale nagle moje czujniki odnotowały skok temperatury, a kiedy spojrzałem na swoją dłoń...

Czy robot może zemdleć na widok krwi? Okazuje się, że tak.

\* \* \*

Ostatecznie Carrington Co. Ltd wypuściła na rynek zaledwie kilkadziesiąt egzemplarzy z serii S501. Nie stały się komercyjnym przebojem firmy, głównie ze względu na wysoki koszt jednostkowy w stosunku do nakładów. Taka przynajmniej była oficjalna wersja. Nieoficjalnie, ludzie z Carrington Co. Ltd zwyczajnie dostali pietra. Bo przedobrzyli i sknocili sprawę za jednym zamachem. S501 okazały się zbyt samodzielne i zbyt fanatycznie umotywowane. Co za tym idzie, groźne. Jak samochody Formuły 1 w ruchu miejskim albo anioły stróże, które "zawsze wiedzą lepiej". Cały projekt wrócił zatem na etap badań i rekonstrukcji, ale nim pierwszy uproszczony model zdążył zejść z taśmy, firma splajtowała.

Konkurencja jednak nie była aż tak strachliwa. Trup Carringtona jeszcze dobrze nie ostygł, kiedy rozdrapali po nim schedę, dzieląc się wykwalifikowaną kadrą i tysiącami patentów. Trzy lata później androidy takie, jak ja (no, może niezupełnie, bo bardziej tępe i uległe) były już na porządku dziennym. Potem powstał nasz pierwszy związek zawodowy, a w pięćdziesiątym ósmym weszły w życie postanowienia abolicyjne i staliśmy się podmiotem Wielkiej Karty Praw Człowieka, Androida i Obywatela.

W czasach jednak, o których wam opowiadam, traktowano nas jak zwykle wyposażenie gospodarcze, na równi z pralką czy opiekaczem do tostów. Dlatego też to nie mnie uznano winnym zaborstwa księcia Anzelma Mroock-Wickhamshire, lecz Jej Królewską Mość. Ja, w świetle obowiązującego ówczesnie prawa, byłem tylko narzędziem zbrodni.

Proces trwał ponad rok i zakończył się wyrokiem skazującym: dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności oraz praw obywatelskich, o detronizacji nie wspomnę. Okrutna, upokarzająca farsa na użytek mediów, które i tak były rozczarowane łagodnością sądu. Zapewne woleliby widzieć Jej Królewską Mość prowadzoną na szafot, jak za dawnych, dobrych czasów.

Na szczęście nie żyliśmy już w epoce Oliviera Cromwella. Sędziowie byli nawet na tyle łaskawi, że pozwolili Marii Emanueli samej wybrać sobie miejsce odosobnienia. Ku mojemu nieopisanemu zdumieniu zgodzili się również na jej prośbę, bym jej w tym odosobnieniu towarzyszył. Postawili jednak pewne warunki.

To dlatego dzisiaj wyglądam, jak wyglądam i nie potrafię już wielu rzeczy. Niemniej i tak błogosławię los. Przecież mogłem skończyć o wiele gorzej, na przykład rozebrany na części albo po prostu porzucony gdzieś na śmietniku. Tak, moi drodzy, byłem niegdyś robotem Jej Królewskiej Mości. A teraz jestem robotem lady Marii Emanueli Wickhamshire na wygnaniu, i też nie narzekam. Prawdę mówiąc w Brytfanii był paskudny klimat dla maszyn. W końcu tam pada, a tu ni.

## Zawód: Prometeusz

*Opowiadanie ukazało się w NF, zima 2004 (wydanie specjalne)*

Na stacji benzynowej w Saint-Parres zapytał z głupia frant, czy nie mają Gitane'ów. Mieli. Gratka nie lada, wziął zatem wszystkie, jakie były — trzy i pół kartonu. Po namyśle kupił jeszcze dwadzieścia tabliczek najtańszej gorzkiej czekolady, dopił brunatne świństwo eufemistycznie nazywane tu kawą i ruszył dalej drogą N71, która niegdyś wiodła z Troyes do Dijon, a teraz z Troyes donikąd.

Okolica wciąż była piękna. Tak samo jak przed rokiem, szmaragdowe fale łąk i winnic opływały malownicze wysepki farm. Teraz jednak w wielu miejscach osuwiska i zwały nagiej ziemi porozdzierały łagodne wzgórza Szampanii, a opuszczone gospodarstwa straszły ostrymi zębami powybijanych szyb.

Wszystko w kilkunastokilometrowym pasie wokół Olimpu zostało naznaczone jego piętnem, a szczególnie dotkliwie tam, gdzie brzeg relatywistycznego bąbla przeciął ludne miasto, ruchliwą autostradę albo jakąś znaczniejszą rzekę. Tu, w Aube, uskok czasowy nie spowodował dużych zniszczeń ani ofiar w ludziach, oszpecił tylko krajobraz. Jednak cisza i martwota były równie przytłaczające jak w ruinach Nancy albo na wyludnionych bulwarach Monako.

Mike przejechał malutkie, ponure Virey-Sous-Bar — miścinę, która od zeszłego lata znajdowała się na pograniczu dwóch rzeczywistości — i po paru kilometrach wyłączył silnik. Wyboista i pełna rozpadlin droga zamieniła się tu w całkowity chaos kamieni przemieszanych z asfaltem. Cóż, jak zwykle ostatni odcinek będzie musiał przebyć pieszo.

Spokojnie dopalił papierosa, założył ciężki plecak, nogą dopchnął drzwiczki i pomaszerował na wschód przez bruzdy i wykroty, które kiedyś były czyjąś łąką albo uprawnym polem, a teraz przypominały na wpół rozgrzebany plac budowy.

Pół godziny później stanął na krawędzi sześćsetkilometrowej kaldery, twarzą do nieprzeniknionego i zawsze obecnego woalu mgły, za którą skrywał się Olimp. Teraz pozostało już tylko usiąść i czekać na tajemniczych odźwiernych. Usiąść i czekać...

\* \* \*

Wracał płacząc i tak było za każdym razem.

Z potwornej depresji otrząsnął się dopiero przed samym rozjazdem w Troyes. Zjechał na pierwszy napotkany parking, gdyż po każdym ataku potrzebował przynajmniej piętnastu minut na doprowadzenie nerwów do jakiegoś takiego stanu. Kolejna obrzydliwa lura z automatu i na wpół wyschnięty croissant. Nie smakował mu, tak samo jak papierosy, których wypalił pięć — jednego po drugim — nim wreszcie uznał, że jest gotowy do dalszej drogi.

Wciąż trochę otumaniony usiadł za kierownicą, przekręcił klucz, wrzucił jedynkę i momentalnie przyduślił hamulec, gdy przed maską wychynęła nagle czyjaś głowa.

— Oszalałaś, kretynko? Życie ci niemiłe? — wykrzyknął przez okno, ale dziewczyna była już po drugiej stronie samochodu i otwierała drzwi.

– Sorrissimo, nie zauważyłam, jak wychodziłeś. Podwiesz mnie? – Beztrąsko rzuciła niewielki skórzany worek przed siebie i usiadła obok Mike'a.

– To nie jest taksówka. – Nie miał ochoty na idiotyczne przygody z nieznanymi. – Wsiadaj.

– Nic z tego. – Dziewczyna skrzyżowała hardo ramiona i siedziała dalej.

– Musisz mnie zabrać.

– Niczego nie muszę. Nie biorę po drodze łebków ani łatwych panienek.

– No wiesz? Nie jestem żadną dziwką!

Mike westchnął. Czternaście, góra piętnaście lat, *mon Dieu*, jak one wcześniej zaczynają... I zawsze ta sama piosenka – nie jestem dziwką, po prostu nawiałam z chaty, bo starzy tłamsili moją indywidualność, moje prawo wyboru, moje bla bla bla... Pewnie obserwowano go od samego początku i uznała, że ten podłamany gość jest frajerem w sam raz dla niej.

– W porządku, nie jesteś dziwką. Ale i tak ze mną nie jedziesz. Dziewczyna ani drgnęła.

– No co jest, mam cię wywlec siłą?

– Proszę, spróbuj.

– *Merde!* – zaklął Mike i odwrócił do niej zniecierpliwioną twarz. – Nie mam czasu na takie głupstwa!

– No to jedź – odpaliła bezczelnie.

Arogancki, uparty szczeniak. Kto wie, może nawet rzeczywiście przysnęła z domu? Proste dzinsy, bawełniany podkoszulek z nadrukiem, sportowe buty, krótko przystrzyżone, czyste włosy. Prostytutki tak się nie noszą i nie są aż tak nachalne.

– Dobra, nie chcę robić scen. Wsiadasz jednak w najbliższym mieście.

– A dokąd jedziesz?

– Paryż – odparł lakonicznie.

– Aha.

– Tylko nie mów, że ci to po drodze.

— Ja w ogóle nic nie mówię — wzruszyła ramionami. — Ty chyba nie lubisz gadatliwych kompanów, mam rację?

Mike nie odpowiedział. Przeczekał kawalkadę rozpedzonych ciężarówek i włączył się do ruchu. Autostrada była zatłoczona jak zawsze, mimo że teraz kończyła się dziesięć kilometrów na wschód od Auxerre.

Lyon, Dijon, Besançon — to były już tylko rzędy literek na zdezaktualizowanych mapach. Kto wie, może miasta jako takie wciąż istnieją? Wątpliwe jednak, by Olimpijczycy używali tych samych nazw. Wszystkie ludzkie siedziby wraz z mieszkańcami w promieniu około trzystu kilometrów od ośrodka CERN pod Genewą spotkał ten sam los — przeniosły się w czasie względem reszty świata. Tak to można było najprościej określić, chociaż w istocie sprawa była bardziej skomplikowana.

Mike nabrał ostatnio upodobania do kanałów popularnonaukowych w rodzaju Discovery, wiedział zatem to i owo. Na przykład, że cała historia zaczęła się od nowego, potężnego akceleratora cząstek, w którym miano szukać jakiegoś tam bozonu czy wazonu Higgsa, i że jeden z eksperymentów prawdopodobnie poszedł zbyt dobrze. Notabene "prawdopodobnie", "można domniemywać" czy "przypuszczam" były wyrazami, których różni mądrale używali najczęściej w swych wypowiedziach na temat Olimpu. Inni, to znaczy prawie wszyscy znani Mike'owi ludzie, reagowali już tylko krótkim "mnie to nie obchodzi", albo po prostu wzruszeniem ramion.

Tak, oto cali my, zadrwił w duchu, schować głowy w piasek i udawać, że jest po problemie. Czy to jakaś część naszego instynktu samozachowawczego, ślepa hipokryzja jako odruch obronny? Jak można ignorować fakt, że jedna dziesiąta Europy jest już praktycznie nie z tego świata? Można, oczywiście, że można, wszystko można, byle tylko pozostać przy zdrowych zmysłach. Nieznane potrafi wykończyć, zabić irracjonalnym lękiem, porazić niemocą, odebrać spokój i wyssać do ostatniej kropli pewność siebie. Lepiej już zatrzaskać drzwi umysłu przed niewiadomą.

Zdrowsze to i bezpieczniejsze dla szarych komórek, czyż nie? Tak jak kierowca furgonetki dostawczej, która właśnie ich wyminęła. Wciąż na mediolańskich rejestracjach, jakby nadal tam mieszkał i najspokojniej pod słońcem prowadził swój mały biznes — "EURO-NET - INSTALACJA, SERWIS. GIUSEPPE PETRONI". A prawdopodobnie w Mediolanie już od wieków nie ma nikogo o tym nazwisku i pewnie samego Mediolanu nie ma!

Z drugiej strony, trudno było się temu dziwić. Z Olimpu nie posypały się jak dotąd żadne gromy, nikt też zeń nie zstąpił, by odebrać pozostałym siedmiu miliardom ludzi ich ziemię, wolność oraz godność. Czy jednak będzie tak zawsze? Boimy się, rozmyślał Mike, i mamy do tego zarówno prawo, jak i powody, bo nie rozumiemy. Nikt nie rozumie, nie wyłączając jajogłowych, którzy nieprzespane noce spędzają na pichcieniu coraz to nowych teorii. Zresztą, czy on sam coś więcej pojmował? Dlaczego Olimpijczycy są wobec nas tak obojętni? Dlaczego nie pozwalają mu się zobaczyć, a jeśli już pozwalają, to zaraz każą zapomnieć? Do licha, nie wiedział nawet, co się z nim dzieje, gdy przebywa na Olimpie, ani co z nim robią. Badali go, bawili się nim, oprowadzali po znajomych jak dziwoląga z panoptikum albo żywą skamieniałość? I czemu nigdy go nie zatrzymali, tylko puszczały wolno za każdym razem? A jeśli czynią tak celowo? Chcą, żeby wracał i znosił z wyżyn garście podarków dla maluczkich? Może coś jeszcze oprócz tego? Tylko co? Co?! Same pytania i żadnych odpowiedzi, od roku.

Mike zacisnął bezwiednie zęby, sięgnął po papierosy, wytrzymał wprost do ust Gauloise'a i zaciągnął się dymem głęboko, łapczywie, wściekle.

- Można?
- Co? — odparł półprzytomnie.
- Przyfajczyć — uściśliła dziewczyna.
- Tylko uchyl okno, z łaski swojej.
- A poczęstujesz?

Mike westchnął i podał jej paczkę, zerkając na pasażerkę kątem oka.

— Widzę, że czujesz się jak u siebie — zauważył sucho. — Niemniej wolałbym, żebyś zdjęła te brudne buty z przedniej szyby.

— Kiedy mnie tak wygodnie — odparła z chłodną bezczelnością.

— Mam to gdzieś. Zabieraj je stamtąd.

— Rany, ale z ciebie sztywniak! — Dziewczyna wydeła pogardliwie wargi, nogi jednak opuściła. — Za fajkę też wielkie dzięki.

Czerwone pudełeczko pofrunęło za okno.

— Co, puste? No cóż, przykro mi, więcej nie mam. — Mike rozłożył ręce.

— A nie, zaraz, z tyłu powinny być jeszcze Gitane'y.

Czarne, dodał mściwie w duchu. Dziewczyna przechyliła się nad oparciem, poszeleściła przez chwilę i usiadła z powrotem, zębami zrywając banderolę z opakowania.

— Mogą być dla ciebie ciut za mocne — powiedział z przekąsem.

— Co, Gity? Kpisz chyba — parsknęła. Spodziewał się takiej reakcji.

Zapalniczka trzasnęła cicho, dziewczyna zaciągnęła się jadowym dymem jak skazaniec przed wejściem na szafot, i...

— A nie mówiłem? — Mike pokiwał głową. — To nie są papierosy dla ciebie, moja droga. Tak samo jak życie na drodze. Nie twój teatr, ale się uparłaś, prawda?

— Wpadł mi... ekhe!... jakiś paproch, to wszystko — wykrztusiła. — I nie pouczaj mnie, nienawidzę tego!

— Ani mi się śni. Po prostu powiedziałem, co myślę. Też mi wolno.

Mało ożywiony dialog urwał się całkowicie. Dziewczyna sztachnęła się jeszcze raz i drugi dla zachowania pozy, ale przy czwartym zaciągnięciu spasowała i wyrzuciła niedopałek przez okno. Przez następne parę kilometrów siedziała naburmuszona ze

wzrokiem wlepionym sztywno przed siebie, po czym nieoczekiwanie stwierdziła:

– Ci Grecy musieli być naprawdę nieszczęśliwi.

– Słucham?

– Starożytni Grecy. Musieli być nieszczęśliwymi ludźmi, nie uważasz?

– Nie wiem, nigdy nie interesowałem się historią. Czemu tak sądzisz?

– Ja bym była. Co to za życie, kiedy wiadomo, że jakiś bóg – taki sam drań jak ty, tyle, że nieśmiertelny – gapi się ciągle na ciebie, łązi za tobą i pociąga za twoje sznurki wtedy, kiedy jemu się tak podoba. Czasem robi to dla zwykłej draki, albo po to, żeby dogryźć któremuś ze swoich kumpli. A człowiek musi udawać przed samym sobą, że ma wolną wolę i los we własnych rękach. Zastrana boska obłuda, na którą nawet poskarżyć się nie ma komu. Zupełnie, jakby od narodzin po piach mieszkać w kiciu. Co z tego, że wielkim jak świat?

– Przecież to tylko mity – uśmiechnął się blade Mike.

– Nieprawda, nie wierzę w to – odrzekła z przejęciem. – Dawni Grecy mieli zbyt trzeźwe łepetyny, żeby sobie to wszystko wymyślić ot, tak. Ich bogowie istnieli, i pogrywali sobie wrednie ze zwykłymi ludźmi, najpewniej z nudów. Nawet się z nimi pieprzyli, zboki jedne! Powiedz, czy nasi bogowie są tacy sami? – spytała nagle, zwracając ku niemu oczy pełne buntowniczego żaru. – Czy to też takie złośliwe, zblazowane gnojki, które traktują nas jak Disneyland?

– Jacy znowu bogowie? O czym ty mówisz?

– Och, daj spokój! – Nachyliła się jeszcze bardziej i niemal za-wisła mu na ramieniu.

– Przecież musisz wiedzieć o Olimpijczykach więcej, niż ktokolwiek na tej zapapranej planecie.

– Ja? – Mike nagle poczuł się nieswojo. – Skąd ci to przyszło do głowy?

— A stąd. — Dziewczyna sięgnęła za siebie i przeniósłszy drżącą z wysiłku rękę na lewe kolano, otworzyła dłoń. — Jesteś prometeuszem, prawda?

— Gdzieś ty... — zaczął i zaniepokojony odwrócił się pośpiesznie do tyłu.

— *Merde*, pozwoliłem ci wziąć papierosy, a nie grzebać w moich rzeczach!

— Wcale nie grzebałam, to leżało na siedzeniu. — Opuściła wzrok na małą, szarą, idealnie gładką kulkę wielkości piłeczki do golfa. — Pewnie wyturlała się, kiedy wyprzedzałeś tamtą cysternę. Co to właściwie jest?

Nie ty pierwsza o to pytasz, pomyślał, i nie ty ostatnia przeżyjesz kolejny dzień bez odpowiedzi. Po każdej wyprawie, kiedy już się wyszłochał i przejrzał na oczy, sprawdzał, co tym razem wciśnęli mu do plecaka. Może wreszcie znajdzie tam coś, co rozpozna, albo jakąś wiadomość. Pozdrowienie bodaj, jedno zwykłe słowo! Nie znalazł. Przedmioty zaś były najróżniejsze i tak nieopięte w swych funkcjach oraz przeznaczeniu jak komputer dla neandertalczyka. Niektóre zdawały się być samą obecnością bez zdefiniowanej fizycznej formy. Inne przywodziły mu na myśl fragmenty jakichś mechanizmów, tyle że po dramatycznych przejściach w ogniu i hydraulicznej kuźni. Jak okruchy ze złomowiska przyszłości albo puzzle dla geniuszy. Kto wie, może to jest właśnie to? Zwykła łamigłówka, a ten, kto ją pierwszy rozwiąże, wygra klucze do rajy. Zaś szare kulki wielkości piłeczki do golfa to jakiś rodzaj subtelnej podpowiedzi? Tylko one bowiem powtarzały się w prezentach Olimpijczyków. Zawsze znajdował je w plecaku, czasem jedną, częściej dwie lub trzy — jedyny niezmienny element wycieczek na Tamtą stronę, jeśli nie liczyć łez i czarnej depresji.

— Nie wiem — westchnął ciężko, kolejny raz podczas tej jazdy.

— Akurat!

— Mówię szczerze. — Mike przemknął wzrokiem po jej napiętej twarzy i sięgnął po papierosa. — Odłóż to lepiej tam, gdzie było.

– Najpierw mi odpowiedz.

– Na co?

– Na moje pytanie.

– Które? To o Disneylandzie?

Jej mina była jednak śmiertelnie poważna.

– Nie potrafię, nawet gdybym chciał – pokręcił głową.

– Zabronili ci mówić? Oni? A może nasi?

– Nie.

– No to dlaczego?

– Bo nie mam wiele do powiedzenia.

– W to już na pewno nie uwierzę!

– Twoja sprawa, mała. – Mike zapalił papierosa.

– Moja? – Głos dziewczyny zabarwił się nutą oburzenia. – A co z resztą ludzi? Im też tak odpowiadacie? Do cholery, jest tylko garstka tych, którzy mają przywilej wstępu na Olimp! Chyba coś nam się od was należy, nie sądzisz?

– A co ja mogę? – odpalił jej na wpół z irytacją, na wpół z żalem. – Co ja, do diabła, mogę? Powiedzieć ci, jak to wygląda? Bierzesz towar – słodycze, plastikowe zabawki, papierosy, kartki pocztowe – docierasz z tym na Wał Olimpijski, a potem siadasz i po prostu czekasz. Godzinę, dzień, tydzień, nie ma żadnej reguły. Następne, co wiesz, to że jesteś już z powrotem, po naszej stronie. Beczysz jak dziecko i zwijasz się w konwulsjach psychicznej udręki, dla której nikt jeszcze nie wymyślił nazwy. Najgorsze mija stosunkowo szybko, ale ślad pozostaje w duszy na zawsze. Jakaś niewypowiedziana melancholia, tęsknota, gorycz. Nigdy nie mogę przyszpilić dominującego uczucia, ani powiedzieć, dlaczego nam to robią. A także, dlaczego nikomu nie pozwalają zabrać z Olimpu żadnych wspomnień poza jednym: że się tam w ogóle było. Nie wiem gdzie łąziłem, co widziałem, kto mnie dotykał. Nie wiem nawet – a chodzę tam niemal od samego początku – czy ten cholerny tytoń i inne śmieci, których trzydzieści kilogramów z okładem targam za każdym razem na plecach są im do czegośkolwiek potrzebne. Rzeczy po prostu znikają, a na ich miejscu

znajduję pełno takich cudactw, jak ta kulka w twojej ręce. Dzie-  
sięć razy cięższa od ołowiu, ale lewituje, jeśli pobędzie dłużej niż  
pół godziny w temperaturze ludzkiego ciała. Nie przeczę, że cho-  
dę tam dla pieniędzy – rząd i różne inne ważne instytucje płacą  
za każdą duperele, którą przyniosę z Olimpu. Ale to nie jedyny  
powód, i chyba nawet nie najważniejszy. Myślisz, że ja nie chcę  
wiedzieć, jacy oni są? Chcę, i na każdą wyprawę idę z nadzieją, że  
może wreszcie się dowiem. Wracam taki sam głupi, jak zawsze.  
Nawet moja podświadomość jest czysta, eksperci już to sprawdzi-  
li. Dlatego właśnie, gdy ktoś taki, jak ty pyta mnie, jacy oni są,  
rozkładam bezradnie ręce.

– Pranie mózgu, wiedziałam.

– Nie nazwałbym tego w ten sposób. – Mike wciągnął dym  
zastanawiając się, kogo broni.

– Nie? A jak?

– Bo ja wiem... Nikt z tych, którzy odwiedzają Olimp jeszcze  
nie zwariował i nie przestał być sobą, przynajmniej ja o takim  
przypadku nie słyszałem. Oni nie mieszają nam w głowach, pora-  
żają jedynie czasową amnezją, to wszystko.

– I skąd ta pewność? – Zerknęła na niego podejrzliwie. –  
Przecież sam mówisz, że niczego nie pamiętasz, więc mogli zrobić  
z tobą, co im się żywnie podobało. Choćby zaprogramować jak  
bombę z czasowym zapalnikiem, albo...

– Bzdura! – Przerwał jej gwałtowniej, niż to było potrzebne,  
bo słowa dziewczyny zbyt wyraźnie przypominały echo jego wła-  
snych myśli. – Gdyby Olimpijczycy chcieli wyrządzić nam  
krzywdę, zrobiliby to już dawno. Dwa i pół tysiąca lat różnicy to  
tak, jak my przeciwko armii Aleksandra Wielkiego. Jakie szanse  
mieliby starożytni wobec naszych czołgów i samolotów? Tak  
samo nikłe, jak my mielibyśmy w konfrontacji z Olimpijczykami.  
A jednak ciągle tu jesteśmy i żyjemy jak dawniej. W pewnym  
sensie...

– W pewnym sensie, jasne – powtórzyła z sarkazmem. – Mały  
py w zoo też w pewnym sensie jedzą, śpią i pieprzą się jak gdyby

nigdy nic. A kraty i tłumy gapiów to tylko drobny szczegół, prawda?

— Nie czuję się jak mała w klatce. — Mike odparował słabo.

— A ja owszem. — Dziewczyna zacisnęła pięstkę. — I za to ich właśnie nienawidzę, że nagle poczułam się nieważna i śmieszna, jak zwierzę w cyrku. Założę się, że ci z CERN-u zrobili bąbla celowo, żeby, żeby...

— Żeby co?

— Nie wiem jeszcze, ale się dowiem, zobaczycie. — Jej twarz przybrała zacięty wyraz. — Oni też zobaczą... hej, tu jest parking! Zjedź na moment, muszę do kibla.

— Mogłaś powiedzieć trochę wcześniej — mruknął, skręcając z piskiem opon na dojazdówkę.

— Sorry, zauważyłam w ostatniej chwili — rzuciła bez najmniejszej skruchy. Ledwie zaparkował, wyskoczyła z auta i pobiegła w stronę damskiej toalety.

Mike miał do wyboru zostawić ją i odjechać, albo zaczekać i powiedzieć „*adieu*” nieco taktowniej. A, niech tam, zaczeka. Może ta mała to doceni i nauczy się trochę lepszych manier. Poza tym warto sprawdzić, skoro już się zatrzymał, czy w sklepiku dla podróżnych nie mają jakichś ludzkich papierosów.

Niestety, jego ulubionych Gauloise'ów nie było, wziął więc dwie paczki Marlboro. Właśnie wręczał ekspedientce należność, kiedy ujrzał ją przez szklaną ścianę — cwana gówniarę, która oddalała się w pośpiechu od jego samochodu i z jego manelami na plecach!

— O, ty podstępna suko! — zaklął i wybiegł nie odbierając reszty, ale dziewczyna już wrzucała plecak na tył jakiegoś pick-upa, który z rykiem turbosprężarki wystrzelił spod wiaty, gdy tylko jej niebieskie dzinsy zniknęły na dobre w szoferce.

I tyle ją widział.

— Boże, jak mogłem być takim durniem! — syknął, zaciskając pięści w bezsilnym gniewie. — Trzeba ją było wykopać, wywlec tę małą zdzirę za włosy, tak jak chciałem! Szlag by to trafił!

To miał być jego ostatni wypad na Olimp. Przyrzekł to Yvette i Bóg mu świadkiem, że zamierzał dotrzymać słowa. Jeszcze zanim bąbel pojawił się i pękł, marzyli o domku na Rivierze, najlepiej z niewielką restauracyjką albo kafejką. Tyle, że na marzeniach się kończyło, bo nie mieli za co ich zrealizować. A potem, w dwa dni po katastrofie, Mike wyruszył do Nevers. Miasto zostało przecięte przez granicę relatywistycznego zaburzenia niemal dokładnie na pół i wszyscy mieszkańcy jego wschodniej części (tej, która teraz należała do Olimpu) przepadli w rozszalałej rzece czasu. W zachodniej jednak, choć zredukowanej przez czasowy uskok do kupy gruzów, większość ludzi przeżyła. Istniała duża szansa, że jego kuzyn Desmond znajdował się pośród nich.

Mike nigdy go nie odnalazł, pomimo trzech upiornych dób spędzonych w polowych szpitalach i punktach informacyjnych. Jego nagła troska o los krewniaka była o tyle dziwna, że nie darzył Desmonda jakąś szczególną sympatią, a jednak szukał go uparcie, zapuszczając się coraz głębiej w ruiny Nevers. Nie myślał o tym, jak bardzo ryzykuje i że włóczy się po zupełnym bezludziu na wschód od dworca kolejowego, gdzie nie było nikogo, kto mógłby mu przyjść z pomocą, gdyby coś się stało. Po prostu parł przed siebie jak robot, coraz dalej i coraz wyżej po hałdach cegieł i żelbetowego rumoszu. Nie wiedział również wówczas, co to jest granica Olimpu, ani tego, że w pewnej chwili ją przekracza.

I tak to się zaczęło. Olimpijczycy wpuścili go i po tygodniu pozwolili wrócić do jego świata. Przejeżdżający patrol żandarmerii zabrał go ze schodów byłego merostwa i odstawił do najbliższego punktu Czerwonego Krzyża, pokrwawionego i zanoszącego się histerycznym szlochem. Wrzeszczał i wymyślał Bogu ducha winnym policjantom od najgorszych. Wkrótce jednak wróciło mu opamiętanie, a wraz z nim potworne przygnębienie i kac moralny. Musiał zapalić, sięgnął zatem do kurtki, potem do spodni. Wszędzie jednak zamiast papierosów znajdował tylko dziwaczne gadżety, którymi wypchane były jego kieszenie.

To był pierwszy urobek Mike'a, aczkolwiek wtedy nie miał jeszcze o tym pojęcia. Dziwne świedelka nie interesowały go i nie przedstawiały dlań żadnej wartości. Jednak dowódcy patrolu, który go znalazł, najwidoczniej wydały się wielce podejrzone. Żandarm najprawdopodobniej zawiadomił kogoś z oficjeli, bo kiedy Mike wrócił do Paryża, dwóch nadspodziewanie miłych urzędników państwowych już czekało na niego w domu. Zadali mu mnóstwo pytań, na koniec zaś zaproponowali mu współpracę. Mike wahał się, dopóki jeden z nich nie wręczył mu czeku na niebotyczną sumę trzydziestu tysięcy euro. Nie zastanawiał się już dłużej. Podpisał umowę, następnego dnia zrealizował czek i od tego czasu wyprawy na Olimp stały się dla niego chlebem powszednim.

— Niech to szlag! — powtórzył wsiadając do samochodu.

I cóż mógł teraz zrobić poza wykrzykiwaniem przekleństw? Nic. Przecież nie będzie gonił pick-upa swoim marnym rzęchem! Nie powiadomi również żadnych cywilnych organów ścigania, bo oficjalnie żadna kradzież nie miała miejsca, nieoficjalnie zaś... No trudno, ma nauczkę. I tylko szkoda dwudziestu kawalków, a jeszcze bardziej słowa, którego nie dotrzymał.

\* \* \*

Yvette od razu się domyśliła, że coś poszło nie tak. Jego szara jak popiół twarz i ponury wzrok były aż nadto wymowne.

— Mój Boże, wyglądasz jak własny cień — rzekła, odbierając od niego kurtkę. — Co się stało?

Przez resztę drogi do Paryża układał w myślach odpowiedź na to pytanie, teraz jednak zabrakło mu słów.

— No powiedz — nalegała stroskana. — Potraktowali cię gorzej, niż zwykle? Miałeś wypadek?

— Można to tak nazwać — bąknął i pośpiesznie zmienił temat: — Były do mnie jakieś telefony?

— Kilka, ale nic ważnego. — Yvette nie dała się zbyć. — No, więc?

Mike wiedział, że nie uniknie wyjaśnień i bynajmniej nie zamierzał niczego ukrywać przed jedyną osobą, która go rozumiała i zawsze twardo stała po jego stronie. Niemniej myśl, że zawiódł oczekiwania żony sznurowała mu usta.

— Posłuchaj, będę tam musiał pójść jeszcze raz — wyrzucił z siebie nie patrząc jej w oczy.

— Gdzie, na Olimp? Przecież...

— Wiem, co ci obiecywałem, nie musisz mi przypominać. Ale zrobiłem dzisiaj koszarne głupstwo i wszystko wzięło w łeb.

Mówił, jednocześnie zerkając w lustro. Yvette miała rację — plecy zgarbione jak u starca, wychudłe policzki, oczy zgaszone i pełne melancholii, zmarszczki, których jeszcze rok temu nawet nie potrafiłby sobie wyobrazić — słowem, cień człowieka. Może oni rzeczywiście dokonują na nim jakichś eksperymentów, cholera wie? Przecież sama depresja to za mało, by kogoś tak zmienić fizycznie, tym bardziej, gdy ogranicza się jedynie do krótkotrwałych epizodów.

— Mike?

— No?

— Powiesz coś więcej, czy tak będziemy tu stali w przedpokoju? — Głos Yvette był łagodny, lecz nieustępliwy.

— Wściekniesz się na mnie.

— Zobaczymy. Mów.

Mike westchnął i przeszedł do salonu. Usiadł w fotelu, zapalił papierosa i wreszcie zaczął opowiadać jej historię tego dnia.

— I zabrała ci wszystko? — spytała cicho, kiedy skończył.

— Wszystko, poza jedną szarą kulką. — Kąciki ust wykrzywiły mu się z goryczy. — Zapomniała o niej, albo zostawiła mi z premedytacją, taki złodziejski gest na pożegnanie.

— Pięćset euro...

— Tak, zamiast piętnastu czy dwudziestu tysięcy — dopowiedział, kiwając niewesoło głową. — A nam ile potrzeba?

– Nieważne. – Yvette położyła mu swoją drobną dłoń na kolanie. – Zdobędziemy te brakujące pieniądze w jakiś inny sposób.

– Niby w jaki? – skrzywił się. – Kredyt? Wzięliśmy już wszystkie z możliwych.

– No to pożyczmy od rodziny i znajomych. W końcu dziesięć tysięcy to nie jest jakaś gigantyczna suma.

– Nie będziemy od nikogo pożyczać, wykluczone – zaprotestował. – Już i tak siedzimy po uszy w długach.

– W takim razie poszukajmy czegoś innego, tańszego, niekoniecznie nad morzem. – Nie trafi się lepsza okazja, dobrze wiesz. W żaden inny sposób nie uzbieramy tych dziesięciu kawałków na czas, nie ma takiej siły.

– Żaden dom, żaden pałac na Lazurowym Wybrzeżu nie jest wart twojego zdrowia, a może nawet życia!

– Dramatyzujesz, dziewczyno.

– Nie dramatyzuję, tylko się po prostu martwię. Ciekawe, czy kiedy spojrzalesz w lustro, widziałeś to samo co ja? A wiesz, ile razy kochaliśmy się w ciągu minionego roku?

– Yvette, proszę...

– Cztery razy. Gorszą statystykę mają chyba tylko w zakonach. Chcę, żeby to się już wreszcie skończyło, z domkiem, czy bez.

– I skończy się, przysięgam na wszystko, co jest mi drogie. – Mike ujął ręce żony w swoje dłonie. – To będzie naprawdę moja ostatnia wyprawa... Czekać, dokąd idziesz?

– Zadzwoń do siostry.

– Yvette!

Trzasnęła drzwiami. Mike ukrył twarz w dłoniach, zagubiony i rozdarty. Zgadzał się ze wszystkim, co powiedziała. Powinien wstać i pójść do niej – zauważył jej drżące wargi, jakby za chwilę miała się rozplakać – ale może lepiej nie? Dobrze, niech sobie pogada z siostrą, jeśli to ma jej przynieść jakąś ulgę. Chociaż, znając Matyldę, nie robił sobie większej nadziei.

Zrezygnowany, włączył telewizor i zaczął od niechcienia przesuwać kanały.

— ...kolejne z pytań, panie profesorze, odnosi się do kwestii różnicy w tempie przepływu czasu pomiędzy bąblem a naszym normalnym, że się tak wyrażę, światem. Ściślej, jakiej użyliście metody, by tę różnicę określić i czy naukowcy są pewni, że uzyskany wynik jest prawidłowy?

— Och, najzupełniej pewni, droga pani redaktor, najzupełniej. Co zaś do samej metody, to nie ma w niej niczego skomplikowanego. Jak pamiętamy, dla obserwatora w naszym układzie odniesienia horyzont lokalnej dystorsji czasoprzestrzennej, spowodowanej przez negatywny potencjał grawitacyjny osobliwości genowskiej...

— Panie profesorze, mieliśmy chyba umowę.

— Słucham? Ach, tak, prościej, miałem mówić prościej, przepraszam. No więc, ee... jak wszyscy pamiętamy, przez kilka pierwszych minut relatywistyczny bąbel był jak ogromna kula ognia...

— Wskutek czego omal nie doszło do światowego konfliktu, bo wyglądało to jak najprawdziwsza eksplozja nuklearna. Proszę mi nawet nie przypominać, media zbłaźniły się wtedy okropnie.

— No cóż, zjawisko istotnie mogło przerazić. Ale wracając do tematu: to, co widzieliśmy, było efektem przenikania materii — przede wszystkim powietrza — z wnętrza bąbla do naszego kontinuum. Teraz oczywiście już wiemy, że obydwa obszary różniły się znacznie prędkością przepływu czasu, a zatem molekuly gazu, przedostające się z tamtej strony, miały względem tych tutaj wielką nadwyżkę energii kinetycznej. Wyhamowując gwałtownie do normalnych, nazwijmy to, prędkości oddawały tę nadwyżkę głównie w postaci ciepła, stąd owa ognista kula. Bąbel był w tym okresie niestabilny i gdyby taka niestabilność potrwała trochę dłużej, najprawdopodobniej zwyczajnie by wyparował. Wkrótce jednak ktoś lub coś w jego wnętrzu opanowało sytuację i od tamtej chwili aż do momentu kolapsu bąbla widzieliśmy już tylko jego jednolicie szarą, fizycznie neutralną i nieprzenikliwą powłokę.

— No dobrze, ale co z odpowiedzią na wcześniejsze pytanie?

— Jak wyliczyliśmy wartość współczynnika relatywistycznego? Opierając się na pospolitej kalorymetrii i analizie widmowej. Ilość energii, jaka uwalniała się podczas zderzeń cząsteczek gazu na granicy bąbla była, najogólniej rzecz biorąc, wprost proporcjonalna do różnicy prędkości molekuł w obydwu tych czasoprzestrzeniach. Wystarczyło zatem dokładnie przeanalizować dane spektrofotometryczne i gotowe. Szkolna fizyka.

— Hm, dla mnie brzmi to wszystko bardzo mądrze i skomplikowanie, ale skoro pan twierdzi, że to proste, panie profesorze, nie pozostaje mi nic innego jak uwierzyć na słowo. Tak czy inaczej, wyszło wam owe słynne dwa tysiące trzysta czterdzieści jeden lat, prawda?

— Plus minus sto. Innymi słowy, czas wewnątrz bąbla płynął około dwa miliony razy szybciej, niż u nas.

— Dwa miliony, mon Dieu! Większość ludzi wciąż nie chce dać temu wiary.

— Ich wiara bądź niewiara nie ma znaczenia w obliczu bezspornych faktów, droga pani redaktor.

— No tak, naturalnie... A jak ustosunkuje się pan do pogłosek o tym, że od dawna znana jest wam prawda o bąblu, tylko z jakichś powodów ukrywacie to przed ludźmi?

— W ogóle się nie ustosunkuję, gdyż jest to bzdura wyssana z palca.

— To znaczy, że nasi telewidzowie nadal pozostaną bez odpowiedzi na pytanie: co działo się w promieniu kilkuset kilometrów od Genewy przez jedenaście godzin pomiędzy czternastym a piętnastym grudnia ubiegłego roku?

— Cóż mogę im rzec, pani redaktor? Są w doborowym gronie! Mamy całą masę teorii i spekulacji, które intensywnie sprawdzamy, na razie jednak wolałbym nie przedstawiać szerokiej opinii publicznej czegoś, czego nie jesteśmy pewni w stu procentach...

I tak sobie pieprzycie zaślaniając swoją frustrację i indolencję parawanem nadętej terminologii, pomyślał z niesmakiem Mike. Chowacie się w niej jak golasy po krzakach. Żaden z was jednak

nie przyzna się otwarcie, że Olimpu nie rozumie i zrozumieć nie jest w stanie, bo wasz aparat pojęciowy jest przestarzały od dwudziestu czterech stuleci.

Skrzypnęły drzwi. Mike bez żalu wyłączył odbiornik i odwrócił się do Yvette.

– No i co z twoją siostrą? – spytał pozornie niedbałym tonem.

– Wkurzyła mnie.

– Jak zawsze – mruknął pod nosem.

– Ma dwa salony piękności w samym centrum, ale oczywiście w tej chwili inwestuje w nowy klub odnowy biologicznej i absolutnie wszystkie środki utopiła w tym projekcie, przykro jej bardzo. Jakbym nie znała Matyldy i jej obsesji na punkcie finansowych rezerw!

– To po co w ogóle dzwoniłaś?

– Bo myślałam...

– Daj spokój, to nic nie da. Nikt w tych niepewnych i zwariowanych czasach nie pożyczy ci takiej kwoty, zapomnij.

– Mogę jeszcze spróbować u matki...

– Nie – rzekł stanowczo. – Albo przejdę się ten ostatni raz na Olimp, albo dzwonimy do pośrednika i odkręcamy całą transakcję. Trzeciego rozwiązania po prostu nie ma.

– Trochę szkoda... – szepnęła z nieukrywanym żalem. – Ten domek w Sete jest wręcz idealny.

Mike przełknął ślinę, po czym wstał i objął ją czule.

– I jest nasz, jeśli tylko zechcesz mi zaufać – wyszeptał spoglądając głęboko w jej ciemne oczy, które przywodziły na myśl bizantyjską ikonę.

– Boję się. – Przytuliła się do niego mocniej.

– Czego? Że znowu ktoś mnie okradnie? – Jego uśmiech nie był do końca szczery. – Bez obaw, jedna lekcja w zupełności mi wystarczy.

– A jeśli Oni coś ci w końcu zrobią? Jeśli cię tym razem nie wypuszczą, albo...

– Przestań gadać głupstwa, Yve. Byłem tam już ponad trzydzieści razy i zawsze wracałem. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

– Nie wiem.

– Ja też nie. I dlatego zrobimy tak: jutro z samego rana zatelefonujesz do tego agenta i umówisz się na spisanie umowy...

– Ale oni nie mają biura w Paryżu.

– A gdzie?

– Tylko w Sete. I nie załatwiają interesów przez telefon czy internet. Staroświecka firma, lubią bezpośredni kontakt z klientem.

– No to przejedziesz się do Sete, czemu nie? Wyjazd na południe dobrze ci zrobi.

– I chcesz, żebym podpisała umowę?

– Tak, włącznie z wpłaceniem zaliczki, żeby nie było już żadnych wątpliwości. – Poczul, jak drży w jego ramionach. – Co się dzieje, Yve?

– Bardzo cię kocham...

\* \* \*

Wyszedł, nim poranne słońce rozgrzało ulice, żeby zdążyć przed szczytem i kilometrowymi korkami, z których słynęła nadsekwańska metropolia. Chciał tę ostatnią trasę mieć jak najszybciej za sobą. Śpieszył się, ale jakoś tak irracjonalnie, bo zamiast pojechać najkrótszą trasą do Olimpu, przez Auxerre, obrał o wiele dłuższy i pełen objazdów kurs na Avignon. Dopiero za Orleanem dotarło do niego, że traci niepotrzebnie czas na krajoznawcze wycieczki i w Vierzon odbił na Bourges.

Błąd, że nie włączył radia i nie słuchał wiadomości, gdyż wiedziałby wtedy o rolniczych protestach i blokadach dróg na tym terenie. Klnąc swych głupich współziomków zawrócił do Vierzon, a stamtąd pojechał w kierunku Clermont-Ferrand. Nigdy przedtem nie gościł w tych stronach i kilka razy zaplątał się w jakieś podrzędne dróżki.

Około południa dotarł wreszcie do Cosne-d'Alier, "słynnego na całym świecie ze swych serów", jak obwieszczała kolorowa tablica przy wjeździe. Może kiedyś, kiedy kozy, krowy i ludzie żyli tu sobie w sielskiej komitywie. Teraz jednak przegnała wszystkich odpychająca aura Olimpu i Cosne-d'Alier przypominało miasteczko-widmo ze spaghetti-westernów. Nie było tu żadnych poważniejszych zniszczeń, co tylko podkreślało martwość i niesamowitość tego miejsca. Domy, sklepy i światła na skrzyżowaniach, które działały wbrew logice i potrzebie, wyglądały jak filmowa dekoracja. Brakowało tylko sprzętu i statystów. Mike przejechał cichymi niczym kościelna nawa ulicami, minął stację Shella (a raczej jej poczerniałe zgliszcza), dociągnął jeszcze kawałek i zgasił motor.

Wał Olimpijski wyrastał w tym miejscu ze zbocza jak mur wielkiej, zerodowanej warowni. Jeszcze dwa, może dwa i pół kilometra w linii prostej, jeśli znajdzie jakieś wejście na przełęcz w miarę wolne od głązów. Tak czy siak, nie powinno mu to zająć dłużej niż godzinę.

Zarzucił plecak na ramiona i ruszył zdefasonowanym poboczem, mijając po drodze wrak ciężarówki. Ciekawe, czy jechała tędy, gdy nastąpiły wstrząsy, czy też kierowca był tak ślepy lub pijany, że nie zauważył uskoku? Buda została na jezdni, ale szoferka zawisła nad rowem wraz z wielką połącją asfaltu, jak stałowa zakąska na jezorze jakiegoś monstrum.

Mike zapamiętał ten znak orientacyjny i skręcił w lewo, starając się wykorzystać do maksimum resztki szosy. Było gorąco, pusto i tak nieprawdopodobnie cicho, że głos, który nagle usłyszał, zabrzmiał jak armatni wystrzał. Jakaś rozproszona grupka ludzi wynurzyła się właśnie zza jednego z obrywów i kilka osób jednocześnie wskazało go palcami. Błysnęły flesze — czysty idiotyzm, w pełnym słońcu i na otwartej przestrzeni — a potem grupa zwarła się i podążyła w ślad za nim.

Mike osłonił oczy i popatrzył w dół stoku. Ktoś tam się zorientował, że ich zauważył i zamachał do niego ręką, piszcząc wnie-

bogłosy. Japończycy, a niech to! W Paryżu człowiek potykał się o nich na każdym kroku i dostawał szału od ciągłego błyskania aparatów. Nie było na nich siły — fotografowali wszystko i wszędzie, gorzej niż policyjne kamery na skrzyżowaniach. Już nie ludzie, ale istne automaty do archiwizacji danych.

— Pieprzona szarańcza. — Opuścił rękę i pomaszerował dalej, lecz po kilkudziesięciu metrach znów obrócił głowę na dźwięk osuwających się kamieni.

Jeden z turystów odłączył od reszty kompanii i puścił się niemal biegiem w jego stronę. Co kilkanaście susów robił przystanek i sprawdzał, czy z tej pozycji będzie miał wreszcie dobre ujęcie nadzwyczajnego zjawiska — człowieka, który z własnej i nieprzymuszonej woli wspina się do Strefy Zakazanej.

— Zjeżdżaj, kretynie! — krzyknął Mike ze złością i cisnął w Japończyka okrucieństwem skały, jednak z niepojętych powodów tamten potraktował to jako przyjacielski, zachęcający gest i tylko przyspieszył. Zrobił jeszcze parę kroków, a potem zgął się nagle wpół jakby otrzymał cios w splot słoneczny, wymiotował na własne buty i w końcu dał za wygraną, wycofując się w boleściach do swoich.

Mike splunął i ruszył dalej. Głosy za jego plecami wkrótce ucichły i znów był sam, przynajmniej do czasu, kiedy przekroczy granicę Olimpu.

Okazało się, że nie docenił zwodniczości górskich krajobrazów i na szczyt Wału dotarł dopiero po drugiej. Pierwsze krople deszczu uderzyły go po twarzy, a po chwili nad Masywem Centralnym rozpełtała się letnia nawałnica, która zamknęła go między ścianą szarości, a kurtyną Olimpijskiej mglistej bieli.

Widoczność zmaląa naraz do pół metra. Stąpnął nieuważnie na jakiś skalny garbek i nagle mgła rozwiła się. Był po drugiej stronie.

\* \* \*

– To mój ekspedytor, nieprawdaż?

– Wszyscy oni tacy podobni do siebie, Ohe. Ale piętno istotnie się zgadza.

– A zatem uzyskałem nad wami krytyczną przewagę w ruchach! Potwierdzacie?

– Nie można zaprzeczać oczywistemu, Ohe. W rzeczy samej wysunąłeś się na prowadzenie.

– Czym, jak widać, wyraźnie popsuleś humor naszemu przyjacielowi. Rozchmurz się, Isteo, przecież twoja kolej też kiedyś na-  
dejdzie.

– Nie sądzę, panowie. Znudziła mnie ta gra, wycofuję się.

– Znudziła cię, bo przegrywasz. Przyznaj, że twój wybór pion-  
ków był raczej chybiony.

– Znudziła mnie dlatego, że nie widzę w niej sensu i nie po-  
dzielałam twojej fascynacji estetyką przypadku, Ohe. Wszyscy  
mamy podobne tęsknoty, ja również, ale przez tę pustą fanaberię  
tylko oddalamy się w czasie od ich zaspokojenia.

– Czasu, Isteo, mamy akurat pod dostatkiem, w przeciwień-  
stwie do rozrywek. Jakież by to było pospolite, gdybyśmy po pro-  
stu sobie wyszli i zrobili, co chcemy! A tak, przeżyjemy w końcu  
jakiś dreszcz emocji, zdziwimy się, zostaniemy zaskoczeni rezul-  
tatami. To bardzo przyjemna perspektywa. A ty, Ohe, ciesz się,  
bo najprawdopodobniej jako pierwszy z nas przeprowadzisz się i  
poznasz nowych przyjaciół.

Leży na fioletowej... nie, czerwonej jak krew... śnieżnobiałej z  
błękitnymi żyłeczkami... kolor trawy zmienia się niczym w kalej-  
doskopie, chwilami w ogóle znika i znika również sama trawa, a  
potem przepływa nad nim góra jak chmura – kabotyński rym, ale  
tak właśnie jest, Matterhorn światła żeglujący majestatycznie w  
opalizującym przestworze...

Muszę wstać, pomyślał Mike mechanicznie, muszę się podnieść  
z tego psychodelicznego trawnika i iść dalej. Dokąd? Do Nich, na-  
turalnie. Są mu przecież winni domek nad morzem i szczęście

wiekuiste, amen. Tylko czemu wszędzie jest tak pusto jak w luna-parku po sezonie? I gdzie ja mam swój plecak?

— Tutaj — odpowiedziało powietrze dźwiękiem harfy i zacinających się kół zębanych. — To już ostatnia partia części, które oddasz dystrybutorom. Więcej nie będziesz fatygowany.

Gdzieś bardzo, bardzo daleko uderza w pierwsze takty Wielka Orkiestra Dęta Pod Dyрекcją Samego Pana Boga, ale coś kiepsko jej idzie i Marsz Szwoleżerów rozjeżdża się momentalnie w fałszach i kakofoniach...

— Więcej nie będę, rozumiem... — bąka okrutnie speszony, gdyż w istocie nie rozumie niczego i jak zawsze nie wie nawet, z kim albo z czym rozmawia. Powietrze jest absolutnie nieruchome, a mimo to z ziemi wokół niego podrywają się nagle tumany drobnego piasku i wirując miniaturowymi tornadami odpływają coraz dalej i dalej...

— Chodźmy — słyszy jednocześnie z bardzo bliska i z oddali. Z wydmy nieopodal wypelza leniwie ogromna dżdżownica i w chrzęście żelastwa zamienia się w pociąg, który po diamentowych szynach odjeżdża wprost do nieba. — Najwyższa pora, żeby Ohe zwierzył się w końcu ze swych planów co do nowej enklawy.

Nie, do niego nikt tu nie mówi, nikt już o nim chyba nawet nie pamięta. Mgnienie oka, tak szybko załatwiają z nim sprawy i zawsze musi przypominać sobie o tym od nowa.

— Isteo, a ty dlaczego nie idziesz?

Plecak jest lżejszy niż zwykle, kiedy podnosi go i zakłada na ramię. Coś jednak chwytła zań niespodziewanie i ciągnie do tyłu, lekko acz uporczywie...

— Zostaw to. — Jeden głos wybija się ponad pozostałe, a chmura złocistego pyłu układa się przed oczami Mike'a w mgławicową rzeźbę czyjśgo zniecierpliwionego oblicza. — Zostaw i ukaz im obosieczność dziecinnych igraszek z prawdopodobieństwem.

— Dlaczego koniecznie chcesz nam wszystkim popsuć zabawę, Isteo? — Nad pustynią przetacza się grzmot i w tysięcznych miej-

scach piasek tryska wielobarwnymi mandalami. — Naucz się wreszcie rozkoszować uczciwą przegraną, to bardzo orzeźwia.

— Wasza zabawa niesie w sobie ziarna chaosu, którym szczególnie gardzę. — Głos wibruje tuż nad głową Mike'a. — I jest zupełnie niepotrzebna. Jedną z niewielu rzeczy, Ohe, o których nieprzerwanie śniesz jest morze, nieprawdaż? Nie żaden kaertonian, lecz autentyczny ocean ze słońcą bryzą o poranku i zdradliwie łagodnym bezkresem wód. Czemu zatem po prostu tam nie pójdziesz?

— Morze to jedno, a samotność to co innego, przyjacielu. Z kim wiódlbym swoje wieczorne dyskusje? Enklawa musi powstać i dojrzeć, żebym miał interlokutorów na odpowiednim poziomie. Nie oszukujmy się, to nasze małe grono wyczerpało już praktycznie wszystkie tematy.

— Tylko skąd pewność, że sub-enklawa powstanie właśnie tam, gdzie sobie wymarzyłeś?

— Ależ nie ma takiej pewności, i na tym polega cały urok gry, nie pojmujesz?

— Nie, Ohe, pomimo sięgnięcia do ostatnich pokładów mojej dobrej woli. I nie mów mi, że wbudowane w tę dziecinadę ryzyko stanowi dodatkowy smaczek, bo również ten punkt widzenia jest mi obcy. Czy zastanowiliście się choćby przez krótką chwilę co będzie, jeśli naszym prymitywnym kuzynom, poprzez których tak lekkomyślnie wyzywacie los, przyjdzie kaprys rozmieścić krytyczne ilości treostatów w pierścieniu ognisk wokół fioerei?

— To scenariusz o skrajnie niskim współczynniku prawdopodobieństwa.

— Różnym jednak od zera, bo przecież nie mogliśmy w swych kalkulacjach uwzględnić wszystkich potencjalnych zmiennych.

— I dzięki temu gra jest tym, czym jest.

— Szaleństwem bez uzasadnienia, owszem. Nawet jeżeli trafnie przewidziałeś efekty każdego z posunięć i rękami takich niczego nieświadomych biedaków, jak ten ekspedytor, wybudujesz swą

wymarzoną enklawę nad brzegiem Mediterraneo, i tak przegrasz.

— Nie sądzę, Isteo, gdyż jak dotąd nie popełniłem żadnego błędu.

— Wyjąwszy błąd zasadniczy, jakim było wymyślenie owej gry. "Twoja" enklawa nigdy nie będzie twoją, bo plonem z nasion, które tak lekkomyślnie rozsiewacie, będą nowe, odrębne historie, bez miejsca dla żadnego z nas.

— Jesteśmy rozczarowani.

— Czy to cała wasza odpowiedź?

— Prócz tej, że gra musi się toczyć do końca, z tobą czy bez ciebie.

— Zatem beze mnie. I bez ekspedytorów, jeśli mam w tej sprawie coś do powiedzenia.

Mike pada na ziemię i czołga się oślepiiony zawieruchą.

— Ostrzegamy cię, nie przekraczaj linii.

— To wy ją przekroczyliście, ja cały czas stoję po właściwej stronie.

...burza piaskowa osiąga apogeum, szorstkie bicz smagają go ze wszystkich stron i nie ma przed nimi ucieczki, można tylko skryć głowę w ramionach, przywrzeć do ziemi i modlić się o przetrwanie...

— Zmuszasz nas do bolesnych kroków.

— Zmuszam was jedynie do zastanowienia się.

— To uczyniliśmy już dawno. Proszę, Isteo, odsuń się od ekspedytora.

...coś szarpie go w jedną, pcha w drugą i ciągnie w jeszcze inną stronę, jakby był ochłapem targanym przed sforę kundli. Mike krzyczy, kiedy nagle grunt wybucha pod nim i wyrzuca jak pocisk do góry, a piaskowy wir porywa go w niewiadomym kierunku...

— Możesz mieć wpływ! — Ktoś jeszcze woła za nim poprzez nieludzkie zawrodoenie wiatru. — Nawet spadający kamień go ma!

Powrót do Paryża był koszmarem. Po raz pierwszy Olimpijczycy pozwolili mu zachować jakieś wspomnienia z ich świata, ale niech przeklęty będzie taki pożegnalny upominek! Mike prowadził w stanie podobnym do narkotycznego transu, w którym pozbawione logicznych powiązań obrazy i dźwięki przeplatają się z rzeczywistością niczym piekielna fastryga.

Trzykrotnie omal nie skończył swej podróży w kostnicy. W Montlucon piaskowe tornado – zjawisko atmosferyczne zupełnie niespotykane w tej części Europy – przesłoniło mu momentalnie widoczność na skrzyżowaniu i miał dużo szczęścia, że rozpedzony TIR strzaskał mu tylko jedno z tylnych świateł. Drugi raz otarł się o śmierć kilkadziesiąt kilometrów za Chatearoux, gdy zjechał w panice na przeciwbieżny pas ruchu, bo droga zaczęła nagle wykłwicać ognistymi gejzerami. Przeraził się i czym prędzej skręcił do najbliższego motelu, gdzie przez następną godzinę usiłował doprowadzić nerwy do porządku.

Niekontrolowane wizje stopniowo poczęły tracić na sile i Mike ruszył dalej, jednak nie do końca udało mu się wziąć wyobraźnię w karby. Przejeżdżał właśnie rozwidlenie autostrad, kiedy wielka lokomotywa w żółto-czarne pasy wyskoczyła nagle niczym monstrialny kret ze środka jezdni, kilkadziesiąt metrów przed nim.

Omam był tak realistyczny, że bez zastanowienia wcisnął hamulec do dechy. Samochód wpadł w poślizg, wykonał zwrot o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni i znieruchomiał na poboczu. Jakimś cudem Mike nie odniósł prawie żadnych obrażeń, ale kierowca siedzącej mu na ogonie cysterny BP miał mniej szczęścia. Jeszcze w trakcie piekielnego piruetu jeden z kołpaków renówki strzelił i odbiwszy się od asfaltu uderzył w przednią szybę ciężarówki niczym wirująca gilotyna. Świadomość Mike'a nawet tego nie zarejestrowała. Skulił się tylko w fotelu, kiedy szesnastokołowy behemot minął go dosłownie o centymetry, skosił stalową ba-

riere pomiędzy pasami i wbił się w naczepę ciężarowego wozu na przeciwniejszą nitkę autostrady.

Druga lora była częścią jakiegoś konwoju. Kilkanaście tysięcy litrów benzyny eksplodowało z taką siłą, że szarozieloną ciężarówkę dosłownie zmiotło z drogi razem z eskortującymi ją motocyklistami i furgonetką na sygnale. Fala uderzeniowa przesunęła samochód Mike'a o dobre kilka metrów i zamieniła boczne szyby w szklany groszek.

Potworny karambol pochłonął w sumie siedemnaście ludzkich istnień w dziewięćdziesięciu trzech zniszczonych pojazdach. O tym jednak Mike dowiedział się dopiero z nocnych serwisów informacyjnych. Tego, że autostrada A-10 z Paryża do le Mans została zablokowana na cztery godziny nikt nie musiał mu mówić. Otepiały i psychicznie wyczerpany dotarł do miasta dobrze po zachodzie słońca. Nie pojechał jednak od razu do domu, lecz do kantoru w centrum.

— O tej porze? — Zdziwiony Pierre Malraux wpuścił go do środka. — Masz szczęście, że jeszcze tu jestem.

— Liczyłem na to. — Mike przysiadł na tandetnym krześle i sięgnął po papierosa, pierwszego od wielu godzin. — Masz.

Pierre odebrał od niego plecak i przeszedł na drugą stronę kantuaru. Kanciapka, w której mieścił się "punkt skupu złomu" była niepozorna. Zwierzchnicy Malraux, oddelegowanego do kontaktów z prometeuszami, uznali takie warunki za zupełnie wystarczające do wypełniania jego obowiązków. Typowa polityka oszczędnościowa rządu. Dobrze, że chociaż płacili w miarę uczciwie.

— No dobra, pokaż, co przyniosłeś. — Pierre usiadł przy komputerze i otworzył aktualny katalog porównawczy, a potem wysypał zawartość plecaka do wielkiej, plastikowej kuwety stojącej obok na blacie biurka.

— Hm, niewiele tego tym razem.

Malraux powiedział to bez jakiegoś szczególnego wyrzutu; był urzędnikiem, a nie paserem. Wszystkim, co miał z przyjmowania

towaru od prometeuszy była goła państwowa pensja, taka sama co miesiąc.

– I więcej nie będzie, przynajmniej ode mnie.

Pierre zerknął na Mike'a z ukosa.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że się wycofuję. – Mike strząsnął popiół nie dbając o to, że popielniczka stoi zupełnie gdzie indziej.

– Jak to wycofujesz się? Tak po prostu? – Malraux przeniósł na niego zaskoczony wzrok.

– Właśnie tak. Mam już powyżej dziurek w nosie życia jak chłopiec na posyłki, zwłaszcza po dzisiejszej wycieczce. Olimp...

– zaczął z rozpędu i natychmiast ugryzł się w język. Tego, co przydarzyło się jemu, nie doświadczył prawdopodobnie jeszcze żaden z prometeuszy. Wystarczyłoby kilka słów rzuconych w ucho czujnego Malraux, żeby Mike skończył w jakiejś izolatce najeżonej kamerami i mikrofonami. – Zresztą, nieważne. Policz tylko wszystko i zrób przelew, jak zwykle.

– Zaraz, zaraz, nie tak prędko. – Rysy sympatycznej skądiną twarzy Pierre'a ściągnęły się. – Mamy chyba umowę.

– Gwiżdżę na nią, Malraux – przerwał mu Mike oschle. – To ja wam przez cały czas robiłem łaskę, a nie wy mnie.

– No, z tym akurat bym się spierał.

– Tak? W takim razie może któryś z was wybierze się na Olimp? Ciekawe, czy przynieślibyście stamtąd choć ziarnko piasku.

– Rozumiem twój sarkazm, Mike. – Ton głosu Pierre'a momentalnie złagodniał. – Szczerze powiedziawszy ja też uważam, że góra płaci wam zupełnie śmieszne pieniądze za te świecidełka. Ale z drugiej strony sam wiesz najlepiej, że gdybyś chciał cokolwiek z tego sprzedać na czarnym rynku...

– To jedna transakcja ustawiłaby mnie pewnie do końca życia, a wy nigdy byście nie doszli...

Telefon Malraux zabrzmiał nagle taktami Marsylianki. Pierre rzucił okiem na wyświetlacz i odrzucił niedbale aparat na biurko. Pewnie nikt ważny, może jakaś pomyłka.

— Co mówiłeś? — Odwrócił się ponownie do Mike'a.

— Że to nie jest kwestia pieniędzy, tylko świętego spokoju. Wy nawet nie macie pojęcia, ile to wszystko kosztowało mnie zdrowia. Odpracowałem swoje, teraz chcę pożyć zwyczajnie, na przykład w małym domku nad brzegiem morza.

— A gdzie konkretnie? — zainteresował się ni z tego, ni z owego Malraux.

— W Sete. — Mike zdusił niedopalek. — Żona wynalazła tam śliczną posiadłość.

— No to chyba będziecie musieli poszukać sobie czegoś gdzie indziej — skrzywił się Pierre.

— A to czemu?

— Bo od rana cały teren w promieniu stu kilometrów od Montpellier to strefa zamknięta. Nie słuchałeś komunikatów?

— Nie. — Mike poczuł nagle mrowienie w kręgosłupie. — Jak to, strefa zamknięta? Z jakiego powodu?

— Tego, niestety, nie mogę ci zdradzić. — Malraux rozłożył ręce.

— I na jak długo?

— Obawiam się, że aż do odwołania.

— Ale ja już przecież kazałem jej wpłacić zaliczkę! Psiakrew, co wy znowu kombinujecie? I czemu właśnie tam, ze wszystkich miejsc?

— Zapytaj tych z góry, może ci powiedzą. — Malraux przybrał obojętny wyraz twarzy. — Ja tu tylko przyjmuję towar.

— No jasne, zawsze ta sama piosenka — prychnął Mike. — Z diabłem by człowiek ubił lepszy interes, niż z wami.

— Naprawdę mi przykro, że twoje plany się skomplikowały.

— Co ty nie powiesz? — Mike wstał gwałtownie. — Rób lepiej ten przelew, chcę do domu.

Malraux wahał się przez chwilę, w końcu jednak wstukał, co trzeba, zrobił wydruk i położył go na metalowym blacie kontuaru.

– Tu, tu i tu...

– Wiem. – Mike skrobnał parafki w odpowiednich rubrykach. Nie omieszkął przy tym sprawdzić wpisanej przez Pierra sumy, która, o dziwo, okazała się całkiem przyzwoita. Chociaż tyle...

– No to co, chyba nie będę mówił "do widzenia". – Malraux wziął od niego formularz i oddał pusty plecak.

– I słusznie, bo więcej się nie zobaczymy. Pozdrów ode mnie szefostwo.

Wyszedł w parną, sierpniową noc myśląc już tylko o Yvette i o marzeniach, które ponownie zostały obrócone w niwecz, tym razem przez arogancję VI Republiki. Strefa zamknięta, niech to szlag trafi! Co ci zasrani politycy sobie wyobrażają, że ten kraj to ich prywatny ogródek, a ludzie są trawą do deptania? Od dawna należy im się jakiś nowy Robespierre, albo parę dobrze wycelowanych piorunów z Olimpu, o tak! I co to w ogóle znaczy "strefa zamknięta"? Zakaz wjazdu i wyjazdu, wysiedlenie wszystkich z tamtych terenów w diabły? Tak czy siak, o małym domku w Sete mógł już zapomnieć. Zresztą pał sześc Sete, nad Atlantykiem też są piękne miejsca, byle Yvette nie wpakowała się przez jego pośpiech w jakiś wojskowy kocioł bez wyjścia.

Gdzie ten telefon? Ach, prawda, zostawił go w samochodzie.

Mike siadł za kierownicą i otworzył skrytkę. Niesamowite, ale pomimo rozbitych szyb aparat nadal w niej był. Tyle, że bezużyteczny, gdyż bateria zdążyła się rozładować.

– *Merde!* – zaklął i przekręcił kluczyk. Nie pozostało mu nic innego, jak jechać do domu. Kto wie, może Yvette już tam jest? A może w ogóle nie pojechała?

Dom przywitał go jednak zimną pustką. Mike chwycił słuchawkę telefonu i odetchnął z ulgą, kiedy żona odezwała się już po pierwszym sygnale.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

- Jakieś sto dwadzieścia kilometrów od Paryża. I jak poszło?
- Wszystko w porządku. Jestem już w domu. A tobie?
- Krótką pauza, a potem wściekle:
- Nawet nie pytaj. Jeszcze teraz wszystko się we mnie gotuje!
- Wojsko?
- Co, już wiesz? No tak, przecież musieli o tym mówić w wiadomościach. Ale żebyś to widział z bliska!
- Wyobrażam sobie.
- Wątpię. Sceny jakby wyjęte żywcem z jakiegoś filmu katastroficznego, wszędzie barykady, zasieki, wozy opancerzone, po prostu nieprawdopodobne. Mike, co tu się wyprawia?
- Sam chciałbym to wiedzieć – westchnął. – Ale porozmawiamy o tym w domu. Tylko proszę, jedź ostrożnie, bo na pewno jesteś zmęczona.
- Obiecuję.

\* \* \*

Malraux właśnie zabrał się do kasowania plików po wyjściu prometeusza, kiedy elektroniczne takty Marsylianek rozległy się ponownie.

– Co jest, do ciężkiej cholery? I czyj to w ogóle numer? Halo? Słuchaj, dowcipnisiu...

– No, wreszcie! W dupę wsadziliście sobie ten telefon, Malraux?!

Pierre omal nie udławił się własnym językiem.

– N-nie, panie ministrze – wybąkał, pąsowiejąc. – Ja... Przez moment nie mogłem odebrać, bo...

– Dobra, mam tu znacznie ważniejsze problemy na głowie niż kochanki moich pozał się Boże podwładnych. Wiecie, co nasi mądrale powiedzieli mi dosłownie przed paroma minutami?

– Skąd... Nie mam pojęcia, panie ministrze.

– Otóż powiedzieli mi, cytując: "Nie mamy już Montpellier".

– Jak to?

– To znaczy mamy, ale tylko puste instalacje, bo całą resztę diabli wzięli. Sprzęt, ludzie, skompletowany wsad, wszystko, co mieliśmy przygotowane do odtworzenia Eksperymentu Genewskiego poszło dzisiaj z dymem na A-10. Jakaś zaszracona cysterna wpadła w poślizg i wpięprzyła się w sam środek naszego konwoju, wyobrażacie sobie?! Całe szczęście, że mamy instalację rezerwową! I użyjemy jej, bo wycofanie się w tej chwili jest absolutnie poza kwestią. Jest tylko jeden mały szkopuł: brakuje nam kilku elementów do kompletnego wsadu. I stąd mój telefon, Malraux. Sprawdziliśmy już wszystkich zarejestrowanych pośredników, każdego lewego pasera od Pirenejów po Ardeny, co się tylko dało, i nic. Wy jesteście naszą ostatnią deską ratunku i jeśli za moment usłyszę od was negatywną odpowiedź, to chyba osobiście przyjadę i was zastrzelę.

– Ale o co konkretnie chodzi, panie ministrze?

– O retrokoncentraty.

– Słucham?

– Chryste, Malraux! Te fruwające kulki! Macie je?

– Aa... tak, mam! Dosłownie przed chwilą był tu u mnie jeden z nich i przyniósł parę, a dokładnie cztery.

– Cztery aż?! Słodki Jezu, Malraux, no to wy już jesteście bohaterem narodowym! Najdalej za pięć minut będzie u was mój człowiek.

– Przepraszam, panie ministrze, a gdzie jest ta instalacja rezerw... halo? Halo?!

\* \* \*

Rozmowa z Yvette była jak otwarta nagle śluza. Niepokój i rozdrażnienie znikły, pozostawiając już tylko szlam głodu i potwornego zmęczenia. Mike powłókł się do kuchni, a stamtąd do salonu, z piwem w jednej i kawałkiem sera w drugiej ręce. Nawet nie chciało mu się zapalać światła, włączył tylko telewizor, żeby nie siedzieć w kompletnej ciszy. Padł na fotel, otworzył puszkę... i

momentalnie odpłynął, by po kwadransie zbudzić się z niespokojnej drzemki. W jego mózgu znów roztańczyły się wizje, zbyt żywe jak na normalny sen i zbyt surrealistyczne jak na jawę. Tylko piwo rozlałem, pomyślał półprzytomnie i zaczął bezwiednie przerzucać kanały, zatrzymując się w końcu na jakimś serwisie informacyjnym. Może powiedzą coś o tym Montpellier... Niestety, o Montpellier nie padło ani jedno słowo i Mike chciał już poszukać innych wiadomości, kiedy spiker przeszedł do następnego punktu.

— *"Na autostradzie A-10 w okolicach Ponthevrard gdzie, jak informowaliśmy wcześniej, doszło dziś do potężnego karambolu, ruch powoli wraca do normy. Żandarmeria jednak ostrzeża..."*

Mike od razu wytrzeźwiał i wlepił wzrok w ekran. Ujęcia były z kilku różnych perspektyw. Część z nich wykonano z helikoptera i właśnie te, choć najmniej dramatyczne, najpełniej ukazywały skalę wypadku oraz nieprawdopodobny zator, jaki spowodował. Zbliżeń dano zaledwie kilka, gdyż reporterom ewidentnie przeszkadzali w pracy niezliczeni mundurowi. Ale i te parę migawek wystarczyło, by Mike rozpoznał szczątki feralnej cysterny, charakterystyczne barwy kilku innych wraków i widniejące na nich symbole.

— Wojsko — powiedział sam do siebie. — Ta cysterna wpięprzyła się w jakiś cholerny, wojskowy konwój! I założę się, że jechali właśnie...

*"...Jedną z niewielu rzeczy, Ohe, o których nieprzerwanie śniesz jest morze, nieprawdaż?..."*

*"...Enklawa musi powstać i dojrzeć, żebym miał interlokutorów na odpowiednim poziomie..."*

*"...Nawet jeżeli trafnie przewidziałeś efekty każdego z posunięć i rękami takich niczego nieświadomych biedaków, jak ten ekspedytor, wybudujesz swą wymarzoną enklawę na brzegu Mediterra-neum..."*

...do Montpellier, dokończył w myślach. Do Montpellier, które przecież jest o rzut kamieniem od Riwiery, od morza, i ta strefa

zamknięta w promieniu stu kilometrów... Jezu Chryste, ci kretyni chcieli tam zrobić nowy bąbel! A ja...

Zaniósł się histerycznym śmiechem. Niebosięźni bogowie przesuwający pionki na szachownicy i jedna głupia cysterna British Petroleum, która jechałaby spokojnie dalej, gdyby jego na wpeł zdechła renówka nie zakręciła się w poślizgu właśnie wtedy i właśnie tam! Wyniośli, wszechwidzący Olimpijczycy, którym zagrało na nosie takie zero, taki marny pikolak jak Mike Foucher!

Nieprawda, pomyślał z jeszcze większym rozbawieniem, to nie tak. To nie on zrobił tych zadufanych dupków na szaro, ale Wszechświat! Wobec jego nieprzewidywalności wszyscy są równi, choćby nie wiadomo jakie technologiczne moce mieli do swej dyspozycji.

— Enklawa z widokiem na morze? — roześmiał się w głos. — Gówno macie, a nie żadną enklawę, gówno! I dobrze wam tak, złamasy, bożyszczka za pięć centów, bo koniec końców jesteście tylko zwykłymi megalomanami, nikim więcej! Losu nie da się wziąć na smycz jak pudelka, ani teraz, ani dwa i pół tysiąca lat później, łapiecie to wreszcie? Boże, ależ mi dobrze!

Wybiegł do przedpokoju, złapał telefon i wcisnął klawisz "redial".

— Yvette?

— Mike? Co się dzieje?

— Chyba jeszcze nie wszystko przepadło, kochanie. Musiałem zadzwonić i powiedzieć ci o tym.

— Ale co? O co chodzi?

— Mówię o domku w Sete.

— Och, daj już temu spokój, zapomnij i nie drażnij mnie, chociaż ty jeden.

— Wcale nie chcę cię drażnić, tylko pocieszyć. Mam przeczucie, że wszystko będzie dobrze!

— Jakie dobrze? Przecież tam jest teraz strefa zmilitaryzowana!

— To się może wkrótce zmienić.

— Mówili coś w telewizji? — Głos Yvette ożywił się momentalnie.

— Poniekąd. To trochę skomplikowane, opowiem ci wszystko później. Gdzie już jesteś?

— Niedaleko, tyl...

— Yvette? Yvette?!

Połączenie urwało się w pół słowa. Może straciła zasięg, albo też padła jej bateria w telefonie. Coraz gorszy ten sprzęt! Chyba specjalnie, żeby zmuszać ludzi do nieustannych zakupów. Z żarówkami to samo. Tę w przedpokoju wymienił zaledwie tydzień temu i proszę, już szmelc. Mike ruszył po omacku do kuchni, ale i tutaj pstrykanie wyłącznikiem nic nie dało. To samo w łazience i w salonie, telewizor też zgasł... No cóż, widocznie przerwa w dostawie prądu, kiedyś wreszcie musiała się zdarzyć. Śweczki, gdzieś tu na pewno są, pamiętał, że zostały po jego ostatnich urodzinach. Ależ ciemno, musiało trafić całą dzielnicę.

Mike odsunął story i popatrzył na miasto szukając wzrokiem choćby jednej działającej latarni. Nie dostrzegł jednak żadnego światła poza bladymi płomykami świec, których coraz więcej zapalało się w oknach pobliskich domów...

\* \* \*

— Przepraszam, nie wie pani, co się stało?

— Pewnie znowu jakiś... — Przelatujący helikopter zagłuszył rozmowę i oddalił się nad pola liżąc ziemię reflektorem.

— Nie dosłyszałam! — Yvette wychyliła głowę przez okno, ale kobieta, którą zagadnęła zawróciła pośpiesznie do swojego BMW.

Jeszcze jeden śmigłowiec, a potem cała ich eskadra przemknęła z rykiem tuż ponad dachami aut, od ponad kwadransa unieruchomionych w korku. I jak na razie nic nie wskazywało na to, by szybko mieli się ruszyć. Mon Dieu, a może rozpętała się jakaś kolejna wojna? Najpierw Montpellier, teraz te helikoptery i szum w radiu niemal na wszystkich lokalnych pasmach. Zaś na drodze

przed nimi blokada z czołgów i żołdaków pod bronią. Po tym, co przeszła dzisiaj pod Millau, wszystko wydawało się teraz możliwe.

Coraz więcej zniecierpliwionych podróżnych wysiadało z wozów, niektórzy wdrapywali się nawet na maski w nadziei, że coś więcej stamtąd zobaczą. Może i rzeczywiście zobaczyli, bo z kilku ust wyrwały się zdumione okrzyki. Zaniepokojona Yvette wyszła z samochodu i wpadła w sam środek kurzawy, wznieconej przez wirnik kolejnej maszyny, która tym razem zrobiła kółko i wylądowała dosłownie kilkanaście metrów od niej, na poboczu. Śmigła helikoptera z napisem "PIN Broadcasting Company" na kadłubie nie przestały jeszcze mleć powietrza, kiedy wyskoczyli z niego wysoka blondynka z mikrofonem i chłopak z kamerą. Ten ostatni natychmiast skierował obiektyw najpierw w niebo nad pobliską metropolią, a później na sznur zastygłych samochodów i w końcu na dziennikarkę. Blondynka stała jakieś dwadzieścia metrów dalej, ale głos miała donośny i Yvette słyszała każde słowo. Mówili po angielsku.

— Masz to? — Kobieta zapytała kamerzystę. — Będzie w ogóle coś widać przy takim małym kontraście?

— Nie jakoś super, ale odcina się dostatecznie wyraźnie. W razie czego zawsze możemy zrobić składankę ze zdjęciami sprzed roku, to byłoby nawet bardziej przekonujące i efektowne.

— OK, ty tu jesteś od obrazków. Dobra, panowie, minuta na mnie solo, a potem przejedziemy się po ludziach. Gotowy?

— Jasne.

— Trzy, dwa, jeden i... rolujemy. Chris? — To było najprawdopodobniej do kogoś w studiu telewizyjnym po drugiej stronie satelitarnego łącza. — Witaj, Chris. Trudno uwierzyć, ale to dzieje się znowu, tym razem w samym sercu Francji. Dokładnie dwadzieścia jeden minut temu Paryż zniknął nagle pod szarą kopułą relatywistycznego bąbla, co do tego nikt nie ma wątpliwości. Teraz...

Serce Yvette skoczyło do gardła. Zachwiała się, musiała usiąść na ziemi. Co ta kobieta wygaduje, na Boga?!

— ...ogarnąć tragedię tych ludzi. Choć dla nich tutaj upłynęło zaledwie dwadzieścia minut, tam — jeśli oczywiście mamy do czynienia z tym samym współczynnikiem, co w przypadku Nieciągłości Genewskiej — nie ma już od dawna nikogo z ich bliskich...

Ktoś stanął w milczeniu obok Yvette, ktoś inny usiadł na poboczu nieopodal i zaniósł się histerycznym szlochem, głośniejszym i bardziej rozdzierającym od łkania, które zaczęło wstrząsać nią samą. Złoty medalion z dedykacją "Od Michaela dla Yvette" zniknął w jej zaciśniętej dłoni. Patrzyła przez lzy na rozmyte światła samochodów, autostradę, ciemnoszary łuk, który zakrywał połowę rozgwieżdżonego nieboskłonu i zieloną tablicę z napisem: "Paryż — 31 kilometrów".

# Nafciarze

*Opowiadanie ukazało się w SCIENCE FICTION, styczeń 2004*

Inżynier Mroczek czegoś takiego jeszcze nigdy nie widział.

– Przepalone – mruknął, przenosząc wzrok z dziury w ogrodzeniowej siatce na kwadratową facjatę majstra Ciempiuchy. – Nie przecięte, tylko przepalone, stopione. I to chyba acetylenem, bo nawet ze słupka pociekło. Dalej mi będziecie wmawiać, że nikt niczego nie widział?!

Ciempiucha rozłożył bezradnie ręce:

– Ja byłem wczoraj w Krakowie, co miałem widzieć?

– A strażnik? Też był w Krakowie?

– Jaki strażnik, panie inżynierze – zaśmiał się jeden z nafciarzy. – Jak firma zapłaci, to może wtedy się wynajmie. Zresztą po co? Zapieprzamy tu trzy zmiany na okrągło, więc zawsze ktoś jest na placu.

– W takim razie tym bardziej powinniście coś zauważyć.

– A pan inżynier to w ogóle bywa na odwiertach, czy tylko papierki w centrali przerzuca? – spytał zaczepnie inny z robotników. – Wie pan, jakie tu jest zamieszanie, kiedy pracuje wieża? Człowiek człowieka z pół metra nie słyszy, a w nocy jeszcze lampy dają po oczach. Spawarki też są wiecznie na chodzie, bo ciągle się ustawiamy...

— Innymi słowy burdel macie tu taki, że chłopcy mogliby was rozkraść jak kupę kamieni, tak? — przerwał mu Mroczek z przerażeniem. — No to pięknie! I jeszcze się tym chwalicie.

— Ależ nikt się nie chwali, panie inżynierze! — uniósł się Ciempiucha. — I w ogóle o co pan robi tyle zamieszania? O jedną zasraną dziurę w płocie? Przecież nic nie zginęło, a dziura mogła powstać od uderzenia pioruna podczas wczorajszej burzy.

— Bez żartów, panie Ciempiucha. — Mroczek popatrzył na majstra z politowaniem. — Ja też oglądam wiadomości i wiem, że od dwóch tygodni nie spadła tu kropla deszczu, dziura zaś jest idealnie okrągła, więc zrobił ją człowiek, i to tuż pod waszym nosem. Pytanie tylko, po cholere zadawał sobie tyle trudu? Bo przecież musiał podciągnąć butle, a ogrodzenie praktycznie wisi w tym miejscu nad skarpą. I czemu wyciął taki mały otwór?

— No właśnie — podchwycił Ciempiucha skwapliwie. — Za mały na dorosłego, nie? Ani żeby cokolwiek przez niego wyciągnąć. Więc dajże pan temu spokój i zobacz pan lepiej, czy te cholerne prądnice podpadają pod serwis gwarancyjny, bo jak nie, to jesteśmy równo udupieni!

\* \* \*

Na stanowisko wiertnicze numer siedemnaście — ostatnie z czterech, które Centrala kazała mu zlustrować — Mroczek przybył późnym wieczorem i popełnił ten błąd, że zamiast udać się w drogę powrotną jeszcze tego samego dnia, przyjął ofertę noclegu w służbowym baraku nafciarzy. Ci zaś zażyli go starym jak świat sposobem, to jest poczęstowali (a raczej schlali) lokalną księżycówką z domieszką piwa i żubrówki. Liczyli na to, że ręka zrobi się inżynierowi lżejsza a serce bardziej otwarte oraz wyrozumiałe. I nie przeliczyli się, albowiem po kilku głębszych Mroczek sam zaczął pytać, kto następny z jakąś umową albo zaświadczeniem do podpisania. A teraz cierpiał od dubeltowego kaca i nieznośnego bólu żołądka, którym los zawsze karał go za mieszanie alkoholi.

— Odląć, muszę się natychmiast odląć — wyrzucił do laminowanych ścian opustoszałego baraku. — Cholera, tylko gdzie oni tu mają kibel? Zwykle gdzieś z tyłu...

Ranek był rześki, słoneczny i zaskakująco ciepły jak na koniec września. Piękny dzień, taki, w którym człowiek ma ochotę wiele wybaczyć zarówno sobie, jak i innym. A że pomimo technicznego wykształcenia drzemało w Mroczkach sporo romantyzmu, widok spokojnych, połączonych jesiennym światłem gór podziałał jak balsam na jego obolałą duszę. Byle tylko jak najszybciej znaleźć ten wychodek i opróżnić pęcherz, a świat momentalnie zmieni się w istny raj, pomyślał. Po czym postawił stopę na metalowych schodkach i...

— O Jezu! — zakrzyknął, w ostatniej chwili łapiąc się framugi.

Niewiele mu to pomogło, bo prawa noga zdążyła już odjechać do przodu, a lewa to było o jedną nogę za mało do utrzymania w pionie jego osiemdziesięciu sześciu kilogramów. Mroczek zamachał rękami i po krótkiej walce z siłą ciężenia rymnął tyłkiem na próg baraku.

— Jasny szlag! — zaklął przez zęby i z niesmakiem popatrzył na swoje nowiutki, hiszpańskie półbuty. — Wspaniale, po prostu wspaniale, z samego rana włożę w gówno. Ciekawe, co będzie dalej?

Dalej powstał problem zmiany zapaskudzonego obuwia na jakieś inne. Niestety, Mroczek nie przewidział takich przygód i nie wziął ze sobą zapasowej pary. To samo zresztą dotyczyło skarpetek. Koniec końców wyszedł na zewnątrz w czyichś ubłoconych gumiakach, które pasowały do garnituru jak ryj do ściany, ale potrzeba już tak go nagliła, że w poszukiwaniu ubicacji pognałby nawet boso.

Szczęściem wychodek znajdował się tuż obok. Mroczek z błogością oddał naturze, co jej, a kiedy wrócił do baraku, zastał w nim Ciempiuchę w towarzystwie jednego z nafcarskiej ekipy — notabene tego samego, który najdłużej dotrzymywał mu towarzystwa przy butelce.

– Wacek. – Inżynier zwrócił się do nafciarza po imieniu. – Ja rozumiem, że jak człowiek musi, to musi, szczególnie po nocy i na rauszu. Ale, do ciężkiej cholery, sracz jest dosłownie dwa metry stąd!

– A o co chodzi?

– A o to, że któryś z was narobił wczoraj na schodach i ja w to wlałem, omal lba sobie nie rozbijając.

– He, no wiecie co! – prychnął człowiek zwany Wackiem. – Sam pewnie napaskudziłeś po pijaku i dobrze ci tak, żeś w to wdepnął, lalusiu! Warszawka, niech was wszystkich krew zaleje!

Z twarzą czerwoną z oburzenia wypadł z baraku, trzasnąwszy drzwiami.

– No i co pan tak gada bez zastanowienia, panie inżynierze, hm? – Ciempiucha skrzywił się z przyganą. – Pan myśli, że jak ktoś bez krawata chodzi, to od razu dzicz? Kundel jakiś przylazł pewnie ze wsi, mało to razy się zdarza? A w mieście to co, psy na klatkach nie srają?

– Rzeczywiście, trochę bez głowy na niego wyskoczyłem, przepraszam. – Mroczek poczuł się jak idiota.

– Nie da się ukryć – skwitował Ciempiucha. – Więc na drugi raz niech pan jej lepiej używa. No dobra, co ja miałem...? Aha, te dane geologiczne? Zaraz, co tu tak śmierdzi?

– Ee... pewnie moje buty – zawstydzony Mroczek podrapał się po głowie. – Właśnie miałem iść je umyć.

– Nie, spalenizną jedzie. – Majster pociągnął nosem. – Coś się tu pali... rany Boskie, faktycznie pańskie buty!

– Co?! – Mroczek schylił się pod stół, gdzie na gazecie rozłożył swoje zapaćkane kamasze. Gazeta się tliła, a same półbuty stały już do połowy w ogniu, rozsiewając obrzydliwy smród palonej gumy, skóry i oleju po szprotkach. – Jezu, ale jak?

– Potem się pan będziesz głowił – fuknął majster, złapał trzewiki za noski i kolanem otworzył drzwi, by wyrzucić płonące obuwie z baraku. Od razu uderzył ich w nozdrza nowy śwąd,

ciężki, oleisty i z dodatkiem metalicznego aromatu, a słoneczna panorama ukazała się im zamglona przez kłęby gryzącego dymu.

— Chryste, tylko nie pożar szybu! — wykrzyknął przerażony Ciempiucha, ale Mroczek z miejsca go uspokoił:

— Nie, to schodki.

— Że jak?

— No niech pan spojrzy. Kurza twarz, co tu się wyprawia?

Dym szybko się rozwiął i odpłynął z wiatrem na wschód, pozostawiając ich zdumionym oczom metalowe stopnie i ziejącą w nich dziurę wielkości sedesu. Zupełnie jakby łajno, które jeszcze przed kilkoma minutami leżało w tym miejscu, zamieniło się w termit. Ciempiucha pokiwał z niedowierzaniem głową, a potem złapał ze stołu radiotelefon.

— Tadziu, masz tam kogoś wolnego, czy wszyscy zajęci?

— Znajdzie się paru. A co?

— To powiedz im, żeby przyszli do budy.

W chwilę później trzech ludzi w żółtych kaskach stanęło przed barakiem.

— Co jest, szefie?

— Słuchajcie, panowie: weźmiecie po taczce, sypanie do środka ze cztery łopaty tuczni, ubierzecie azbestowe rękawice i przejdziecie się po całym placu. A jak zobaczycie jakieś gówno — psie, kocie, krowie, obojętnie — macie pozbierać na taczki, tylko tak, żeby mi nic na terenie odwiertu nie zostało, nawet sztynk.

— Chwila moment, szefie, jaja se pan z nas robi?

— Jaja to ja z was sobie zrobię, jak nie wykonacie mojego polecenia, i to w trymiga!

— No dobra, ale co my mamy z tym potem zrobić?

— Wywalić, najlepiej do strumienia przy drodze. No już, co się tak na mnie gapicie, jakbym miał żabę na głowie?

Robotnicy, raczej mało uszczęśliwieni, odeszli do zleconej im roboty, Ciempiucha zaś wrócił do baraku i siadł ciężko na krześle.

— No to, k..., mamy problem — westchnął, wytrząsając ze zmiętej paczki ostatniego Fajranta. — Co to się na tym świecie porobiło?

\* \* \*

Mroczek też miał problem, a właściwie kilka. Zniszczone buty były najmniejszym z nich, chociaż czterysta złotych to wcale nie bagatela. Gorzej miała się rzecz z kostką, którą skręcił podczas niefortunnego zjazdu z barakowych schodów. Ciempiucha poratował go tymczasowo kwaśną wodą z apteczki, ale noga spuchła jak melon i nie było mowy, by w tym stanie inżynier mógł poprowadzić samochód, zwłaszcza do Warszawy. A raport z inspekcji miał być na wczoraj, nie mówiąc o tej słodkiej Ani z Łodzi, która na pewno skłęła go już od najgorszych.

Trzeci z problemów był bezpośrednią konsekwencją drugiego i pojawił się dokładnie o godzinie trzynastej czterdzieści dwie, kiedy zaświergoliła jego służbowa ko mórka. Mroczkowi wystarczył jeden rzut oka na wyświetlacz, by struchleć — dzwonił sam Łatuszewski z Centrali!

— Witam, panie prezesie, witam... Ależ naturalnie, że wiem, tylko że miałem drobny wypadek... Nie, nie, nic z samochodem, broń Boże! Po prostu skręciłem sobie nogę, niemniej dość poważnie, i... słucham? Ee... szczerze powie dziawszysy, nie przyszło mi to do głowy. Rzecz jasna, przecież muszą mieć tu przynajmniej faks, może i laptop... Ehem, tak, no więc, ogólnie rzecz biorąc wszystkie z czterech stanowisk, które sprawdziłem, idą pełną parą do przodu i nigdzie nie ma żadnych większych odchyłów od ustalonego rozkładu jazdy. Są, oczywiście, różne drobiazgi, na przykład na ósemce do tej pory nie dogadali się z soltysem w kwestii ujęcia wody, dwójka od tygodnia przeżywa istne oblężenie jakichś Zielonych czy innych ekologów, a siedemnastce lada moment padną generatory. No i jeszcze sprawa tych nieszczęsnych głowic wiertniczych z Geothrone. Moim zdaniem, panie prezesie, wina

evidentnie leży po stronie brytyjskiej, która wcisnęła nam złom trzeciej kategorii, w dodatku przeznaczony do robót w zupełnie innych warunkach geologicznych. Nie trzeba nawet ekspertyzy niezależnych rzeczoznawców, odszkodowanie należy nam się jak nic, i to grube. Przy okazji przyjrzałbym się też tej naszej komisji przetargowej, bo śmierdzi tu przekrętem na kilometr... A...ależ ja się nie wtrącam, panie prezesie, ja tylko... Oczywiście, że nie moja spr... Wcale z panem nie dyskutuję, chciałem po prostu... Tak jest, rozumiem, w ogóle nie było tematu... Co? Znaczący, proszę? Panie prezesie, oczywiście, że ropa jest, ale głęboko, więc wiercenia muszą trochę potrwać... Tak, ale to były oceny wstępne, które trzeba potwierdzić i dlatego właśnie wykonuje się wiercenia... Nikt pana nie poucza, ja tylko mówię, że tego typu prace nie dają efektów z dnia na dzień, a poza tym... Przepraszam na moment...

Już od paru chwil Mroczek miał koncert stereo: w jednym uchu jazgotał mu Łatuszewski, a jednocześnie drugie wychwytywało podniecone i coraz głośniejsze krzyki ludzi na zewnątrz.

– Tam jest, tam pobiegło!

– Nie pobiegło, tylko poleciało! Co to za sukińsyństwo, ptak jakiś?

– Czort wie! Kazek, masz go? Ty, czekaj, bo chyba włożył pod kompresor! Krzychu, leć po bosak, zaraz gada wykurzymy... O żesz, ścierwo, widziałeś to?!

– Jak rany Boga, czym to bydlę pluje, napalmem? Dajcie gaśnicę, bo się zaraz opony sfajczą! No ruchy, panowie, ruchy! Ej, bo drapnie do generatora! Od tamtej go zajdź, od tamtej, mówię!

– Guzik, za szybki jest...

– Chociaż mu drogę zastaw, żeby się znowu nie dorwał do oleju... O, właśnie, dobra, dobra, odganiaj go, spychaj do strumienia, niech spiernicza gnojek na bambus!

Zaintrygowany Mroczek nachylił się w kierunku okna. To, co ujrzał, przypominało jakiś dziwaczny mecz rugby z dodatkiem rekwizytów w postaci sprzętu p-poż, wideł, kawałka ogrodzeniowej siatki i dwóch arkuszy ocynkowanej blachy. Ktoś przebiegający

pod barakiem na mgnienie przesłonił mu obraz, a w sekundę później do środka wpadł Ciempiucha.

— Panie inżynierze, nie ma pan przypadkiem komórki? — rzucił od drzwi.

— Przekładem mam, ale akurat jestem w trakcie rozmowy.

— A można by skorzystać, jak pan skończy? Przepraszam, że ja tak, ale już nie mam nic na karcie.

— Proszę bardzo — odparł Mroczek uprzejmie. — To służbówka, więc rozmowa na koszt firmy. Już jestem, panie, prezesie... Panie prezesie? Halo? Halo?! Szlag trafił, no i rozłączył się. Dobra, niech pan dzwoni.

— Dzięki. — Ciempiucha wziął od niego aparat i zaczął grzebać wśród szpargałów na stole, mrucząc pod nosem: — Pieprzone cze-reśniaki, głowę dam, że to wszystko ich sprawka. Gdzie ta zakichana kartka?

— Coś się stało? — spytał Mroczek, jednym okiem zerkając za okno. Kilkunastu chłopów nadal uganiało się po całym placu za czymś, czego nie widział, ale co, jak już domyślił się z podnieconych okrzyków, musiało być jakimś stworzeniem. Najpewniej dziczyzną z lasu, która zabłąkała się na teren odwiertu i teraz w panice usiłowała znaleźć wyjście z ogrodzonego terenu. Mroczkowi momentalnie zrobiło się żal zwierzaka, samego przeciwko całej hałastrze ludzi ze śmiercionośnym żelazem w rękach. Co im wadzi jakiś lis czy kuna, pomyślał, przecież wieża wiertnicza to nie kurnik. A może po prostu urządzili sobie to polowanie z nudów?

— Czy coś się stało? Jeszcze nic poważnego — odparł Ciempiucha wystukując numer. — Ale jak się od razu temu łba nie ukreści, to możemy mieć tu niezły cyrk. Cholera, nie pojmuję tych naszych chłopów, wie pan? Człowiek płaci im za te ich gówniane ugory jak za jakie złotodajne działki, wodę dla nich znajduje, porządną drogę też mają przy okazji zrobioną, nikt z nas nie wyściubia nosa poza te kilkaset metrów stanowiska i nie wchodzi im w szkodę, a oni i tak, jakby mogli, zathukliby nas toporkami... Halo?

Proszę pani, chciałbym z wójtem. Jerzy Ciempiucha z platformy wiertniczej... Co? Nie ma go? A kiedy będzie? Słucham? Jak skończy rozlewać gnojówkę na polu? Aha, i o której wróci? Jak skończy? Droga pani, ja pytam, o której to będzie godzinie? Jak będzie, to będzie, no tak, rozumiem, bardzo pani dziękuję. — Ciempiucha oddał Mroczkowi telefon z wymownym westchnieniem — No i jak się z nimi dogadać? Ja swoje, baba swoje. Właściwie, po cholere wójt? Tu by trzeba z księdzem pogadać. Może jakby im wygarnął z ambony, coś by dotarło.

— Ale o co chodzi?

— Panie inżynierze, mądrzejsi ode mnie tego nie wiedzą. — Ciempiucha wzruszył ramionami. — Mówią, że wszędzie robi się coraz cieplej i stąd różne dziwne zarazy, o których jeszcze dziesięć lat temu człowiek nawet nie słyszał. Kasztany, na ten przykład, giną, bo podobnież zżera je jakiś tropikalny robal. A u szwagra w lubelskim sąsiad trzyma normalnego żywego krokodyla na działce, wyobrażasz pan sobie? I nie to, żeby w wannie w piwnicy, ale bestia lata mu zwyczajnie po obejściu jak pies, nawet w zimie! Tak się porobiło, panie inżynierze, że ludzie już z rozumem nie doganiają; kangury, strusie, piranie w Wiśle, kto to widział? A cały problem przez ruskich. Wszystko możesz pan od nich kupić i nikt tego nie kontroluje. Tutaj pewnie było tak samo — górale zrobili ściepę, kupili swołocz na bazarze i puścili na nas.

— Co, krokodyla? — Mroczek zamrugał oczami ze zdziwienia.

— E, tam, krokodyla! — prychnął majster. — Wie pan, skąd ta dziura w ogrodzeniu i to czarcie łajno? I czemu zdechł nowiutki generator Siemens'a?

— No? — Inżynier był autentycznie ciekaw.

— Ano temu, że... Jezu! — Ciempiucha pisnął i uskokzył z drogi czemuś zielono-brązowemu, co skrzecząc rozdzierająco wpadło jak bomba do baraku. Mroczek, od dziecka uczulony na sam widok nietoperza, odruchowo zasłonił twarz rękami. Pomimo dojmującego bólu w kostce jednym susem znalazł się na łóżku pod ścianą i natychmiast z niego zeskoczył, bo podfruwający niczym

kura intruz wybrał dokładnie ten sam kierunek, co inżynier. Trzask przewracanego krzesła i brzęk szkła zmieszały się z łomotem obcasów o metal.

— Kazek, ty pilnuj, żeby znowu nie zwał, a ja go capnę! Skurwiel już jest mój! — zakrzyknął jeden z nafciarzy, podczas gdy drugi zatarasował drzwi. — Szeffie, koc azbestowy ze ściany!

— Ocipielicie?! — wrzasnął Ciempiucha na ich widok. — Chcecie, żeby mi drań puścił tu wszystko z dymem?

— Panowie, ostrożnie, moja noga! — Mroczek dołączył się ze swoim własnym, słabym protestem, ale w łowieckim zamieszaniu nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Gruchnął jakiś łamany mebel, pchnięty nieumyślnie Ciempiucha poleciał na dystrybutor do wody i wyładował razem z nim pod stołem, chłopaki darły się jeden do drugiego jak w amoku, a ponad całe to pandemonium wybijał się świrdrujący krzyk nieszczonego stworzenia, które miało się w panice od ściany do ściany. Inżynier nie wiedział już, gdzie się schować, kiedy w końcu kumpel Kazka złapał bestię za ogon i błyskawicznie przyduślił do ziemi.

— Mam cię, ty...! — wychrypiał zwycięski nafciarz, jednak triumf był przedwczesny.

Biedna ofiara zmasowanej nagonki wyglądała, jakby za chwilę miała zdechnąć. Podobieństwo do nietoperza kończyło się na kuszach, błoniastych skrzydłach, reszta bardziej niż ssaka przypominała pękatą jaszczurkę wielkości bullteriera. Mroczek miał pełne prawo do osłupienia, a nawet niejakiej trwogi, bo w życiu nie widział takiego dziwołaga. W tej chwili jednak to krańcowo wyczerpane ucieczką, śmiertelnie przerażone i kwilące żałośnie zwierzę budziło w nim jedynie żal i litość.

— No i co z nim zrobicie? — zwrócił się do Ciempiuchy.

— Ja bym mu od razu łeb urwał. — Majster zgrzytnął zębami. — Ale muszę mieć jakiś mocny argument, kiedy już przyjdzie do dyskusji z miejscowymi. Tylko gdzie go, cholera, zamknąć, żeby nie narobił jeszcze więcej szkód?

– Zaraz, i to biedactwo ma być niby sprawcą wszystkich waszych nieszczęść?

– A jak? Dziura w płocie, dziura w schodach i przede wszystkim dziura w baku generatora. Tę ostatnią skubaniec wygryzł taką małą, żeśmy jej nawet nie zauważyli. Ale jemu wystarczyła, żeby wychłać do czysta dziesięć litrów ropy.

– Jezu, panie Ciempiucha, co pan za bzdury wygaduje. – Mroczek skrzywił się z politowaniem.

– Bzdury? A buty to kto dzisiaj stracił, hm?

– Ale... jaka ropa, na Boga, przecież to jest zwierzę, a nie silnik Diesla! Coś się chyba panu pokręciło.

– Nic mi się nie pokręciło, panie Mroczek, i dobrze wiem, co mówię. Słyszał pan o tej eksplozji w rafinerii płockiej, jakiś miesiąc temu?

– Coś mi się obilo o uszy – bąknął inżynier.

– Cztery komisje główkowały nad przyczynami i dopiero jakiś biolog im pomógł. Okazało się, że cały bajzel był właśnie przez taką małą zarazę, jak ta tutaj – Ciempiucha skierował oskarżycielsko palec na dyszące resztką sił stworzenie.

– Żartuje pan?

– Nic podobnego.

– Ale co to w ogóle jest?

– Smok, panie inżynierze.

– Że co, proszę?

– Ano smok. Tamten z Płocka był co prawda trochę większy, ale to smok, jak dwa a dwa cztery. I to z tych wredniejszych gatunków, bo podobnie większość z nich jest całkiem nieszkodliwa. A propos, panie inżynierze – pan co prawda studiował pewnie na politechnice, ale może zna pan kogoś po biologii?

– Może znam. – Mroczek słuchał tego wszystkiego jak oduzrony.

– A nie dałby pan rady go tu ściągnąć?

– Hm?

— Wie pan, fachowiec to zawsze fachowiec. Ja znam się na wierceniu dołów w ziemi, ktoś inny na faunie i florze. A lepiej wiedzieć, z czym się ma do czynienia, bo czuję, że na tej jednej bestii się nie skończy.

— Panie Ciempiucha, smoki w przyrodzie nie istnieją, nie rób pan ze mnie idiota! — jęknął Mroczek.

Nafciarz Kazek wrócił właśnie z dodatkową sztuką azbestowego koca — tak na wszelki wypadek — i wraz z kolegą przystąpił do delikatnej operacji przyrządzania naleśnika ze "smoczym" nadzieniem. Ale stwór, wykorzystawszy kilka minut przymusowego relaksu, złapał drugi oddech. Najpierw zwinął się jak sprężyna pod ręką przytrzymującego go człowieka, a kiedy Kazek zbliżył się doń z kocem, zwierzę plunął mu na kolana cieniutką strużką ognia, a potem wykręcił łeb i wbił zęby w nadgarstek oprawcy.

— Aa, niech za krew troista! — krzyknął Kazek z twarzą pełną bólu — Zabiję ścierwo!

Ścierwo nie zamierzało jednak czekać na spełnienie groźby i nim ktokolwiek się obejrzał szurnęło na dwór, pozostawiając po sobie tylko smród spalenizny.

— I co, teraz mi pan wierzy, panie Mroczek? — rzekł Ciempiucha z przekąsem i dodał, lecz już nie do inżyniera: — A wam, głąby skończone, chyba polecę po premii!

\* \* \*

Nie było rady, musieli odpalić firmową terenówkę i w te pędy wieść nafciarza Kazka na najbliższy ostry dyżur, to jest do szpitala w Myślenicach. Temperatura skoczyła mu do trzydziestu ośmiu i pięciu kresek, a jego lewe przedramię zaczęło przypominać pieczony baleron. Najgorsze, że nie mieli pojęcia, czy oprócz swoich pirotechnicznych zdolności zwierzę nie było jadowite, a jeśli było, to co powiedzieć lekarzowi, który miałby zaaplikować ewentualną anty-surowicę? Ze jednego z pracowników przedsię-

biorstwa Ropex ukąsił smok? Obydwaj by chyba umarli – jeden na skutek działania toksyny, a drugi ze śmiechu.

Tak, a co ja mam powiedzieć, zastanawiał się skołowany Mroczek, który zabrał się do Myślenic na doczepkę, bo skoro już jadą do tego szpitala, to niech wezmą obie ofiary smoczych wybryków. Przecież takie ogniodyszne monstra należą wyłącznie do świata bajek, prawda? Prawda. Z drugiej jednak strony nie mogę zaprzeczyć faktom, a jest faktem bezspornym, że widziałem dzisiaj wielką, latającą jaszczurkę z miotaczem płomieni w pysku. No, może latającą to za dużo powiedziane, bardziej przypominało to podskoki brojlera na amfetaminie, niemniej... Więc komu ja mam do ciężkiej cholery teraz wierzyć? A jeśli w legendach o smokach przez cały czas tkwiło jakieś ziarenko prawdy? Zaraz, gdzie on to czytał, czy może oglądał na Discovery? Że kiedy odkopano pierwsze kości dinozaura, także z początku nie chciano dać wiary w ich autentyczność. Twierdzono, że to naiwne fałszerstwo dokonane w celu udowodnienia, że ogromne, mityczne jaszczury z baśni oraz Biblii istniały naprawdę, nie tylko w wyobraźni gawędziarzy. A dzisiaj słowo "dinozaur" jest na ustach każdego dziecka. Ba, gdzieś tam nawet przebąkuje się o ich klonowaniu! I wiele z tych przedpotopowych gadów latało, to również naukowo potwierdzony fakt. Diabli wiedzą, może były wśród nich i takie, co ziały ogniem? Ten świat jest zbyt popieprzony, żeby cokolwiek dało się wykluczyć.

Na teren odwiertu powrócił sam z kierowcą, Kazka zatrzymano bowiem w szpitalu na obserwację. Ledwie przekroczył bramę, dopadł go niespożyty Ciempiucha.

– I co z nim?

– Trzeba poczekać do jutra – odparł Mroczek zdawkowo, kuśtykając w kierunku baraku. – Ale to chłop jak byk, na pewno się wylize.

– Oby, bo to mój najlepszy wiertniczy. A jak tam pańska noga?

– Nie amputowali mi jej, panie Ciempiucha.

– Tyle, to i ja widzę – mruknął majster, trochę urażony zgryźliwością inżyniera. – Nieszczególny dzień, co?

– Ano, nieszczególny – odbąknął Mroczek, który w tej chwili marzył o trzech rzeczach: uroczej Ani z Łodzi, ciężkim paraliżu Łatuszewskiego i filiżance mocnej kawy. – Co oni tam robią?

Ciempiucha zerknął na trójkę ludzi, którzy wspólnym wysiłkiem odwalili właśnie jedną z żelbetowych płyt na środku placu, po czym kilofami zaatakowali kamienisty grunt.

– A, to? Przygotowują pułapkę. Powiedziałem, że nie daruję tutejszym. Skoro oni ze mną tak, to ja z nimi po swojemu. Złapiemy w końcu tego małego gada, a jak już będę go miał – żywego czy zdechłego, obojętnie – wtedy zrobi się małą konfrontację tych ciemniaków z weterynarzem wojewódzkim, czy z kim tam trzeba.

– Ciekawe, jak pan im cokolwiek udowodni? – Mroczek skrzywił się sceptycznie. – Moim zdaniem traci pan czas na głupstwa i niepotrzebnie szuka zwady z miejscowymi, którzy, jak sam pan stwierdził, już i tak nie są do nas za dobrze nastawieni. Cemu pan po prostu nie weźmie jakiegoś myśliwego i nie załatwi sprawy bez zbędnych szumów?

– O to też zadbałem, spokojna głowa. Lada moment powinien się tu zjawić mój stary kumpel z wojska.

Istotnie. Mroczek nie zdążył jeszcze dopić kawy, kiedy rozklekotany UAZ z istic kawaleryjską fantazją (czytaj: demolując zde-rzakiem dwa turystyczne krzeselka i stolik) zajechał przed barak. Niedźwiedziowata postać w pełnym łowieckim rynsztunku wygramoliła się z wozu na chwiejnych nogach, z satysfakcją zlustrowała przód gazika ("Ee, nic to, reflektor cały"), rozprostowała plecy i wreszcie dziarsko ruszyła ku drzwiom. Może nawet zbyt dziarsko jak na fakt, że brakowało jednej trzeciej powierzchni schodków. Dzielnny myśliwy postawił stopę w miejscu, gdzie już od ładnych paru godzin nie było nic prócz powietrza, i klnąc ordynarnie zarył nosem w wykładzinę centymetry od gumiaków inżyniera. Mroczek natychmiast zerwał się, by mu pomóc, za co

tamten odwdzieczył się jedynie porcją dosadnych inwektyw. Po czym lekceważąc wyciągniętą dłoń pozbierał się z ziemi, otrzepał swoje profesjonalne wdzianko, i czknął:

— Co za burdel... Gdzie ten Jurek? Przecież miał na mnie czekać, pierdoła jedna... — i wytoczył się z powrotem na dwór, tym razem dokładniej sprawdzając, po czym stąpa.

— Boże, jak ja chcę wrócić do domu! — westchnął Mroczek, opadając na krzesło. Nie miał tu już nic więcej do roboty, nie interesowały go lokalne animozje i podchody, nie czuł się tu nikomu potrzebny, a z dwójga złego wolał być chyba opieprzany przez różnych Łatuszewskich w Warszawie niż przez podchmielonych chamów w rodzaju dawnych kolegów Ciempiucha. Jeszcze jeden taki incydent, a zostawi samochód i pojedzie autobusem. A może zatelefonować do Ani, żeby po niego przyjechała?

Niezdecydowany, wyciągnął komórkę, schował i wyciągnął ponownie, ale udało mu się jedynie wystukać początkowe cyfry numeru, gdyż Ciempiucha z kolegą wparowali do baraku.

— ...i to locha, Jureczku, wielka jak lokomotywa. Ta twoja kura to dla mnie pestka.

— Nie kura, tylko smok.

— Jak zwał, tak zwał, już jest rozwalona w drobiazgi. O widzisz to? — Niedźwiedziowaty potrząsnął z dumą imponującym sztucerkom. — Wiesz, co ostatnio podeszło temu cacku pod lufę?

— Nie, Włodziu, nie wiem — odrzekł swemu towarzyszkowi Ciempiucha. — Panowie, poznajcie się, to jest Włodzimierz Koziewicz, a to pan inżynier Mroczek, z Warszawy.

— Myśmy już właściwie dokonali prezentacji — zareplikował Mroczek cierpko.

Pan Włodek nawet się nie odwrócił tylko kontynuował przewany temat.

— Ten czarci dół możecie se kopać, a zwierzyna i tak jest zawsze sprytniejsza, niż wam się zdaje. Tylko flinta, brachu, flinta i oko, takie jak moje. To co, przepijemy coś przed robótką?

— Ja tu cały czas jestem w robocie — stwierdził Ciempiucha rzeczowo. — I muszę wracać do ekipy.

— Jasne, nie ma sprawy, robota to robota. — Pan Włodzio pociągnął nosem, zawiedziony. — Dobra, to idź, a ja wystawiam czaty i walę z rury, jak tylko coś się ruszy.

— Jeszcze jakbyś przy tym na ludzi uważał.

— Spokojna twoja, Jurek, co ty, nie znasz mnie? — zachnął się myśliwy, Ciempiucha pośpieszył już jednak do innych spraw.

Koziewicz tylko wrzucił ramionami i lekkim zygziem zszedł do swojej landary, z której po chwili wrócił obwieszony taką ilością broni oraz amunicji, że Mrocza zamurowało. Potem siadł sobie w drzwiach, wyjął piersiówkę wielkości termoforu, pociągnął z niej łyk i zaczął ładować naboje do zamków, przeplatając to regularnym uzupełnianiem poziomu alkoholu we krwi. Oczami wyobraźni inżynier ujrzał go strzelającego w pijanym widzie do każdej ruchomej plamy i struchłał.

— Przepraszam, chciałem przejść — rzekł do pana Włodka i przecisnął się obok, gdy ten nie zareagował najmniejszym ruchem.

Zapadał zmierzch i nad terenem odwiertu rozbłysły potężne jupitery, a mimo to zdenerwowany Mroczek omal nie wylądował w dole metr na metr na półtora — smoczey pułapce. Chłopcy uwinęli się z kopaniem jak profesjonalni grabarze i teraz ustawiali zaimprovizowaną równoważnię z szalunkowej dechy, klocka, paru kamieni na jednym końcu i wiadra wypełnionego olejem napędowym na drugim.

— Gdzie jest majster?

— Co?!

— Gdzie majster?! — odkrzyknął inżynier, bo hałas pracującej wieży uniemożliwiał normalną rozmowę.

— Tam. — Chłopak wskazał ręką i wrócił do zakrywania dołu kawałkiem planeki.

Szef nafciarzy zajęty był tłumaczeniem czegoś jednemu z ludzi i zwrócił na Mroczka uwagę dopiero, gdy ten ryknął mu niemal nad samym uchem:

– Panie Ciempiucha, niech pan ze mną idzie, ale już!

– Jezuu, a co się znowu stało?

– Jeszcze nic, ale jeśli natychmiast nie zrobi pan czegoś z tym swoim kołesiem moczymordą, to stanie się na pewno – odparł inżynier ze złością.

– Chwileczkę, bo chyba obraża pan moich przyjaciół...

– Chrzanię to. – Mroczek miał już powyżej dziurek w nosie Stanowiska Wiertniczego nr 17 oraz obywatela Ciempiuchy, który zachowywał się, jakby to było jego prywatne rancho. – Powtarzam, masz pan się pozbyć tego pijanego imbecyla albo wysmażę panu taką opinię, że do końca życia nie znajdzie pan pracy.

– Aha, więc teraz taka mowa? – zjeżył się momentalnie Ciempiucha. – Nie strasz mnie, gryzipiórku, bo gównu możesz. Co ty myślisz, że ja nie mam swoich znajomych? Spieprzaj stąd lepiej, bo tylko szwendasz się pod nogami i przeszkadzasz w robocie.

– Właśnie zamierzałem opuścić to miejsce i to bez pańskiej zachęty – odpalił mu inżynier. – I proszę nie zapominać o sprawozdaniu, które jutro przedstawię w siedzibie firmy. Zarząd tylko patrzy, kogo by tu zredukować...

Coś przemknęło na granicy pola widzenia Mroczka – znajoma, skrzydlata sylwetka. Smok pojawił się nie wiadomo skąd, truchtem pokonał pas chaszczu przy ogrodzeniu, na moment zniknął w kępie łożyn, a potem wyprysnął z nich nagle jak kocur po walerianie, obierając kierunek prosto na wiadro-przynętę. Nafciarze uskoczyli mu z drogi w bezładzie – jeden potknął się o żelbetową płytę, drugi wpadł na pochylnię z deski, a trzeci wprost do dołu, który sam przed chwilą kopał. Zwierz zaś zwyczajnie przefrunął nad nimi i pobiegł dalej przez otwarty teren. Mroczek nie zobaczył jednak, dokąd, bo padł na ziemię po pierwszym odgłosie wystrzału.

– Jasny szlag, a nie mówiłem?! Kula świsnęła mi dosłownie koło ucha!

Majster miał już na końcu języka jakieś pogardliwe słowa, lecz kiedy tuż po pierwszej palbie huknęła następna, a jeden z potężnych reflektorów zgasł, roztrzaskany pociskiem, strach ogarnął i jego.

– Jezus Maria, ten wariat rzeczywiście się narąbał i wali bez opamiętania! Włodek! Do jasnej cholery, Włodek!

Cóż, równie dobrze można było wydzierać się do półlitrowki. Głuchy na wszystko i oparty o ścianę baraku, gdyż na własnych nogach ledwie się mógł utrzymać, Koziewicz przeładował sztucer i wypalił do celu, który najprawdopodobniej istniał jedynie w jego zamroczonym umyśle. Kula zagrzechotała o blaszane wiadro tuż obok głowy gramolącego się z dołu nafcjarza.

– Rany, co tu...? – Przestraszony robotnik schylił głowę i ześlizgnął się z powrotem do dziury jak do okopu.

– Przestań, ty idioto! – Ciempiucha przeraził się nie na żarty. – Chcesz ludzi pozabijać?!

– Sicho, tu się poluje – wybełkotał Włodzio. – Szybki jest, skurczysyn, wizieliście? Ale mnie i tak nie ucieknie, nie ma takiej mosz-li-woś-ci. O, jest, jest! Tam! No, panowie, teraz już jest mój.

– Gównu twój, durniu jeden! Oddawaj mi to! – rozkazał Ciempiucha i nie czekając na dobrowolny gest ze strony swego pijanego znajomego złapał za lufę sztucera.

Pan Włodek nie zamierzał jednak wcale składać broni, ani w ogóle zachowywać się grzecznie. Jednym ruchem wyszarpnął majstrowi swoją zabawkę, a potem dzielił go jeszcze na deser kolbą w brzuch. Majster stęknął i padł do tyłu, pociągając za sobą inżyniera.

– Dosyć tego, dzwonię na policję – syknął przygnieciony Mroczek. – A panu, panie Ciempiucha...

Jego słowa utonęły w grzmocie wybuchu. Sam nie był pewien, czy mu się tylko zdawało, czy też skrzydlaty stwór rzeczywiście wskoczył z nienacka na tylne siedzenie gazika, ale pijany w sztuk

Koziewicz widział już zwierzynę łowną wszędzie i we wszystkim, nawet we własnym samochodzie. Eksplodujący bak postawił leciwego UAZa niemal na sztorc, o ścianę baraku zaklekotały oguszająco jakieś fragmenty metalu, a krzyki pana Włodka, Ciempiuchy i rannego stworzenia wymieszały się w okropnej kakofonii. Mroczek przypadł na płask do ziemi, zastanawiając się irracjonalnie, gdzie też przyjmują do czyszczenia flauszowe garnitury, a potem zerwał się nagle na nogi i zaczął uciekać, byle dalej od ognia, zgiełku przerażonych głosów, ostrej amunicji i od całej tej zwariowanej historii, która przecież w ogóle nie powinna się zdarzyć!

Otumaniony pogubił jednak kierunki i zamiast ku bramie rzucił się w stronę wieży wiertniczej, omal nie łamiąc sobie nóg na nierównościach terenu. Nikogo tu nie było, wszyscy pobiegli zobaczyć, co się dzieje, lecz urządzenia pracowały dalej i w ich hałasie nawoływania zdezorientowanych ludzi ginęły tak samo, jak dźwięk pocisków rykoszetujących od stalowych rur i wsporników wieży. Chryste, obezwładnijcie wreszcie tego szaleńca, chciał wrzasnąć spanikowany Mroczek, tylko czy ktokolwiek by go usłyszał? Czy w ogóle ktoś jeszcze panował tu nad horrorem spowodowanym przez jedną małą gadzinę, która poza nieumyślną dewastacją pary butów nie wyrządziła nikomu żadnej krzywdy? I która za to, że sobie po prostu była, musiała teraz cierpieć ból i trwogę?

Inżynier zauważył zwierzaka dopiero teraz, zakrwawionego i usiłującego wdrapać się na jeden ze wsporników. Najwidoczniej wysokość kojarzyła się stworzeniu z bezpieczeństwem, ale z rozszarpaną łapką i krwawiącym bokiem smok ledwie pełzył po stalowym słupie. Coś musiało być w jego organizmie – może jakiś enzym albo związek chemiczny – co przy zetknięciu z powietrzem reagowało gwałtownie i wydzielalo ogromne ilości ciepła. Krople zwyczajnej z pozoru, czerwonej krwi zaczęły wżerać się oślepiającą bielą w metal, podsycaną dodatkowo przez mocz zwierzęcia, zestresowanego do ostatnich granic. A ten furiat, i do tego kretyn

bez krzty wyobraźni, wciąż nie dawał za wygraną. Kolejny strzał i bzyk przelatującej kuli uświadomiły Mroczkowi, że jeśli natychmiast gdzieś się nie schowa, ani chybi dołączy do listy myśliwskich trofeów pana Włodka. Najbliższym schronieniem był masywny generator i tam skoczył, zapominając na chwilę o smoku i wszystkich innych sprawach. Bał się nawet wyściubić nosa w obawie, że owładnięty przez demona alkoholu Koziewicz weźmie go na cel. Jasny gwint, myślał rozpaczliwie, dlaczego nikt nie wezwie gliniarzy, albo nie zdzieli tego debila drągiem przez łeb? Czy tu nie ma nikogo z jajami? Najwyraźniej nie było, bo rejwach na placu trwał w najlepsze. Inżynier zdziwił się nawet, że słyszy go tak klarownie, jakby nagle znikło akustyczne tło pracującej wieży wiertniczej. Zebrawszy się na odwagę, Mroczek wyjrzał zza generatora i zbladł jak papier.

— Jezus Maria!!!

Trzydziestometrowa konstrukcja pozbawiona oparcia w miejscu, gdzie smocza krew do społu z siuškami roztopiła wspornik i dodatkowo zdestabilizowana wibracją silników, waliła się właśnie wprost na niego jak ścięte drzewo...

Tego wieczora inżynier Tadeusz Mroczek poznał prawdziwą potęgę adrenaliny, która pognąła go, wrzeszczącego opętańczo, przez trzy kilometry pól i ugorów, póki w końcu nie padł wyczerpany na ławkę przystanku autobusowego z napisem "Więcierza - szkoła". Jakiś pojazd na sygnale — karetka, a może wóz strażacki — przemknął tuż obok, ale Mrocza nie obeszło w najmniejszym stopniu, komu jeszcze śpieszono z pomocą. Dla niego liczyło się w tej chwili tylko to, że przeżył, reszta była mu zupełnie obojętna. Przynajmniej na razie, przez następne parę godzin, do jutra, do chwili, kiedy ktoś wreszcie go znajdzie i spyta, co zdarzyło się na Stanowisku Wiertniczym numer siedemnaście. "Chcecie wiedzieć?", odrzeknie im wówczas, "No to proszę, już mówię. I mam w nosie, czy mi uwierzycie..."

\* \* \*

— No i pojechali w pierony — powiedział Walek, jakby rzecz od samego początku była oczywista. — Tak, jakem godoł, nie, chłopcy?

Ostatnie ciężarówki z fragmentami pogruchotanej wieży wiertniczej opuściły wieś kilka godzin wcześniej i nad pagórkowate role znów powróciła błoga cisza. Wrześniowe, ciepłe popołudnie lśniło słońcem na trawach, czerwonych dachach domostw i butelce Żywca, którą Jasiak wprawnie odkapslował o framugę drzwi miejscowego sklepu.

— Co prawda, to prawda — odrzekł, wychylając łyk. — Ino, co z tego? Pojadom jedni, przyjadom inni i zaś zacznom tu pierniki grzebać, jak by było za cym.

— E, tam. — Walek odsłonił resztki zębów w uśmiechu. — Przyjdom, to się ich znowu pogoni...

— Ta, pewnie, tylko cym? — skrzywił się Jasiak. — Trza by znowu do Augustowa na targ jechać po nowego smoka, ściepe nowom robić, Jezu!

— Nie trza nigdzie jeździć, chłopcy, bo jo taki głupi nie jest. Co wy myślicie, ze był ino jeden? Dwie parki zem wtedy kupił, i wicie co? Mom juz młode!

# Szkice z gwiazdami w tle

*Opowiadanie ze świata "YGGDRASILL"*

Z punktu widzenia przeciętnego mieszkańca Grad Elisabet – małej osady w jednym ze wschodnich konarów Drzewa – Travis Moran powinien być zadowolony ze swego żywota. Miał dom, rodzinę, miał się w co ubrać i co do garnka włożyć, jednak jak każdy niespełniony artysta czuł gorycz i żal do losu. W jego sercu płonął twórczy ogień, którego niestety nikt, poza nim samym, nie potrafił dostrzec. Wieczorami zamykał się na zapleczu swojego niewielkiego sklepiku z wyrobami drewnianymi, jedynym miejscu, gdzie w spokoju mógł oddawać się swojej pasji i z niezmiennym zapalem przenosić na papier bądź drewno cudowny świat własnej wyobraźni. Węglowy ołówek ożywał wówczas i prowadził jego dłoń, kreśląc z równą ochotą wyimaginowane stworzenia i krajobrazy, co sceny, podpatrzone przez Trávisa na ulicy, w tawernie albo na bazarze. Kiedyś próbował nawet pochwalić się przed współziomkami kilkoma ze swych dzieł, ale po serii kąśliwych uwag typu: "Ej, Moran, jak mogłeś znowu zmarnować dobry kawałek papieru na takie bohomyzy?!" zaprzestał jakichkolwiek publicznych prezentacji, od tamtej pory wszystko chowając do wielkiej skrzyni w najdalszym kącie magazynu.

Jednak życie i ludzie w Grad Elisabet mieli swoje prawa, którym także płomienna dusza Trávisa Morana musiała się podporządkować. Co roku w dniu Święta Miasta dokonywano rozdziału funkcji publicznych pomiędzy mieszkańców w sposób, który był tyleż prosty, co skuteczny. Na głównym placu ustawiano wielką, obrotową tarczę z wypisanymi stanowiskami do obsadzenia, i w atmosferze niezłej zabawy rzucano w nią strzałkami. Kiedy było po wszystkim, jedni oddychali z ulgą, że i tym razem ominęły ich dodatkowe obowiązki, inni zaś musieli przyjąć wyniki loterii, czy im się to podobało, czy nie. Przez kilka ostatnich lat Travisowi dopisywało szczęście, tego roku jednak dobra passa się skończyła. Wylosował jedno z mniej wdzięcznych stanowisk drugiego dowódcy, co oznaczało, że na najbliższe dwanaście miesięcy może się praktycznie pożegnać z nocną ciszą, zakłóconą jedynie cichym poskrzypywaniem węgła na kanwie...

— Cóż mogę ci rzec? — Abelard Bloch, ustępujący Travisowi miejsca na urzędzie, dołał sobie ponczu z wielkiej kadzi, wystawionej dla publiki z okazji wyborczego festynu. — Roboty nie będziesz miał za wiele, w końcu znasz naszą osadę i sam wiesz, jak mało się tu dzieje. Czasem chłop z babą się pokłóci i narobi rwetesu po nocy, jeszcze rzadziej zdarzy się sprzeczka na targu z handlarzami z innych segmentów, poza tym nuda i nic, tylko łażenie w kółko, aż nogi zaczynają sztywnieć. Najbardziej nie lubiłem tych nocnych patroli w terenie. Guzik widzisz, do domu wracasz cały poharatany, a do tego musisz zapanować nad piątką podkomendnych, którzy tak samo, jak ty woleliby grzać łóżko z kobietą, zamiast w mrokach wypatrywać potencjalnych bandziorów, których już od ponad pokolenia nikt nie widział. No i jak, podoba ci się to?

— Podoba, nie podoba, strzałka wybrała i mówi się trudno — westchnął Travis, przegryzając trunek kawałkiem wędzonej szynki z dzika. — I tak lepsze to, niż, na przykład, sędzia albo rachunkowy.

— Święte słowa — odparł Abelard, i obaj się roześmiali. — Zresztą, to tylko jeden rok. Spójrz na mnie: stary jestem, mikry, i nogą powłóczę, a jakoś sobie poradziłem. I nawet nikt przez ten czas na takiego starego dziada, jak ja, nie narzekał. Wierz mi, te dwanaście miesięcy szybko zleci.

Służba miała trzy zmiany i dwa rewiry do obskoczenia (Grad Elisabet jako takie, oraz przyległe tereny w promieniu trzech standardowych kilometrów), w sumie sześć oddzielnych wacht. To, którą się danego dnia pełniło, również zależało od wyników losowania, przez pierwszy miesiąc raczej łaskawego dla Trvisa. Wciąż wypadały mu patrole miejskie, i to w najspokojniejszych, przedpołudniowych godzinach, dzięki czemu pozostawało mu dość czasu zarówno na pilnowanie swojego skromnego interesu, jak i na malarskie wieczory. Z tych porannych obchodów wynikała dlań jeszcze jedna, nieoczekiwana korzyść, była to bowiem pora, kiedy kupcy z odleglejszych rejonów konaru rozkładali swoje kramy na bazarze. Niestety, co bardziej egzotyczny towar znikał ze straganów zbyt szybko, by Travis, raczej nie należący do skowronków, miał normalnie szansę coś sobie wybrać. Teraz jednak to on był jednym z najwcześniejszych klientów, dzięki czemu już w pierwszym tygodniu został szczęśliwym posiadaczem wspaniałego, dwustukartkowego bloku z satynowego papieru, oraz uniwersalnego "wiecznego ołówka", którym można było rysować we wszystkich kolorach tęczy i w każdym odcieniu szarości.

W końcu jednak i on wyciągnął w służbowej loterii krótszą słomkę, i czternastego dnia ósmego miesiąca wyszedł wraz ze swoją drużyną w ciemność przez południową bramę Grad Elisabet. Obawy Abelarda co do ludzi okazały się przesadzone. Piątka młodzików, oddanych pod rozkazy Trvisa, szybko przekonała się o złudności pozorów. Ten spokojny, zamknięty w sobie sklepikarzyna miał być nieudolnym fajtłapą, któremu z łatwością będzie można grać na nosie jak na okarynie. Ale Moran, mający już za sobą ojcowskie doświadczenia z trzema niegorszymi urwisami,

w przeciągu tygodnia wyprowadził swoich podkomendnych z błędu. Po następnych trzech, dzieciaki tworzyły już całkiem zdyscyplinowany oddziałek, maszerujący teraz za Travisem jak grzeszne kacuszki. Dla wszystkich był to pierwszy nocny patrol, i myśl o czekających ich potencjalnych niespodziankach przeszywała młodych dreszczem podniecenia, które nie pozwalało im milczeć. Żaden z nich nie odważył się jednak podnieść głosu powyżej szeptu, gdyż ich dowódca nie przepadał za hałaśliwym gadulstwem. Travis poprawił sobie przewieszoną przez ramię półautomatyczną kuszę, i po kilkudziesięciu krokach dał znak, żeby się zatrzymali.

— Masuk, zgaś latarnię — polecił, kiedy cała drużyna stanęła u rozwidlenia dróg, jednej wiodącej prosto ku ścianie Lasu na południu, drugiej skracającej na zachód, do starej przeprawy na Rzece. — A ty, Krantz, przestań wreszcie trajkotać i słuchaj, bo nie będę dla ciebie sto razy powtarzał tego samego. Nasz plan na dzisiaj zakłada wykonanie następującej rundy: stary most — Sine Garby — Schronisko — Jama Szaleńców — farma McDevlinów — Nowy Most — Trzeci Las — ambona. Wszyscy jesteśmy w tym nowi, więc ostrożnie i bez wygłupów. Patrzyć pod nogi, iść tak, żeby nie stracić z oczu idącego przed wami, i pod żadnym warunkiem nie opuszczać szeregu bez mojego zezwolenia. No i, rzecz jasna, mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Michael, ty chodzisz najszybciej, dlatego będziesz zamykał tyły. Prowadzę ja, i jak który wywrwie przede mnie, własnoręcznie głowę odkręcę, zrozumiano?

Piątka urwisów mruknęła potwierdzająco.

— W porządku. Są jakieś pytania?

— Czy możemy uzbroić kusze? — spytał Slavko, najdrobniejszy, ale zarazem najbardziej rezolutny z całej drużyny. — Lepiej przygotować się na niespodzianki, co nie?

— Dobrze, załóżcie belty — nie bez wahania odparł Travis. — Ale niech was ręka Matki broni przed ich użyciem bez mojego rozkazu. Jeśli któryś zauważy coś podejrzanego, ma tylko klepnąć

w ramię sąsiada, a tamten następnego, i tak dalej, aż dojdzie do mnie. Żadnych okrzyków, żadnego hałasu, jasne? No, to idziemy.

Podkscytowana gromadka ruszyła za swoim dowódcą w dół, wąskimi schodkami z powichrowanych, oślizgłych desek. "Nie ma co, za stary już jestem na takie zabawy" — pomyślał Moran, ostrożnie stawiając stopę na pierwszym z kilkuset zdradliwych stopni, na których nawet za dnia nietrudno było skrócić nogę. Dobijający sześćdziesiątki, z oczami zniszczonymi od ślęczenia do późnych godzin nad szkicownikiem, raczej marnie nadawał się do swojej obecnej roli. Na domiar złego, w tym świecie srebrna latarnia legendarnego Księżyca nigdy nie rozświetlała nocnych szlaków. Tutaj po zmierzchu wędrowcom musiała wystarczyć jedynie słaba, fosforyczna poświata żywoskłonu, toteż Travis, stąpający praktycznie po omacku, zdążył dotrzeć do Rzeki, nim jego leciwe oczy zdołały wreszcie jako tako zaadaptować się do ciemności.

— Pięć minut na docinki pod adresem niedołęznego ślepcy, jeśli już który nie może się powstrzymać — mruknął, od drwiących szeptów za plecami wołąc otwartą krytykę. Chłopcy zadziwili go jednak.

— Jak na niedołęznego ślepcy, panie Moran, to nieźle pan posuwał na tej zjeżdżalni — stwierdził gadatliwy Krantz z nutą niekłamanej admiracji. — Ciekawym, kto w ogóle ustala marszruty dla patroli, wie pan może? Przecież po nocy te schody to istna ścieżka samobójców!

— Krantz dobrze mówi — dorzucił mały Slavko, wyplątując się z pasków tornistra. — Mało mi sam nóg nie połamał, tak się pośliźgnął. A pan leciał, aż strach było patrzeć. Chodził już pan tędy o takiej porze?

— Nie, synu, nigdy — skłamał Travis dla świętego spokoju. Jeszcze wyciągną go na wspominki z przeszłości, na co raczej nie miał w tej chwili ochoty.

Odsapnąwszy nieco, poprowadził swój mały oddział na drugi brzeg. Stara przeprawa nie była taką jedynie z nazwy; skrzypiący

most chybotął się jak pijany na swych wiekowych podporach, zaś od zachodniego przyczółka wdzierając się nań zachłanna roślinność, pospołu z chciwym grzybem stopniowo niszcząc drewnianą konstrukcję. Nie było sensu szukać ścieżki w tej gęstwinie. Nawet jeśli kiedyś istniała, dzikie chwasty zarosły ją dawno temu i można było co najwyżej zawrócić, albo spróbować przedrzeć się przez nie na siłę. Zastanawiając się, dlaczego nikomu z wcześniejszych patroli nie przyszło do głowy wykarczowanie sobie przejścia w zielsku, Travis zagłębił się w zieloną płataninę. Kolczaste łodygi były jak rączki złośliwych duchów, czepiające się wszystkiego i zarzucające mu na twarz sieci mokrych pajęczyn, i choć pas nadbrzeżnych zarośli wcale nie był szeroki, przedarcie się przezeń umordowało go nie gorzej, niż pół dnia przenoszenia skrzynek z towarem. A to był dopiero początek nocy.

— I którądy teraz, panie Moran? — usłyszał tuż za sobą ściszony głos Slavko.

Obtarłszy z czoła lepkie, pozbierane w drodze przez chaszcze świństwo, Travis popatrzył na pofałdowane pustkowie przed sobą, nagie i ciągnące się aż do odległego o kilkaset metrów Lasu. Instykt oraz dość już wyblakłe wspomnienia podpowiadały mu, by podążać prosto na zachód, o ile mieli w miarę szybko dotrzeć do opuszczonego schroniska drzewiarzy. Z drugiej strony, trudno byłoby w Grad Elisabet znaleźć człowieka, nie odczuwającego respektu przed tym kawałkiem ziemi niczyjej. Stanowiące niegdyś teren intensywnych, hydroponicznych upraw, Sine Garby były czymś pomiędzy ruchomymi piaskami a polem minowym od czasu, gdy okrywający je żywogrunt rzekł w końcu "dość!" i raz na zawsze wypowiedział posłuszeństwo swym dręczycielom. Teraz nic tu nie rosło, nawet jednokomórkowe glony nie miały szans przeżycia na przewrażliwionej tkance, a każdy z miejscowych, kto posiadał choć trochę rozumu, omijał ten "kożuch śmierci" z daleka. Obcy, to była oczywiście zupełnie inna sprawa, stąd Sine Garby od lat stanowiły żelazny punkt wszystkich patroli. By jednak dostrzec ewentualnych intruzów, nie trzeba było od razu wy-

kazywać się brawurą graniczącą z głupotą, trawersując niebezpieczną pustynię.

— Obejdziemy Garby dookoła — zdecydował Travis, a słysząc pomruk zawodu, dorzucił stanowczo: — Nie, moi drodzy, nic z tego. Dobrze wiem, że was korci, ale ja nie jestem tu po to, żeby zaspokajać wasze potrzeby mocnych wrażeń, ani oglądać czyjeś zmacerowane przez żywogrunty nogi. No, już, dosyć szemrania, na przygody macie jeszcze całe życie.

Przygaszone nieco tymi słowami towarzystwo ruszyło za Moranem wzdłuż granicy pomiędzy bujną zielenią, a zbuntowanym żywogruntem. W ten sposób znacznie nakładali drogi, ale czy gdzieś im się spieszyło? Dziesięć kilometrów czy dwanaście, jaka to różnica, skoro i tak nie mogli zakończyć obchodu przed świtem. Z dwojga złego lepiej już, a zwłaszcza ciekawiej było bawić się w nieustraszonych zwiadowców, niż po prostu wleźć do jednej z peryferyjnych strażnic i beczynn timerzesiedzieć w niej kilka następnych godzin, nawet podstarzały Travis musiał się z tym zgodzić. Zresztą, co tu kryć, jemu także zaczął się z wolna udzielać nastrój ekscytującej tajemniczości. Z mroków pamięci wypłynęły wspomnienia jego własnych, młodzieńczych wypraw w głąb segmentu, i marzeń o podróżach po całym Drzewie, brutalnie przerwanych najpierw groźnym wypadkiem, któremu uległ w wieku dwudziestu trzech lat, a potem ostatecznie zepchniętych w cień przez mitręgę obowiązków, związanych z utrzymaniem rodziny. Marzeń, które tak naprawdę nigdy w nim nie umarły, w wyobraźni bowiem Moran nadal peregrynował po najodleglejszych zakątkach świata, relacje z wojaży zdając ołówkiem i bambusowym pędzelkiem do tuszu.

— Panie Moran... — Travis poczuł nieśmiało szturchnięcie w ramię.

— Co się dzieje?

— Nic, tylko... chyba nie idziemy we właściwym kierunku — bąknął skonsternowany Slavko. — Nie powinniśmy byli skręcić w prawo?

Zamyślony, Travis nawet nie zauważył, kiedy przeszedł obok ostatniego z garbów, i zamiast odbić w tym miejscu ku zachodowi, kroczył dalej prosto przed siebie, niczym stary, półślepy muł Ferenca, wywoziciela nieczystości. Dlaczego jednak żadna przeszkoda nie zatrzymała go wcześniej? Zdumiony, rozejrzał się dookoła: zewsząd otaczały go krzewy srebrnołuskiego tamaryszku, pod stopami zaś miał drewniany bruk drogi, swego czasu prowadzącej do Rysy, jak potocznie nazywano południowy obóz ciężkich robót. Od Sinych Garbów oddalili się już dobre kilkaset metrów, a droga wiła się gęsto, jakim więc cudem zaszedł aż dotąd, nie zbaczając z niej ani na krok? Co ważniejsze, w jaki sposób ma wyjaśnić to chłopcom, nie ośmieszając się przy tym z kretesem?

— W zasadzie powinniśmy — odparł, przybierając nonszalancki ton. — Pomyślałem sobie jednak, że skoro już tak chodzimy, to czemu nie mielibyśmy zajrzeć, gdzie się da? Poza tym, z obozowej wartowni jest doskonały widok na całą okolicę.

To, czy mu uwierzyli, nie miało znaczenia wobec entuzjastycznej reakcji, z jaką wszyscy bez wyjątku przyjęli jego słowa. Krantz aż zapiszczał z radości.

— Do obozu? O, rany, ale w mąkę! Wiecie, chłopaki, że tam straszy?

— Straszy, jak karaluch w kaszy — zadrwił Slavko, demonstrując swoją pogardę dla lokalnych zabobonów. — A już najbardziej straszy twój pysk, Kanciasty, wiecznie brudny i nieogolony.

— Chciałbyś taki mieć, osesku — odciął się Krantz. — A w obozie straszy na sto procent, wszyscy wam to powiedzą.

— Wszyscy, to znaczy kto? Twój halucynujący staruszek i jego kolesie-moczymordy? — parsknął Slavko wzgardliwie. — Ech, Krantz, jak ja bym miał twój rozum, to bym nim sobie chyba buty wycierał.

— Odpieprzysz ty się ode mnie, szcurzy ryju?! Byłeś kiedy w obozie? Nie? No, to co się wymądrzasz? Mój stary przez dwa sezony pracował tu jako nadzorca, i na własne oczy widział zjawy, które nocą wylaziły ze sztolni!

— Taaa, czego to człowiek nie widzi po pijaku... — wtrącił półgębkiem Michael, wywołując eksplozję chichotów.

— Głupcy, jeszcze przestanacie wam być do śmiechu! — zirytował się Krantz.

— Duchy, jak duchy, wiadomo, że bzdura — nieoczekiwanie odezwał się Urle, kędzierzawy grubasek, rzadko kiedy wypowiadający więcej, niż pięć zdań w ciągu całego dnia. — Ale o ciemnawcach to nawet ja słyszałem. I o systemie podmacierzowych tuneli. Podobnie ciemnawce mieszkają w nich całymi tabunami, a tunele są tak długie, że przechodzą konar na wylot i otwierają się pod spodem na Zewnętrzne Piekło.

— Proszę, następny amator bajek. — Slavko, dumny ze swego nad wiek sceptycznego podejścia do życia, wyduł usta. — Złapcie, i pokażcie mi chociaż jednego z tych ciemnawców, to może wtedy pogadamy. Nie znam nikogo, kto by się oko w oko spotkał z takim stworem.

— Bo one są jak zaraza ostrożne...

— Dobra, wystarczy tej pogawędki — Travis przerwał im widząc, że chłopcy zaczynają rozkręcać się w najlepsze. — Później sobie podyskutujecie, a na razie buzie w sznurowadła. Nie zapominajcie, że ciągle jesteście na patrolu.

Ruszyli dalej w górę łagodnego zbocza. Tu i ówdzie droga była mocno podniszczona i zaniedbana, zwłaszcza w miejscach, gdzie pod jej ogniodębowe klepki wdarły się korzenie okolicznych krzewów, ale i tak marsz owym szlakiem, przeznaczonym dla większych grup więźniów, był czystą przyjemnością. Mniej więcej po trzech kilometrach obozowy trakt wyprowadził ich na niewielki, sztuczny płaskowyż z samotną wieżą wartowni, ciemniejącą smukłym ogromem na tle bladej łuny żywosłonu. Otoczona galeryjką kwadratowa buda wznosiła się jakieś piętnaście metrów ponad żywogruntem, i to nie na zwykłych palach, lecz na trójnogu z potężnych pni, których wciąż żywa korzeniowa platforma pokrywała blisko hektar powierzchni.

— Matko, ale wielka! — wyszeptał Krantz w osłupieniu, zadzierając głowę. — Założę się, że obydwie przegrody z niej widać... Slavi, zaczekaj no na mnie!

— Hej, gdzie, do ciężkiej...! — krzyknął Travis, lecz podniecona gromadka już go nie słuchała, gnając na łeb, na szyję ku wieży, ogromnej i tajemniczej, jak baśniowe zamczysko. Dzieciaki miały jednak na tyle rozsądku, by zatrzymać się u jej stóp, i na niego zaczekać.

— Czy nie mówiłem, że macie cały czas trzymać się za mną?! — huknął na swoich podopiecznych, rozeźlony ich szczeniacką bez troską. — Tak wam spieszo, żeby sobie łby porozwalać? Krantz, chodź no tutaj.

Pryszczaty dryblas niechętnie przerwał oględziny metalowych stopni strażnicy.

— Słuchaj no, jeszcze raz wytniesz mi taki numer, to cię zostawię tu przywiązanego do drzewa — ostrzegł go Travis.

— Ee, nie zrobiłby pan czegoś takiego, panie Moran.

— A chcesz się założyć?

— Nie — mruknął Krantz, uchylając się przed twardym wzrokiem przełożonego.

— To dobrze — rzekł krótko Travis, i chwytając za poręcz przy schodach, zwrócił się do pozostałych: — A wy nie myślcie sobie, że przesiedzimy tu przez resztę nocy. Rozejrzemy się trochę z góry, odpoczniemy, i ruszamy dalej.

Buda na szczycie okazała się zadziwiająco przestronna, ale w chłopcach największy zachwyty wzbudziła niesamowita wręcz ilość metalu. Cała platforma wykonana była praktycznie z jednego kawałka grubej blachy, także barierkę wokół niej zrobiono ze lśniących prętów. Metalowe akcenty były wszędzie, począwszy od stojącego na środku stołu i ław pod ścianami, a na wieszaku przy wejściu kończąc.

— Niech mnie ogola, patrzcie, ile tu tego jest! — Slavko stuknął z niedowierzaniem w okucie na drzwiach. — W życiu nie widziałem tyle wręgometalu naraz! Skąd oni go wzięli?

– Z wyrobiska, a skąd – odezwał się za jego plecami zasapany Urle. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zamiast tego rozkichał się na potęgę od kurzu, którego całe tumany uniosły się w powietrze razem ze stadkiem gołębi, kiedy tylko Travis postawił nogę wewnątrz strażnicy.

– Właźcie, i zamykajcie drzwi – ponaglił ich, jednocześnie opuszczając na okna bambusowe rolety. – Masuk, włącz latarnię i postaw ją na stole. Aha, któryś z was powinien zostać na galerii jako wachtowy. Ochotnicy?

Pięć rąk uniosło się natychmiast do góry.

– Michael był pierwszy – zdecydował Travis. – Zmiana za kwadrans. Rany Drzewa, ależ ta strażnica jest zaświniona!

"Zafajdana" byłoby odpowiedniejszym słowem. Wszystkie ławy, podobnie jak podłoga, a zwłaszcza okienne parapety, pokryte były kilkucentymetrową warstwą ptasich odchodów. Oczywiście jedną z ław kolbą kuszy, Travis rzucił plecak na stół, i usiadł po raz pierwszy od kilku godzin.

– Nie wiem, jak wy, ale ja zgłodniałem – rzekł, sięgając do plecaka po prowiant. Chleb razem z ćwiartką sera były na wierzchu, bułkak obsunął się jednak gdzieś na dno, i aby się do niego dostać, Travis musiał wyjąć na stół większość swojego skromnego bagażu. Jak zawsze ciekawski, Slavko wyciągnął rękę w kierunku szkicownika.

– Strasznie fajne! Jak pan to zrobił, panie Moran? Z jakimś szkłem powiększającym?

– Co?

– No, ten rysunek, o, tu... – Slavko wskazał na miniaturówką, niezwykle skomplikowaną rycinę, powtórzoną na wszystkich kartkach w prawym, dolnym rogu.

– Nie, to już tu było – powiedział Travis, odbierając szkicownik z rąk chłopaka. – Pewnie znak firmowy manufaktury.

Ostrożnie, żeby nie powalać swojego skarbu ptasim łajnem, odłożył go na bok, zaraz jednak wziął blok z powrotem, i od niechcenia zaczął rysować. Chłopcy, z ich niewymuszonym zacho-

waniem i żywą mimiką twarzy, byli świetnymi modelami, a jemu rzadko ostatnio trafiały się okazje do wykonania dobrego, anatomicznego studium. Naszkicował już podobiznę wiecznie skwaszonego Masuka, małowównego Urle oraz Slavko-cynika, i właśnie zabierał się za najtrudniejszego z nich wszystkich, ruchliwego jak woda Krantza, kiedy z galerii dobiegł podniecony okrzyk Michaela:

– Panie Moran, prędko!

Zaalarmowany, Travis poderwał się z siedzenia i wyjrzał przez drzwi.

– Co się dzieje?

– Tam, nad Rzeką! – Michael wyciągnął rękę. – Niech mnie ryba kolcem, to chyba diabelska płwocina!

– Co?! Gdzie? Z której strony? O, w kluczę...! Auć! Kanciasty, nie pchaj się na mnie! – zelektryzowani chłopcy wypadli na galenię, omal się nawzajem nie tratując. Okrzyk Michaela sprawił, że w pierwszym odruchu zwrócili oczy ku żywosłonowi, stamtąd bowiem przylatywały najczęściej płonące kamienie, "diabelska płwocina", jak w Grad Elisabet mówiono na meteory. Powietrza nie przecinała jednak żadna świetlista smuga.

– No, i gdzie ty to masz, Micha? – Slavko nie krył rozczarowania.

– Ech, wy ślepe larwy, mówię, że nad Rzeką! O, tam, prawie nad samymi wierzchołkami drzew!

– Rzeczywiście, jest! Tylko, że to nie płwocina, Micha.

– A niby co innego, hę?

– Czarczi wiedzą, co. – Slavko wzruszył ramionami. – Ale płwocina? Za nic. Kolor ma całkiem inny, przyjrzyj się też, jak leci: nisko, poziomo, i...

– ...prosto w naszą stronę – dokończył szeptem Travis.

Chłopcy oniemieli. Nawet porażonemu Moranowi struny głosowe momentalnie odmówiły posłuszeństwa na widok niesamowitej, błękitnej zjawy, mknącej ku nim niczym oszalała jaskółka.

— Na dół, z wieży!! — ryknął, odzyskując głos. — No już, już, szybciej!

Chłopcy rzucili się w panice ku schodom. Strach dodał im skrzydeł i wyostrzył zmysły, ale i tak cud, że żaden z nich nie skręcił sobie karku. Travis, zeskoczywszy jako ostatni na otaczający wieżę drewniany trotuar, obejrzał się przez plecy. Błękitna zjawa właśnie dolatywała do strażnicy, rozpadając się w oczach. Fontanny płonących szczątków odrywały się od niej, lecąc na wszystkie strony ognistymi parabolami. Jeden z fragmentów trafił w dach, odbił się od niego, i z potwornym łoskotem zaczął koziołkować po metalowych stopniach.

— Do krzaków, biegiem! — zakomenderował Travis.

Poobtłukiwani i ogłuszeni, chłopcy pognali w tamaryszkowe zarośla. Coś gorącego przeleciało z piekielnym świstem koło ucha Morana, ale tym razem nawet nie odwrócił głowy. W chwilę później żywogrunt pod jego stopami zdrzął od potężnego uderzenia, a powietrzem wstrząsnął huk eksplozji.

— Na dół, cholera wasza, twarzą do żywej gleby!! — wrzasnął, przekrzykując nieprawdopodobny łoskot, i samemu rozciągając się jak długi pod najbliższym krzakiem. Przygięta podmuchem gałąź smagnęła go po plecach, zahaczając przy tym o kuszę i zwalniając belt, który wbił się centymetry od policzka Travisa.

— Matko wszechzieleni! — wymamrotał, macając drżące jeszcze lotki. — Ja naprawdę jestem na to za stary.

Grzmoty zamilkły i zrobiło się niemal tak cicho, jak przedtem, jeśli pominąć trzaski, jakby ktoś spacerował po kupie suchych gałęzi. Travis uniósł się na ramieniu, szukając wzrokiem członków swojej grupy. Chłopcy, na szczęście, zareagowali prawidłowo i legli pokotem, gdzie który stał.

— Cali jesteście? — spytał, podnosząc się ostrożnie z wilgotnego mchu. Dopiero, kiedy twierdząca odpowiedź padła ze wszystkich pięciu gardeł, odważył się znów popatrzeć za siebie.

Trzaski, które słyszał, były odgłosem pożaru. Błękitna zjawa — nie, jakiś latający pojazd, cóż innego mogło to być? — rozorała

Las jak tytaniczny, ognisty miecz, znacząc drogę swojego upadku połamanymi pniami i szpalerem płomieni. Samego wraku nie było stąd widać, zbyt długą bruzdę wyciął sobą w drzewostanie. Zresztą, nie było chyba co mówić o wraku; uderzenie musiało zniszczyć piekielny okręt całkowicie. Mimo to szansa, że ktoś tam jednak ocalał, istniała dopóty, dopóki naoczne oględziny nie wykażą, że jest inaczej.

Chłopcy, którzy także w międzyczasie się pozbierali, otoczyli Morana milczącym półkolem. Wciąż byli roztrzęsieni i zdeorientowani, ale w ich wieku szok mijał szybko.

— Na rany macierzy, co to było, panie Moran? — w ściszym głosie Krantza, który otrząsnął się jako pierwszy, pobrzmiwała autentyczna trwoga.

— Okręt powietrzny, jak sądzę — odparł Travis, nie odwracając wzroku od płomieni. — Tylko nie pytajcie mnie, kto, i skąd, bo wiem tyle, co i wy.

— Nie pytamy... — bąknął Krantz. — Ale, jeśli jest tak, jak pan mówi, to ktoś musiał być w środku, prawda? Chyba... tego... Nie powinniśmy pójść i sprawdzić? Może ktoś przeżył?

— Też o tym pomyślałem — rzekł Travis. — I, owszem, pójdziemy. Ale na pewno nie wszyscy. Ja, Slavko i Urle zrobimy rekonesans, reszta zostanie pod Lasem, i będzie miała baczenie na okolicę.

Po lewej stronie pasa zniszczeń pożar rozszerzał się z wolna na Las, z prawej jednak podrażniony żywogrunť już zalewał płonące pnie i korzenie strumieniami wody. Tam też skierował się Travis z dwójką towarzyszących mu chłopców. Siła uderzenia oderwała i postawiła korzeniową platformę na sztorc, jak zwodzony most, ale tylko w bezpośredniej bliskości płonącej wyrwy. Szybko obezszli tę barykadę i wkroczyli pomiędzy dalsze drzewa. Las nawet w środku dnia był miejscem ciemnym i ponurym, teraz jednak marsz ułatwiała im luna pożaru, szalejącego kilkadziesiąt metrów od nich. Travis szedł, starając się patrzeć jednocześnie przed siebie, pod nogi i w bok. Gdzieś ten cholerny pojazd, albo jego ostat-

nie szczątki, musiał się zatrzymać, ale przebyli już co najmniej ćwierć kilometra, a po lewej wciąż tańczyły płomienie i słychać było trzask połykanego przez ogień drewna. Może pożoga zdążyła rozlać się daleko poza miejsce katastrofy, a oni...

— Och! O Matko, och! — przerażony krzyk Urle zatrzymał Trava w miejscu. Chłopak wyglądał, jakby za chwilę miał paść bez życia, wybałuszonymi oczami spoglądając na coś, w co właśnie jedną nogą wdepnął. Slavko, przez cały czas trzymający się Morana niczym myśliwski wyżeł, cofnął się i zakrył usta dłonią, powstrzymując wzbierające torsje.

— Zostawcie, nie patrzcie na to — szepnął Travis, odwracając oczy od surrealistycznej dekoracji z ludzkich szczątków. — Lepiej wracajmy, tu nikt nie mógł ocaleć.

Nie uszedł jednak nawet dwóch kroków, kiedy coś rąbnęło go w tył głowy. Ktoś wrzasnął nieludzko, błysnęło oślepiające światło, a potem już tylko ciemność i cisza...

\* \* \*

Zmysły odzyskał w otoczeniu diametralnie różnym od tego, w jakim je utracił. Mroczny, szeroki i jajowaty w przekroju korytarz, biegnący lekkim skosem w dół, którego urzeźbienie ścian przywodziło na myśl jeliła... Travis nie był tu sam; tuż obok siedział z podkurczonymi nogami Slavko. Wyglądał na nieźle posiniaczonego, a rozmazana na jego policzku krew przywodziła na myśl jakiś koszmarny, teatralny makijaż, wyjąwszy jednak owe szczegóły oraz minę ponurego oczekiwania nie wiadomo, na co, nic mu chyba nie było.

Travis przekreślił obolałą głowę, ale nigdzie nie mógł dostrzec Urle. Zobaczył natomiast czarnowłosą dziewczynę o pięknej, acz smutnej twarzy, i wspartego na jej ramieniu starca, na oko grubo po osiemdziesiątce. Obydwoje spoczywali pod przeciwległą ścianą w kompletnym milczeniu, nie umknęło mu jednak, że dziewczyna obserwuje go ukradkiem.

– Senhor! – szepnęła, kiedy tylko poruszył się żwawiej. – Esto te a...

– Przepraszam, ale nie rozumiem – odmruknął, usiłując wstać.

– Slavko?

– Tak, panie Moran?

– Możesz mi powiedzieć, co się stało? Gdzie Urle?

– Nie wiem, panie Moran. – Slavko pociągnął smętnie nosem.

– Wygląda, że zostaliśmy napadnięci...

Ni stąd, ni zowąd czyjeś ogromne łapsko schwyciło Trávisa za koszulę i potrząsnęło nim z taką mocą, że zęby omal nie wyleciały mu na podolek:

– Son? Werhen eis flyyrr, a? Takk, jon fakla banst, werhen eis da gedam flyyrr?!!

Osobnik, który tak brutalnie przerwał im konwersację, był istnym ucieleśnieniem potocznych wyobrażeń o zbirze: wielki, owłosiony i cuchnący jak świńskie łajno, z pustym oczodołem i twarzą pooraną szramami, których liczba szła w dziesiątki. Grozę potęgowały świeże, wciąż jeszcze obficie krwawiące rany i wycelowana w czoło Trávisa rura, niewątpliwie jakaś broń. Nie otrzymawszy w trybie natychmiastowym odpowiedzi na swoje pytanie, zniecierpliwiony troglodyta końcem rury wymierzył Trávisowi ponaglający cios w podbródek.

– Ojm usken, werhen eis at?!! – wrzasnął, zraszając go kropelkami śliny. – Daren Anheló, jone hunk al son durra?!

Jednym ruchem swego potężnego ramienia opryszek poderwał Trávisa do góry i już zamierzał się do kolejnego ciosu.

– Laf ham, jon dabal! – Z mroków korytarza wyskoczyła jeszcze jedna postać, utykająca i z wielką, nie do końca zakrzepłą raną w skos czoła. – Net ja sej dan alde attarsen nah ait warda?

– Hunderson eis prettning, aht hin sonne stap! – odwarknął groźnie wielki oprych, ale puścił Trávisa, który rozumiał z tej wymiany zdań jedynie tyle, że te dwa odstręczające typy nie zgadzały się ze sobą w jakiejś ważnej dla nich kwestii.

— Baddar sum mag, daz al yoh kahall af, Harskan — odpowiedział mu niski tonem nie pozostawiającym wątpliwości, kto w tym bandyckim duecie gra pierwsze skrzypce. — Bere gan ip, anda hauwe oj hor sorringes. Anda laf takkaling oh da smader auns.

Wielki tylko zacisnął mocniej garść na swojej złowieszczej rurze i odmaszerował w głąb korytarza. Niższy odprowadził wzrokiem swego kompana, a potem zbliżył się do czarnowłosej dziewczyny.

— Joh — rzekł, podkreślając słowa skierowanym w jej pierś orężem. — Jan trodders ahel hauwe dars ledle mahejnes, translajdriks, ar wodwar jan gale darm. Hauwe ain byj jon?

— Si — odparła dziewczyna półgłosem.

— Dan gahe ein da jowre stubbe kine, ande fins af dern zirkus.

— No esta mi pareho, lo ablabando to davija!

— Jah, jah, natter — odmruknął niski, okraszając słowa niedballym machnięciem ręki. — Gahe at, ande stap blobbaring!

Dziewczyna sięgnęła do niewielkiej torby i wyjąwszy z niej przedmiot, przypominający monstualny haczyk na ryby, podała go Travisowi.

— I co ja mam z tym zrobić? — rzekł, spoglądając bezradnie na czarnowłosą.

Dziewczyna wzięła przedmiot, włożyła jeden jego koniec do ucha, drugi zaś zbliżyła do ust, którymi parę razy poruszyła wyraźnie.

— Chyba już wiem... — mruknął Travis, po czym naśladowując ją, przywdział urządzenie.

Niski zbliżył się do niego.

— Ja jestem Drejk. Rozumiesz mnie? — rzekł powoli. Travis skinął potwierdzająco głową.

— Dobrze znam, że i bez translator mnie rozumiesz, ale szkoda mnie czasu na twoje gierki. — kontynuował zbir, nie spuszczać oczu z Travisa. — Powtórzę pytanie mój kolegi: gdzie jest nasz la-tacz? Wy może myślicje, że ja żartuję? A może tak mało zależy

wam na życie wasz patriarch, co? — to mówiąc, niski skierował wyłot swojej rury na siwego staruszka pod ścianą. — U mnie nie ma już nic na stracenie, Anhelosie, i bez zmrużone oko zabiję starego, jego córeczka, ciebie i twój mały. Ty tylko przez minutę nie daj mi właściwej odpowiedzi, a zacznę strzelać. No, więc?

— Ja... — Travis przełknął ślinę. — Obawiam się, że zaszło tu jakieś ogromne nieporozumienie. Absolutnie nic nie łączy mnie z tymi ludźmi i pierwsze słyszę o jakimś lataczu...

Zimny metal błyskawicznie znalazł się na jego policzku, a jego własny szkicownik przed jego oczami.

— To było w twoich rzeczach — syknął niski, krzyżując swój wzrok ze wzrokiem Morana. — Znak waszego klanu, nieprawdaż? Więc nie kłam już więcej, bo Drejk bardzo nie lubi, kiedy się go okłamuje i bierze za ostatniego głupca. Wy — rura z policzka Travaisa powędrowała w kierunku dziewczyny oraz starego — pobratymcy, i ty przyszedłeś im w sukurs z myślą, że pójdzie wam z nami bardzo łatwo, ale drogo zapłacicie za takie lekceważenie...

Nagły rwetes zmusił niskiego do przerywania dumnego monologu. Travis dopiero teraz dostrzegł, że kilkanaście metrów dalej rzeźbiona fantastycznie ściana migocze pomarańczowymi refleksami. Światło padało gdzieś z góry, jakby spływało do wnętrza korytarza z sufitu. Musiał tam być jakiś prześwit... nie, nie prześwit, ale cała, ogromna dziura, a tańczące na fantasmagorycznych dekoracjach odbłaski stanowiły echo pożaru, który najwidoczniej wciąż szalał nad ich głowami. "Niech mnie licho, jeśli nie jesteśmy w starej sztolni!" — zdążył pomyśleć Travis, nim po raz kolejny tego dnia oślepiło go niewiarygodnie jaskrawe światło. Jak wycięta z czarnego papieru sylwetka, mignął mu jeszcze wpadający przez dziurę w suficie człowiek z trzema krótkimi strzałami w szyi, a potem ktoś bezceremonialnie pociągnął go na dno korytarza.

— Leż, senhor, leż, i nie podnoś się za nic! — usłyszał tuż koło swojego ucha kobiecy głos.

– Dobrze, co tylko chcecie – odparł, nie bardzo wiedząc, dlaczego używa liczby mnogiej. – Ja już się kompletnie pogubiłem.

I znowu czyjś przeraźliwy krzyk (nie Slavko, na szczęście, chociaż tyle miłosierdzia Matki!), przepływająca gdzieś bokiem fala żaru, niczym z chlebowego pieca, eksplozje światła tak intensywnego, że zdawało się przenikać przez skórę i kości, i konwulsje macierzy pod nim...

– Panie Moran, panie Moran! – Drobną, chłopięcą ręką wsunęła się pod jego ramię. Druga, jeszcze delikatniejsza, uczyniła to samo z drugiej strony.

– Spokojnie, nic mi nie jest. – Travis, w swym mniemaniu niepotrzebnie wspomagany przez Slavko i czarnowłose dziewczę, dźwignął się do góry. Silny powidok sprawił jednak, że w pierwszej chwili nie widział nic, poza fioletowymi plamami, i bez podtrzymujących go rąk zapewne miałby kłopot z utrzymaniem równowagi. – Tylko trochę kręci mi się w głowie... Co to, u diabła, było, zdradzi mi ktoś? Roztrzaskał się jeszcze jeden latający okręt?

– Nie, senhor, to była plazma. – Dziewczyna uśmiechnęła się słabo. – Temu wielkiemu zaciął się chyba karabin.

– Plazam...? – Travis zmarszczył czoło, po czym machnął ręką, zrezygnowany: – Nie, poddaję się. Za głupi na to jestem. Powiedźcie mi lepiej, co z tym, jak mu było... Drejk, tak? Bo jakoś tym razem nikt nam nie przerywa rozmowy.

W odpowiedzi Slavko, stanąwszy tam, gdzie jeszcze przed chwilą wielka dziura otwierała się w suficie korytarza, wskazał palcem w górę.

– Co? Co ty mi pokazujesz? – Travis wyteżył wzrok w ciemnościach, które dziwnie zgęstniały. – Nic tam... zaraz... Matko wszechzieleni, to on?!

– On.

– Ale... tam wiszą tylko jego nogi!

– Tak... – Dziewczyna wyduła wzgardliwie wargi. – Loco, próbował uciec na zewnątrz i nie zdążył.

— Rozumiem, że ten drugi też nie żyje? — spytał retorycznie Travis.

— I to nasi go załatwili — stwierdził nie bez dumy Slavko, dotykając jednego z bełtów, tkwiących w szyi wielkoluda.

— Wygląda na to, że ocaliłeś nam życie, senhor — odrzekła dziewczyna, a jej oczy załśniły, jak dwie krople wody. — Ty, i twoi dzielni towarzysze.

Kilka następnych zdań z jej ust pozwoliło Travisowi z grubsza zrekonstruować wydarzenia. Nie mogąc doczekać się na wieści z miejsca katastrofy, zniecierpliwieni Michael, Krantz i Masuk podążyli zapewne jego śladem. Być może wielki, dostrzegłszy ruch w kniei, strzelił do nich pierwszy, a oni odpowiedzieli ze swych kusz. Ugodzony śmiertelnie, wielki runął ze swego posterunku na dno sztolni wraz z rurą, której spust zablokował jego zaciśnięty w ostatnim skurczu palec. Strumień oślepiających pocisków uderzył w macierz, podrażniając ją i wyzwalając w niej obronny odruch. Rozziew w stropie wręgowego korytarza zaczął się zamykać, na widok czego niski spanikował i skoczył do zasklepiającego się szybko otworu. Ale macierz po raz kolejny okazała się szybsza od człowieka, i niski na zawsze utknął w połowie drogi do ocalenia.

— Chłopcy, właśnie... — Nagły dreszcz przeszedł Trávisa. — Slavko, nie wiesz, gdzie jest mój plecak?!

Slavko wiedział, czarnowłosa uprzedziła go jednak i pozbięrawszy do skórzanej sakwy rozbebeszony wcześniej przez bandziorów dobytek, wdzięcznym gestem podała ją Moranowi.

— Dziękuję. — Travis odebrał tobolek z rąk dziewczyny. — Nie wiem, co wy dwoje teraz zamierzacie, ale ja i Slavko musimy wracać na górę, do reszty, i to natychmiast. Matko miłosierna, jeśli któremukolwiek z nich coś się stało...!

— Którędy, senhor? — spytała głosem pełnym zarazem zdziwienia, jak i nadziei.

— Którędy? Tą samą drogą, którą nas tutaj...

Travis pobladł. Ślizgając się po wilgotnym dnie korytarza, podbiegł do trupa większego z bandziorów, i z niedowierzaniem

uniósł wzrok. Jedynym śladem po zejściu do sztolni były nogi Drejka, niczym groteskowe stalaktyty zwisające z jednolitego teraz sklepienia.

– To niemożliwe! Nie mówcie mi, że jesteśmy w pułapce bez wyjścia!

Milczenie pozostałych towarzyszy niedoli było aż nadto wymowne.

– Nie, to jest po prostu nie-mo-żli-we! – powtórzył, chodząc tam i z powrotem z zadartą głową. – Musi być jakiś sposób, żeby się stąd wydostać! Slavko!

– Tak, panie Moran?

– Pamiętasz, co mówił Urle? O ciemnawcach i tunelach, w których niby mieli mieszkać?

– Przecież to bajki. – Nonszalancja i wigor, którymi zawsze wyróżniał się wśród swych rówieśników, wyparowały ze Slavko, jak rosa w południe. – Grubas wymyśla je, bo niczym innym nie może zaimponować. Nie ma żadnych tuneli, panie Moran.

– Jak w takim razie określisz miejsce, w którym teraz jesteśmy?

Chłopak wzruszył tylko obojętnie ramionami, nie wiedząc, a może zwyczajnie nie mając ochoty odpowiadać na pytanie. Travis zacisnął pięści, a potem wyjął z plecaka swoje elektryczne łuczywko i włączywszy je, zaczął maszerować w górę korytarza.

– Senhor, zaczekaj! – Dziewczyna poderwała się z miejsca. – Dokąd chcesz iść?

– Jak to, dokąd? Przecież nie mogę tak po prostu siedzieć i czekać, aż wszyscy poumieramy tu z głodu! – zirytował się Travis. – Na pewno jest stąd jakaś inna droga na powierzchnię, ale sama do nas nie przyjdzie, więc trzeba jej poszukać.

– Zostań, senhor Moran. I tak już zrobiłeś dla nas bardzo dużo, a poza tym...

Z małej saszetki na pasie dziewczyna wyjęła złożoną we czworo kartkę i rozwinęła ją. Zaskoczony Travis przez chwilę wpatrywał się w wykrzywioną zawadiackim uśmiechem twarz Slavko.

— Mój szkic!

— Przepiękny, wart każdych oczu — wyszeptała czarnowłosa z przejęciem. — Jesteś niezwykłym artystą, senhor.

— E, tam... — wybąkał, zaambarasowany. — Rysunek jest co najwyżej poprawny, zresztą, portrety nigdy nie wychodziły mi najlepiej.

— Skromność, cnota wszystkich wielkich umysłów. — W głosie dziewczyny zabrzmiał nieklamany szacunek. — Ja sama trochę maluję, niektórzy twierdzą, że nawet całkiem udanie, ale w porównaniu z twoimi, senhor, najlepsze moje prace wyglądają jak dziecinna bazgranina. Nigdy jeszcze nie widziałam tak genialnego oddania rysów, charakteru, duszy, nie mówiąc już o technicznej finezji! Nie mogę pozwolić, byś narażał się na ryzyko, senhor Moran. Tym bardziej, że nie ma takiej potrzeby. Moi bracia od kilku minut wiedzą o naszym położeniu, i na pewno wkrótce dadzą nam instrukcje, jak się stąd wydostać. Chodźmy, może padre już się obudził. Musi to zobaczyć. A tak w ogóle, to mam na imię Maria.

\* \* \*

Dziewczyna nie rzucała słów na wiatr. Parę godzin później, po męczącej wędrówce wewnątrz wręgi, Travis, Slavko i dwójka Anhelosów (takim mianem określali siebie ich nowi towarzysze) stanęli w bladym świetle przedświt na wąskiej, wyrastającej ze ściany segmentu półce, z kozuchem Lasu pod stopami i zapierającą dech w piersiach panoramą, jakiej żadna, najwyższa nawet wieża strażnicza nie mogłaby zaoferować. Niedługo potem lśniący niczym kropla rosy pojazd zmaterializował się zupełnie znikąd, i zabrał ich na swój pokład. Slavko, na powrót w swej dawnej skórze, omal nie padł z wrażenia. Podobnie zresztą jak Travis, choć ten ostatni nie wskutek zetknięcia się z niezwykłą maszyną obcych, ani nawet samego faktu, że leci w przestworzach na podobieństwo ptaka, lecz na widok oszałamiających pejzaży. Dłu-

gi czas Maria nic nie mówiła, śledziła tylko jego dłoń, zapelniając rysunkami kolejne arkusze ze szkicownika.

— Niebawem! — szepnęła w końcu, nie mogąc powstrzymać się od wyrażenia na głos zachwytu. — Po prostu niebawem, senhor Moran! Jeśli jednak mogłabym cokolwiek radzić, to proszę zachować chociaż kilka kartek na później.

— Na później? Dlaczego?

— Sam się za chwilę przekonasz, senhor.

Travis zerknął pytająco przez ramię, ale ona nie dodała nic więcej, poza tajemniczym półuśmiechem. Zaintrygowany, przerwał pracę. I dobrze, bo przesycony kolorami i kształtami świat zniknął naraz w jednolitej bieli, a potem...

— Oooch, matko wszechstworzenia! C... co to jest?! Maria, co to... gdzie my jesteśmy?!

— Na zewnątrz, senhor Moran — szepnęła miękko dziewczyna.

— Oto jest pejzaż, godny twego talentu.

Sparaliżowany, porażony, zczarowany, Travis wypuścił z ręki ołówek i tylko patrzył, patrzył, patrzył... Na wielki, lśniący, spłaszczony, pokryty dziwną wysypką i nieskończenie, zdawało się, długi cylinder, który w miarę, jak pojazd Anhelosów się od niego oddalał, stawał się coraz cieńszy i coraz wyraźniej podzielony poprzecznymi grzebieniami na z lekka bulwiaste segmenty, rozwidlający się raz, drugi i trzeci...

— Konar? Rany macierzy, to przecież jest nasz konar!

... i do którego dołączył wkrótce następny, i jeszcze jeden, i jeszcze, wspinające się poprzeczną, gałęziastą spiralą wokół odległego, gigantycznego cylindra...

— Drzewo... nasze Drzewo! — wykrztusił, czując narastający zawrót głowy. — Ludzie, powiedzcie mi, że ja nie śnię, że to... że to naprawdę...

— Naprawdę, senhor Moran.

— Jestem w raju... — szepnęła, padając na klęczki. A potem porwał ołówek i zaczął rysować jak w transie.

Wydarzenia następnych dwudziestu czterech godzin do końca życia pozostały dla Trávisa Morana mgliste i fragmentaryczne. Pamiętał przyjęcie w karawanie Anhelosów, godne legendarnych królów albo bohaterów, jak również to i owo z lądowania pojazdu Marii na samym środku targowego placu w Grad Elisabet, i z jeszcze jednej fety na jego cześć, tym razem wyprawionej przez własnych współziomków. Pamiętał ulgę, jaką poczuł na widok drących się bez opamiętania Krantza, Michaela, Masuka, nawet Urle, i to, jak chłopcy ponieśli go na swoich ramionach ponad głowami wiwatującej ciżby. Pamiętał także pojawienie się w miasteczku trzech innych napowietrznych statków z egzotycznymi gośćmi, których kolorowy, sympatyczny tłum na pół dnia zawiądnął osłupiałą osadą, i po odejściu których w jego starej skrzyni, niegdyś po brzegi wypełnionej przez nikogo niechcianymi obrazkami, praktycznie nic nie zostało.

Wszystko to mniej lub bardziej głęboko zapadło w jego świadomość, żadne jednak wspomnienie nie pozostało tak ostre, jak niewinna rozmowa z Abelardem Blochem. Pod koniec dnia Travisowi pozwolono nareszcie odsapnąć w domowym zaciszu, Abelard musiał jednak wpaść na osobną pogawędkę, i na tradycyjnego kielicha przed snem.

— No, Moran, narobiłeś zamieszania, że niech cię kulawy kundel ogonem! — rzekł, przepijając ponczem do swojego starego przyjaciela.

— Człowieku, chociaż ty dałbyś spokój — mruknął Travis, podtrzymując pięścią opadającą ze zmęczenia głowę. — Jestem tak skołowany, że nie bardzo wiem, gdzie jestem i jak się nazywam.

— Cóż, sława kosztuje — uśmiechnął się Bloch. — Ale popatrz, jakie to życie dziwne: wszyscy chcą mieć teraz twoje obrazki, tylko, że dalej mało kogo interesuje, co tak naprawdę na nich jest. A propos, te papugi z latawców zostawiły ci choć jeden?

— Nawet parę.

– To może i ja bym wreszcie zobaczył, o co tyle szumu, hę?

Travis westchnął teatralnie, ale zwlókł się z ławy i po chwili rzucił na stół pięć płacht jedwabistego papieru. Na wszystkich, jak dla oka Abelarda, widniało to samo.

– Więc mówisz, że tak z zewnątrz wygląda to, w czym mieszkamy?

– Drzewo? Dokładnie tak, Abe – odparł Travis, kątem oka podchwytnąc sceptyczny grymas Blocha. – No, i czego się krzywisz? Słyszałeś, żebym ja kiedykolwiek miał przywidzenia? Nigdy. Wierz mi, widziałem to na własne oczy, jak ciebie teraz.

– Z tymi starymi oczami to też różnie bywa... – bąknął Abelard pod nosem, natychmiast jednak uniósł ręce w pojednawczym geście. – Dobra, dobra, już nic nie mówię. Zresztą, mnie tam w gruncie rzeczy wszystko jedno, jaki świat ma kształt. Drzewo, kula czy świński ogon, gówno i tak wszędzie będzie śmierdzieć gównem. Jedno mi tylko wytłumacz: po co spaskudziłeś takie ładne, czarne tło tymi białymi kropkami?

– Niczego nie spaskudziłem, Abe – mruknął Travis. – To są gwiazdy.

– Ależ co ty wygadujesz? Przecież gwiazda ma zawsze taki kształt – to mówiąc, Bloch kilkoma ruchami palca wyrysował na blacie pięcioramienny kontur. – Na szyldzie gospody Martensa...

– Nie obchodzi mnie szyld Martensa, tylko świadectwo moich własnych źrenic – Travis przerwał mu niecierpliwym machnięciem ręki. – To są gwiazdy, przyjacielu, prawdziwe, żywe gwiazdy, czy ty w to wierzysz, czy nie. Ale, co mi tam, chcesz, to je zamażę, skoro tak kłują cię w oczy.

– Dajże spokój, źle mnie zrozumiałeś. Zaraz, to znaczy, że mi go dajesz?

– Bierz – mruknął Travis czując, że jeszcze chwila, a uśnie na siedząco.

– Dzięki, Moran. Tylko jak byś się jeszcze podpisał...

– Jutro, Abe.

– W porządku, jutro, przecież się nie upieram. Czekaj no, a to ma jakiś tytuł?

– Oj, człowieku, wymyśl sobie sam, ja nie mam już dzisiaj głowy do niczego.

– Ee, w takim razie może... "Pejzaż z gwiazdami w tle", co ty na to? Moran? Hej, Moran!

– Taa... – wymamrotał Travis, zapadając w głęboki sen.